

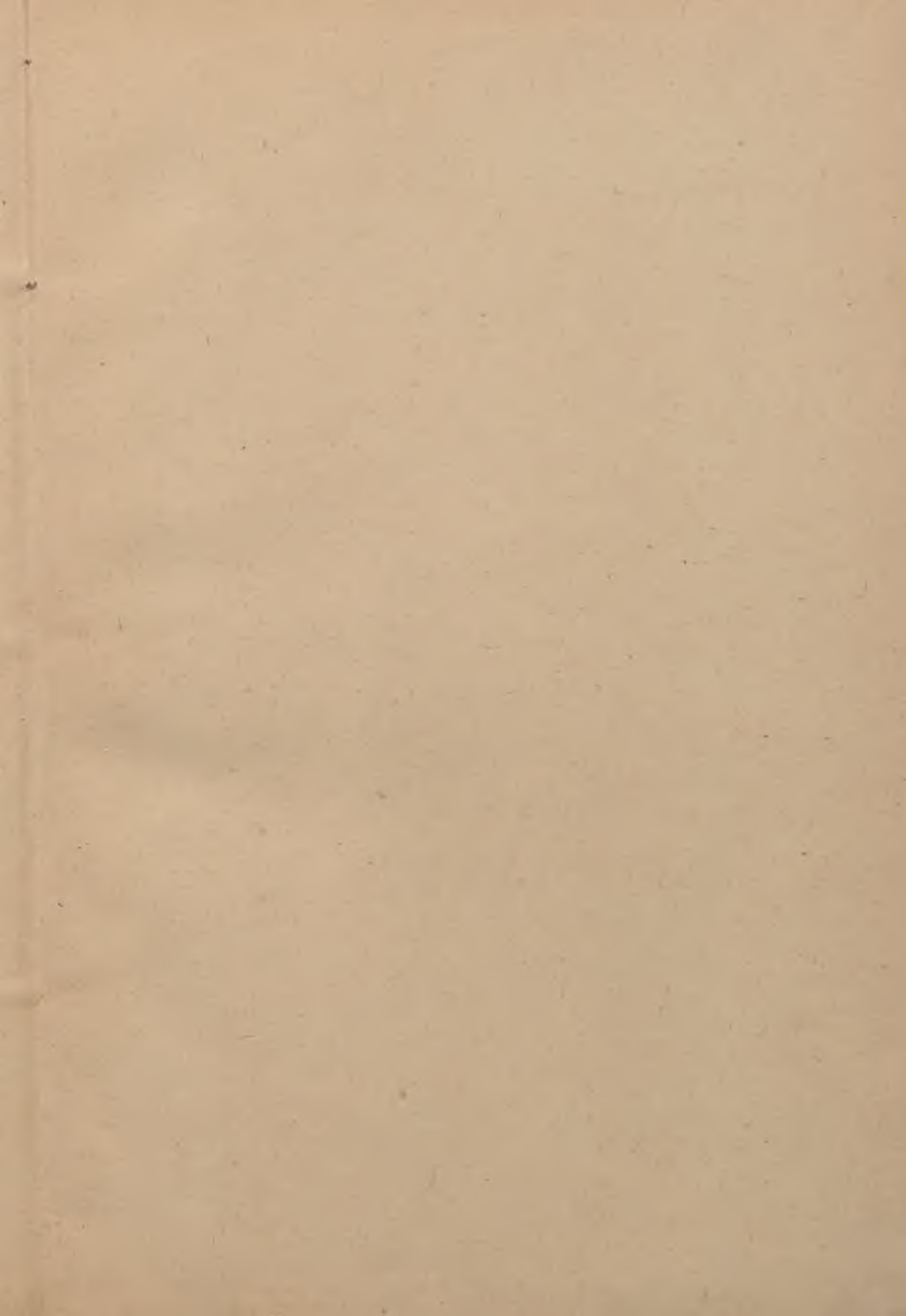


PEDAGOGICZNA  
BIBLIOTEKA  
WOJEWÓDZKA

Gdańsk-Wrzeszcz  
Al.Gen.J.Hallera 14



106497





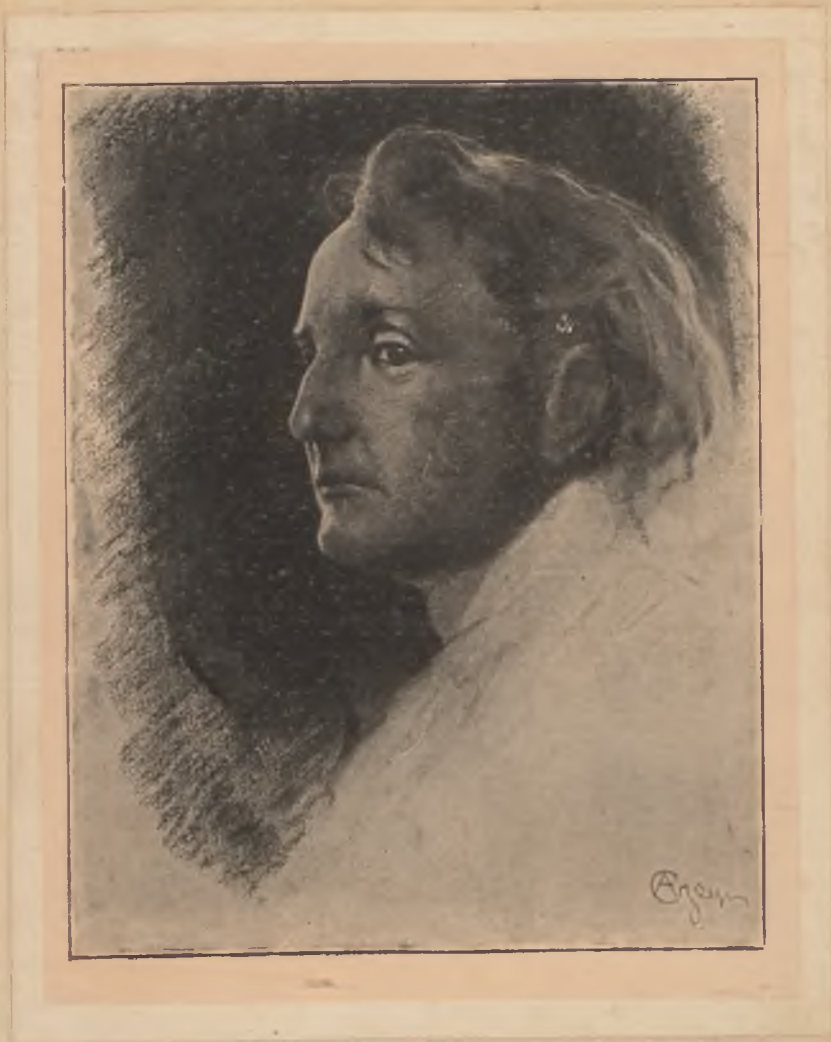
*Stasiowi  
Murgoka*

*26/XII 1916.*

**P I S M A  
A N T O N I E G O  
S Z A N D L E R O W S K I E G O**

**CONFITEOR**





*Sanderson*

P I S M A  
ANTONIEGO  
SZANDLEROWSKIEGO

TOM I.

CONFITEOR

WYDANIE DRUGIE.

WARSZAWA, 1912.

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI GEBETHNERA I WOLFFA.

h. 162/81



106497

KSIAŻKĘ ZDOBIŁ ANTONI GAWIŃSKI, WYTŁO-  
CZONO W WARSZAWIE, W DRUKARNI KSAWEREGO  
TRĘBIŃSKIEGO.



## Przedmowa do I-go wydania.

---

Trudne, zaiste, zadanie przypadło w udziale piszącemu słowa niniejszej przedmowy — stworzenia furty wejściowej do najwspanialszego i najwznioślejszego ogrojca miłości, jaki stanowi ta książka, a jakiemu równego trudno gdzie znaleźć w dziejach serca ludzkiego, w piękno sztuki zaklętych.

Zgóry więc zastrzedz się muszę, iż ręce od tej roboty uchylam, nie czując się godnym sztuką pióra przysparzać zimnej kraty do tego żywego majestatu, jakim tchnie ów ogrojec.

I nie dziw: uczucia, w nim zawarte, są tej miary i tej ekstatyczności, jakie, w górze gdzieś zakreślone, padają w pierś wybrańca, jednego może z miliona i raz może na liczne wieki, — rodzą się, jak ów fenomen niebieski — nie na modłę zjawisk codziennych, chociażby w ich najszczytniejszym wyrazie.

Jakże więc może coś innego nad podziw otwierać drogi do takich zjawów niezwykłych?

I dlatego ogród ów mistyczny winien zostać bez furty, cudnym swym splotem rajskim i pierwszemi gałęzmi oliwnemi wprost graniczącym z pustynią i szarzyzną życia okolnego, z terenem walk i trudów, celów ziemskich i zabiegów przyziemnych, — wprost mówiącym od siebie swą wielką mową brylantową.

Piszący te słowa ma obowiązek jedynie przestrzedz wchodzącego do tego ogrodu:

Bacność! wstępujesz w obręb ducha!

Bacność! wstępujesz w żywe serce!

Nie wątpię, że pierwsze tchnienia samego tego ogrojca nastroją dostatecznie wchodzącego w ten obręb, by czuł się od głębi ruszonym i oniemionym niezwykłością zjawiska. Dalsze kroki wprowadzą w głąb już uroczystą, w przezrocze drgającą, w tę boską krainę piękna, „kędy posągi wkłęły w siebie wszystko czar poezji i nieba, i ziemi, a w chwili objawienia, w chwili cudu—piękno, jak dusza, opuszcza marmury i idzie na spotkanie drugiemu pięknu, i w objęcia mu pada, niby promień, splata się z promieniem, niby kropla w kropli się rozplywa i drży łzawem szczęściem na wieczność długą, jak sama nieskończoność“...

I tam już duszy obudzonej w drgnieniach jakichś przedwiecznych płat, dotąd nie znany, oderwie się od serca, płat ciepły żalu, zachwyty, zdziwienia.

I dusza, jak dziecko, łzawe i zdziwione, sama siebie zapyta: — Jakto? Więc taką być może Miłość? Więc takim może być piękno uczuć? Takimi skrzydła miłości? I jam z takiego nieba nie zerwał nawet promienia? Nie zaznałem tego człowieczeństwa, sam będąc człowiekiem?

I chwila ta będzie dla tak czującego chwilą może odkupień, jedyną chwilą wieczystą, rozpeknięciem twardej skorupy, którą życie tak niecznie zasklepia — chwilą, w której duch, wynurzony na chwilę, sam siebie w tęczy obejrzy i sam nad swą niewolą zapłacze.

Odsłońmy atoli tajemnicę, jak ludziom prawym przystało,— tajemnicę, która tę książkę osnuwa. Rzecz bowiem jest nadto uroczystą, by do niej się zbliżyć nie z prawdą.

Książka ta zawiera listy księdza, kapłana—poety—artysty, który pokochał kobietę i przez nią tę miłość wyśpiewał.

Ten, który był winien kochać tylko Boga, ukochał twór Jego — kobietę. Ukochał jednakże, jak ten, co „ukochał Boga i dojrzał duszę swoją“.

Posłuchajmy atoli, jak śpiewa sama ta miłość, bowiem słowa innych uczuć są zawsze przy niej blade.

...„Znasz ty ów najświętszy śpiew ducha, kiedy melodia najskrytszych głębi nie ma dla siebie wyrazu, słów, — jedno —

masa w sobie nieświadomiona, nieujęta w formę, staje się holdem i czcią Bóstwa, a zarazem Bóstwem samem... Kiedy myśl się rozwiewa — śiępnie wzrok wpatrzony — słuch głuchnie rozwarły... Kiedy tylko bicie serca zapanowuje nad wszechświatem... wszechświat sobą wypełnia — i nie istnieje już nic, nic...

...Wtedyśmy równi Bogu, wtedy stajemy się jakimś boskiem tchnieniem, ogarniającem wszystko i przenikającym bezmiary... Tem zatraceniem, tem wyzbyciem się doczesności, zaprzepaszczeniem granicy wszelkiej dosięgam Ciebie, stapiam się z Tobą w jeden rytm miłości — i jestem!

Na takich wyżynach niedościgłych utrzymana ciągle ta miłość anielska.

„Wszystka piękność, co tkwi we wszechświecie, co zamknięta w piersi Bożej i w ziemskim tworze, i w myśli ludzkiej, i we wszechczuciu, pochyliła się ku mnie, do piersi mi przywarła, wypełniła mi duszę — i zatraciłem się w niej, i stałem się wszystkim nią“... „A miłość — to moje przeznaczenie, to dar Boży, to Łaska, która mi się stała Odkupieniem i Szczęściem. I zanim ta tęsknota najwyższa mojej duszy nie stała się Miłością — szedłem na podbój zbrojny... Dziś jestem bezoreźny i ani myśli, ani uderzeń serca, ani słów — nic! Zwycięzcą jestem, a jednak idę, jak radośny braniec za rydwanem Bożym, co się toczy na gody, zgotowane od wieków“.

...„Czy wiesz już teraz, co znaczy szczęście w krainie nieśmiertelności, czy rozumiesz wielkość i miłość Boga, który już tu, na ziemi daje smakować takie chleby z wieczernika swej Miłości?“

...„Uwielbiam Cię każdą chwilą mojego życia, a uwielbienie moje z ducha jest i z jego najświętszych drzeń, z jego najgłębszych poruszeń. Godzien jestem modlić się do Boga, bom znalazł Ciebie, godzien jestem kochać Cię, bom ukochał Boga“.

...„Przenajświętsza falo życia... przepłynęłaś po mojej piersi, jak pocałunek wieczystych zaślubin, jak srebrny świt, obiegający niebo od krańca do krańca srebrnozłotą błyskawicą. Ze źródeł, ocienionych tajemną gęstwą narodzin, z najpierwszego tchnienia prabytu — wpłynęłaś, przenajświętsza falo, ażeby ruch swój niczem nie wstrzymany zatrzymać na mojej piersi



i porwać ją wraz ze sobą w bieg, w nieskończoność, w wieczyste trwanie życia-snu i snu-życia“...

I oto wobec takiej miłości, którą w każdym wyrazie i w każdej literze tchną karty tej książki, miłości, która jest arcydziełem życia, zakłętego w piękno, i arcydziełem piękna, zakłętego w życie, powstaje problemat, ciężki do dźwignięcia: Czy miłość taka w osobie księdza, kapłana, któremu religia nakazuje porzucić wszystko dla Boga i piękno wszystko umartwić, prócz Boga, który jest jego źródłem, ma być osądzoną, czyli też poleconą, jako wzór? Czy wyrzeczenie się piękna ziemskiego, chociażby ono do Boga prowadziło, ma być jedyną w tym względzie posadą i drogą? Czyli też piękna tego najszczytniejsza uprawa, jaka w tym razie wyraz swój świeciła, ma być również do ideałów kapłańswa wliczoną — czy też od niego odsądzoną?

Asceza wyrzeczenia ziemi, czy bujne życie nieba miłości? Droga przez Boga, czy droga do Boga?

Ze stanowiska teorii i dogmatu, wyrzeczenie piękna jest szczytniejsze od piękna tegoż uprawy najszczytniejszej, bowiem sama świadomość rodząca się piękna jest już objawieniem Boga w człowieku, i nietknięcie tego *owocu wiadomości* i wyrzeczenie się jego całkowite jest przez się zachowaniem i przysporzeniem tego piękna, które inną drogą, często wątpliwą, przez życie się osiąga.

Wyrzeczenie się piękna jest zachowaniem zrodzonej jedności w duchu bez rozdwojenia jej na funkcje: przyczyny i skutku, życia i świadomości, chwili i wieczności — jest zachowaniem, by tak rzec, w sobie całego życia wiecznego, które tę jedność zrodziło.

Tak rozwiązywała by rzecz tę teorja.

Czem atoli jest teorja, czem martwa litera wobec żywego życia? Czem nakaz wobec sumienia ludzkiego, które widzi Boga i dąży do Niego tem swoim prawem najświętszem?

I jakież nakaz zaważyć jest mocen, gdy w tajemniczych zagłębiach, w pierwszych zarodów chaosie tworzącej się duszy kapłana—artysty—człowieka, artysta przemaga kapłana i kapłan uświęca artystę, by stać się jednym człowiekiem—w harmonijnym już zespole i ruchu pierwiastków?

Zajrzyjmy do sumienia tego, który te listy napisał i który świadczy o sobie:

„Raz pierwszy od wieków stanie mąż, któremu „czcić bogów cudzych nie wolno“, i powie z najświętszym drżeniem, że kocha!... Raz pierwszy od początku świata może — stanie ten, co Boga głosić winien, i głośno zawoła, że kocha!..“

„Raz pierwszy staje się może, że to, co zazwyczaj spycha, zaprzepaszcza, grzebie, teraz wynosi, wywyższa, uświęca! Przyjmij to odemnie, bo nic ponadto uczynić nie potrafię. Niech Ci to będzie chwałą, czią i podzięką!..“

Pycha to anioła przemawia, czy też anielstwo pychy człowieka?...

I o kilka stron dalej:

„Gdybyż Chrystus chodził teraz po ziemi! Opuścilibyśmy i ojca, i brata, i dostatek dnia, a poszlibyśmy o pielgrzymim kiju, o chlebie proszonym, do Niego, pod cień błogosławieństwa Jego dłoni“...

I oto problemat nie zostaje rozwiązany. Rozwiązuje go jedynie samo życie i miłość, *która się już stała*.

Najpiękniejszy ten sen człowieczy, ponad który „żaden sen człowieczy nie wybujał tak bardzo, a cóż dopiero, żeby się urzeczywistnił“, jak to się w tym razie spełniło, wplata w siebie i w jednej istocie roztopia trzy słońca wirujące zasadniczych własności bytowych: miłość, twórczość i życie, — miłość człowieka, twórczość poety i życie kapłana - wybrańca, czyniąc z nich jedno harmonijne i nierozzerwalne zjawisko. Życie tu się święci przez miłość i twórczość, miłość nierozzerwalnie twórczością i życiem się staje, twórczość — samem życiem i samą miłością. I żadna z tych władz w działaniu żywym ani na promień nie może być uszczuploną rozdziałem bez zburzenia życia całości. Mężczyzna i kobieta są tu biegunami sprzeczniemi, wibrującemi w najwyższym swem napięciu i znajdującemi swe pole wspólnoty magnetycznej w wyrazie miłości i twórczości, życiem objętych, w królestwie beznamietnem Ducha wieczystego, Ducha-pocieszyciela, owego Parakleta, który ludziom na ziemi jeszcze, jako spełnienie, został obiecany.

To też idea owego Parakleta, owego panowania Ducha, owej wieczności i szczęśliwości w królestwie Ducha tu jeszcze



na ziemi, stając się przewodnią miłości i życia, ucieleśnia się zarazem w słowie, w poemacie dramatycznym tegoż miana, który posuwa się współrzędnie z życiem miłości, złotą nicią wieści przesnuwa się przez listy, zostawia ślad świetlany swojej drogi wieczystej.

Oto, jak świadczy o tem sam twórca tych listów:

„Nasz lot wspólny w nieskończoność z konieczności rodzi sztukę, jako widomy znak drogi, po której pomknęły dusze nasze.

Ślad — to sztuka. *Po niej ludzie trafiają do wielkiego i dostojnego życia, po niej poznają, domyślą się, odgadną całą myśl naszą z obliczem szczęścia, i wszystko nasze szczęście z widomym stygmatem bólu i cierpienia.* Ludzie staną zawsze z podziwem nad tonią, w którą zapadła myśl nasza, czucie nasze, pierścień nasz ślubny, nasza doczesność w czasie poświęceń na wieczność“...

Po takim śnie, w życie wcielonym, po takim misterjum wieczności, w życie ziemskie forsownie przedzierżniętem, pozostaje na ziemi — tylko śmierć. Duch w pracy tej twórczej życia zanadto wychyla się poza krawędzie ciała ku obszarom wieczności, by mógł swą równowagę utrzymać. Odpada na stronę wieczności. Zanadto zuchwale kusił wieczność, tu w ciele pozostając, i rwał się ku niej zaborczo-bojowo, miast na nią czekać w pokorze.

Śmierć ks. Szandlerowskiego przypada tuż rychle za przedzą tych listów, przerywając pasmo złotego snu miłości i życia.

Śmierć ta następuje jakby nie prawem ciała, zwolna umierającego w człowieku aż do momentu wyrocznego, lecz jakby prawem ducha, zdobywającego siłą najwyższy moment graniczny swej wieczności, — prawem życia ducha, nie prawem śmierci ciała.

Wybrańcy bogów młodo umierają...

Pozostał atoli po nim *ślad* — strzęp, wydarty wieczności w pogoni tej Parakletowej, który, jak najświetniejsza smuga meteoru, długo przyświecać będzie sercom — na niebie ich nieodmiennem.

Tam od obszarów wieczystych duch jego ogląda *ślad* swój ziskrzony, ślad z przelamania się chwili z wiecznością, — i on

jeden mógł by dać odpowiedź na pytanie tłoczące — i daje ją niezawodnie, atoli daje w milczeniu, które jest mową wieczności, jak mowa jego na ziemi była tegoż milczenia granicą najdonośniejszą.

Do krytyki wyborowej należeć będzie szczegółowe wyświetlenie psychologii i techniki tej twórczości niezwyklej, — tysiącznych szczytów i blasków, myśli i uczuć, które jak gwiazdy, się iskrzą. Piszący te słowa szczęśliwym się tylko czuje, że pierwszy wygłosić tu może swe zdanie ogólne o wartości tego utworu, — zdanie sformułowane i wielokroć na zimno zważone:

Piękniejszej rzeczy, zarówno pod względem lotu, jak i jego tęczy rozsypanej, zarówno pod względem piękna metafizycznego, jak i jego wyrazu artystycznego, nie znam w tym zakresie — ani w literaturze polskiej, ani w literaturze świata szerokiego.

I oto, kończąc, pięknem tem ciągle nęcony, nie mogę raz jeszcze oprzeć się pokusie tłoczących się ciągle cytat tego niezrównanego dzieła, wiedząc, że więcej one od siebie powiedzą, niżli mój zachwyt uczynić tu może.

Oto jest obraz pełni artystycznej, istotnie, pięknem aż trwożny, który to dzieło streszcza i w tajemnicę przedziwną zakuwa:

„Miłość nasza jest, jak sfinks, bo choć w ziemię wryta — wkopana — jednak wyniesiona spojrzeniem i zadumą czoła ponad ziemię... choć milcząca, jak on, jednakże tajemnicą swoją biegnąca szybciej od gwiazd kołowrotu... wybiegająca nad gwiazdy, księżyce...”

„Miłość nasza jest, jak Sfinks, bo choć jest dziełem człowieka, to przecież Bóg to dzieło podziwia, uświęca je, wplata w pierś wszechwórczą. A miłość tę naszą, jeżeli kiedyś stawią przed trybunałem sądu świata, jak kiedyś Chrystusa... wtedy, zaprawdę, spadnie na nią wyrok ponad wszelkie wyroki... spadnie słowo Piłata jedno, ale pełne trwogi, zapytania, słowo wielkie, jak sama tajemnica: „Oto człowiek!...”

*Józef Jankowski.*

## Przedmowa do II-go wydania.

Duży nakład dzieła, jak niniejsze, o najwyższym nastroju duchowym, o formie gwiazdziej, nie łatwo osiągalnej, nie łatwo dostępnej, w przeciągu kilku kwartałów wyczerpany przez pochytność ogółu, zjawisko w naszym kraju zgoła niepowszednie. Świadczy ono nie tyle o wzniesieniu się zamilowań ogółu do rzeczy nadziemnych, ile o sile tęczy, zawartej w tem dziele, która do powszedniości życia tak królewsko przeniknąć zdołała. Dusza słoneczna twórcy tego dzieła, przy powtórnem jego wydaniu, od wyżyn tej tęczy z radością oglądać musi wpływ, jaki tu wywarła — cieszyć się drzeniem powracającego po tej tęczy wzruszenia, szczepu wieczności, wśród której sama żyje, a który tak świetnie dla sprawy nieśmiertelnej Piękna zarządziła. Jeżeli zaś, oderwana już od tej tęczy, oderwana od *śladu* swego szczytnego, w górnieszych przebywa przestworach, pamięć ziemi snem już spromieniając, niechże od serc, wzruszonych tą niezrównaną symfonią miłości, każde tchnienie skruszone i każdy poryw czysty wzbija się do sfer najwyższych na pomnożenie tej atmosfery, tego słońca Piękna, którem się dusza ta żywi. Będzie to nagrodą i splatą dla twórcy, splatą bezosobową, przychyleniem tego słońca duchowego, którego promienie strzeliste sycą glebę piękna na ziemi.

J. J.

30/X. 913.



a tę chwilę promienną za to misterjum święte, co się dokonało we mnie — Twym własnym cieniem u nóg Ci się kładę i pierwszym czystym, anielskim upojeniem wiązę Twe stopy... Nie broń mi tej rozkoszy, bo w niej tylko znaleźć mogę siłę, potęgę i moc... Błotną moją duszę archanielskim skrzydłem otoczyłaś... świętem płomieniem objęłaś to, co było już gruzem, rumowiskiem... Dotknęłaś mnie — i wskrzesłem ku życiu, jakiego nie znałem, o jakim nie miałem pojęcia, że istnieć nawet może... Pod Twoim przewodem wstąpiłem w krainę wyzwolonych duchów... w krainę, gdzie niema nic, krom wielkiej, świętej, przezyczystej miłości... Boże — kiedy pomyślę, że to się stało ze mną, którym się staczał z bagna w bagnisko, trwoga mię szarpie, zali to wszystko może być prawdą?! Kocham Cię jak nieśmiertelność mego ducha, jak niezgłębioną tajemnicę życia, jak wielkie „stań się“, co padło mi na dno duszy...

Bądź mi nieskończonością światów, w których bym się zanurzył, aby wyłowić z nich czarowny lek... i cudotwórcze płomień... i Ciebie samą...

Wzięłaś w lenno mnie całego, boś pochwyliła paprotne kwiecie w oną noc świętojańską. Przeczynałem, że nadejdzie godzina cudu, godzina wielka na Tabor. Ale na to, by się ziścił cud, nie potrzebowałaś unieść się ku niebu, ale przeciwnie — musiałaś zstąpić ku mnie, dłoń ku mnie wyciągnąć, przyłożyć pieczęć królewską na ślub ślubów... Całą Ciebie prze-



czułem już dawno... A choć Cię nie znałem — jak Sybilla o Tobie pisałem... Przeczytam to przy sposobności...

Kochasz ciemność—ja kochałem słońce! Dziś ciągle pragnę ciemności, bo wtedy myślą ogniste Twoje znaki kreślę... I stajesz przedemną taka żywa, taka spragniona poszumu mego ducha, że zlatam ku Tobie... porywam Cię jak wicher... jak rozpętana burza i unoszę Cię hen — gdzie graniczy Stwórca i natura...

Zdaje mi się wtedy, że jesteś myślą Bożą zapomnianą, zaniechaną—i dlatego wszystka jesteś tak bardzo piękna i tak bardzo smutna... Ta piękność Twoja ma w sobie coś z Boga, a ten smutek bezkresny — coś z Szatana... W Tobie czytam straszną, odwieczną, przedstworzeniową walkę Boga z Lucyferem... A, iżes nie jest odbiciem świata, jego ładu, harmonji i jedności — dlatego Cię Kocham... jak własny bunt... jak wyzwolenie, które mi przyniosłaś... Ulituj się nademną—nie zostawiaj mnie samego — daj mi myśl swą za towarzyszkę... gdy mnie zmoże sen tęczy o Tobie, daj mi ją!...

Już mi teraz wygnanie nie straszne... przekleństwo kainowe poniosę z rozkoszą, bo jeśli ja węzem się stanę — Ty ziemią mi będziesz...

Przyjaciółko moja... czarna gołębico moja... Popłyniemy z pieśnią gromową tam, gdzie myśl nie sięga, na rubieży światów i nadświatów postawimy sobie tron królewski — wzniesimy panowanie nieśmiertelne ducha...

Czysta moja... święta... czarna gołębico moja...

W noc ciemną, burzliwą, rozwichrzoną— znijdź ku mnie z gałązką oliwną... pokojem mię naznacz... włoż we mnie otchłanne blaski swej duszy... ukołysz na sny olimpijskich władców...

A teraz złotą chryzantemę wświeć w noc swoich włosów... dla mnie... jak wtedy... Taką będę Cię widział, gdy do grobu zstępować będę... Obraz ten poniosę ze sobą w wieczność... Czarna gołębico moja...





hodziłem po ulicach... błądziłem... szukałem Ciebie... Wiedziałem gdzie byłaś, a jednak szukałem z Tobą, przy Tobie... Nadeszła godzina wyjazdu—opuszczałem moje wszystko, ażeby jechać—dokąd, nie wiedziałem...

I oto nagle zrozumiałem—jechałem do Ciebie... hen — w chacie mojej czekasz na mnie, wtuliłaś się w ścianę, rozpięłaś duszę na krwawym krzyżu wyczekiwania i konasz...

Irysie mój czarny... jak noc spływam na Ciebie... Ja Cię uśpioną porwę myślą moją, myślą utęsknioną, czystą jak te drogi któremi popłynę... Światy nieobjęte z Tobą przebiegę, wykradnę tajemną ścieżę, po niej Boga dosięgę i na skrzydłach mych skrwawionych Bogu Cię pokażę... i Tobą, tą moją czarną serdeczną łzą—zapłacę przed Nim... Nie! On jest dobry... nieskończenie dobry, że mi dał Ciebie... że nam dał się odnaleźć... że pozwolił nam zrozumieć się i odgadnąć wzajem... Tak... On jest tem naszym upragnieniem, naszą tęsknotą wieczną i otchłanną, naszą przyszłą drogą w dal bezkresną... nieodgadłą...

Wiesz — myślałem sobie: nieśmiertelność, wiecznia — to owo coś, co się wypromienia z naszej miłości... to owoc myśli naszych... blask zrodzony z uczuć... echo idące w nieskończoność z jednego uderzenia dwóch serc... Patrz — jaka łuna się rozlała nad naszym ofiarnym ołtarzem, jakaś dymna mgła rozsuwa się, rozsuwa bez końca... Zamrzeć można od lodowego pożaru iszczenia się tajemnic nigdy nieprzeczuwanych

nawet... Ilekroć spojrzę na twarz świętej mojej — zawsze w oczach uczuwam jakiś dreszcz... spuszczam powieki... nieć pękła... a była taka pajęczna, taka nietykalna — jak Twoja zaduma... jak opad zmierzchowy Twych powiek... Zda mi się, że właśnie tak, jak Twoje powieki, doczesność w duszy mi się zamknęła. I dlatego kocham bardzo, bardzo to zasuwanie się Twych tajemniczych zasłon... Pomyśl tylko ile mi szczęścia dajesz! Stałeś przedemną niby świat obłąkańca — boga! Nikt tego świata nie przeniknął... nikt go nie ogarnął... nikt mu nie powiedział przez Ducha, że jest światem ponad myśl bożą... że dlatego też jest światem zamkniętym dla wszystkich co nie są poczęci z onego obłąkańca — boga!

Irysie mój czarny... doło moja... smutku mój...

Błogosławię Boga, że przez Ciebie i z Ciebie wziąłem odkupienie... Ta czystość którąś mi dała, będzie Ci nimbem... uwieńczeniem...

Naprzeciw moich okien — drzewa bezlistne tworzą jakies węzowe sploty... Olbrzymią, powikłaną, skłębioną girlandą potwornych zwoi zaroili się... przesłoniły skłon nieba... i ze świstem upiornym poczęły się szamotać... targać... rwać... Krwawa posoka z ich łbów przyskała na niebo... a wicher huczał... jęczał... wył...

Twój list odebrałem. Dławiło mię szczęście... Wpatrywałem się w Twą twarz długo, długo... Zstępowałem zwolna, zcicha, trwożnie w głąb katakumbową... Świeciły mi pyły srebrne, co z twych rąk we włosy mi spłynęły... zabłąkały się, aby mię poprowadzić poprzez ciemń korytarzy długich, mrocznych. wilgocią szemrzących jakieś litanje męczeńskie... Duch już — szukałem naszej krypty... Znalazłem! Gołębica u źródła... Opył srebrny zamigotał... zaświecił raz jeszcze i zamarł na wilgotnej płycie... Ocknąłem się. Boże! Tyś dobry... Tyś nieskończenie dobry, żeś mi pozwolił smakować takie rozkosze... Modlę się w pokorze z irysem moim czarnym...



dybyś wiedziała, ile przecierpiałem przez cztery dni ostatnie! Pod czaszką kipiało mi... huczało... wrzało... Dziw prawdziwy, żem zniósł to wszystko, żem nie padł martwy... Myśli potępięcze oplotły mi mózg i serce... Teraz dopiero wiem co chaos, który prze-

świeca myśl twórczą... Czuć światy nieobjęte, niezmierzone, a jednak nie móż ich pochwyć, ujarzmić, sprzęgnąć — by je zakląć w dotykálną formę, kształt im nadać... Zstępowałem po tych bezdni hadesowych, ponad światy wybiegałem—zawsze z Tobą, zawsze przy Twoim sercu... Krzepiłaś mię w tym locie, dłonią ukochaną ścierałaś uznojenie, tchnienia mi użyczałaś, gdy mojej piersi tchu nie stało... W tym szatańskim pędzie samumy wżerały Ci się w oczy... osmałyły twarz.. wgniotły pierś... spaliły włosy lśniące. Tyś jednak parła ze mną naprzód i naprzód... Dzięki Ci... Pijany jestem... słów zapomniałem w tym świecie milczenia twórczego... dziecię pokorne i ciche jestem. Tylko upracowanym bardzo — tak mi potrzeba Twych dłoni... Twych oczu tak mi brak... Pomyśl o mnie i pokrzep mnie.

Cztery okopne dni przeżyłem. Cztery długie noce były mi przedłużeniem w nieskończoność dni szamotań, zmagañ i walki na śmierć i życie. Ile razy patrzyłem Ci w twarz — nie przypomnę... ileż razy u stóp Twych leżałem w szale pogonnym za myślą moją, którąś pchnęła w wieczność jednym nieuchwytnym powiek twych opadem... jednym dreszczem duszy Twej smutnej i utęsknionej...

Święta moja, u nóg Ci składam kształt myśli mojej...  
Dużo czasu upłynie, nim Ci go w słowa zamknę, nim po-  
wiem: weź bo to Twoje, bo to „ja“ jestem... Tymczasem —  
pracę, co bólem jest i konaniem—skończyłem... Odtąd zacze-  
nie się stroić myśl moja... przyoblekać... w „świętne chusty”  
przyodziewać... Wiem, że to com począł, porwie Cię, bo to  
nasz wspólny sen, ból nasz łączny... nasza ła jedna...

Przyjdzie ona chwila święta, kiedy spojrzysz na mnie  
i spleńiesz cała... To będzie mi najwyższą zapłatą... psalmem  
radości i wesela...

Iryście mój czarny... zakwitnij na on dzień smutkiem  
swoim... strój się skargą cichą...

I kiedy mi tak w duszy legą się jakieś czelustne światy...  
kiedy wdzieram się na zawrotność myśli... kiedy piersią pod-  
ważam napływowe skały uświęconych wierzeń — tam naze-  
wnątrz, taki inny świat... Słonecznie, barwnie, pogodnie...  
Przychodzą do mnie z korowajem uśmiechnione, kraśne druž-  
ki... do kolan się chylą... rozpryskaną tęczą wstąg kwietnych  
migocą w oczy... a proszą... proszą... Odchodzą promienne,  
radosne, żem na prośby łaskaw, że ich prostactwem nie gar-  
dzę... Patrzę i patrzę... lśnią w słońcu zapaski jak łubiny...  
koniczyna... jak łąki zielone... Słyszę ich śmiechy rozradowa-  
ne, swawolne z pod naczółków tęczowych... Jak zachodzące  
słońce zaświeciły w oddali kolorem po kolorze—i znikły...

Przy mnie korowaj... zaduma i Ty...

Mówiłem Ci już, żem tęsknił do Ciebie, choć Cię nie  
znałem, że nawiedzały mię dziwne chwile, kiedy kochałem  
bezwiednie Twoje światy... że Cię w snach swych znałem do-  
brze... byłaś mi bliższą, niż to przypuszczać mogłem... Na  
dowód tego, co mówię, posłuchaj — jak o Tobie myślałem  
jeszcze przed dwoma laty. Tem dziwniejszem wydaje mi się  
to wszystko, że wtedy całkiem inne światy mię pochłonęły...  
Zatonąłem cały w zmysłach, aż dopiero Ty stałaś mi się  
świętą nocą Zmartwychwstania. Posłuchaj:

Znam dziwne... dziwne kwiaty...



Woń ich upojna zmysłów nie odurza,  
Ale omdleniem rozpieśnia mi duszę...  
Każdy ich listek, do srebrnego kruża  
Podobny — mroczne zdobią pióropusze...

Niczyja ręka nie siała tych kwiatów...  
Ani ich pieśnią kołysały ojce: —  
Może dlatego... bolesnych stygmatów  
Męką — znaczone ich serca ogrójce!...

W złocistym pyłe słońca — blakną... więdną...  
A nocą skarżą się w rozdreszczu cichem  
Jednak... i one mają chwilę jedną,  
Kiedy zapachną... załsnia barw przepychem —

Te dziwne... dziwne moje kwiaty...

A teraz powiedz: czy prawdą jestem?... Przed Tobą je-  
dną spowiadam duszę moją... od Ciebie jednej pragnę być ko-  
chanym w prawdzie, choćby nią miała być najskrytsza moja  
tajemnica... Od ciebie jednej, mroku słoneczny...





dybyś wiedziała, jak cierpiałem. Nie — to nie było cierpienie! To było raczej konanie... straszne konanie...

Duch mój wszedł w jakieś głębie nieprzejrane... o przestrzeń bezdenną bił skrzydłem... krwawił się, szamotał i wołał...

Znasz, Ty moja — tę nieskończoność, w której Ci nie towarzyszy ani cień twój własny... ani echo twego bólu i wołania? W taką to bezprzezienną próżnię pchnąłem ducha. Potoczył się... popłynął... Sam siebie już nie czuł... czuł tylko, że leci... że gdzieś zapada... że nie ma oparcia... że dna nie sięgnie, żeby choć ból mu powiedział zdruzgotanych skrzydeł, iż jest... Gdyby się we mnie zapaliła choć jedna myśl, gdybym poczuł choćby najslabsze uderzenie serca — powstałbym... spotęźniał... oparł się... i jużbym był... A wtedy — światbym stworzył... swój... nikomu nieznanym... mój tajemny świat gdzie noc byłaby dniem, a światło nocą... gdzie duchy w szczęśliwej fali kąpałyby skrzydła... gdzie zatraciłaby się wszelka granica: bytu i niebytu, mroku i światła, ducha i ciała... Jednobym tylko z tego świata zostawił: Ciebie i irysy czarne.

I gdym tak strasznie, tak nieskończenie cierpiał, podano mi twój list...

W mgnieniu oka ścisnęło mi się serce... a duch mój w swym pędzie potępieńczym, w tej pustce bezdennej, w którą zapadał — poczuł nareszcie oparcie: ból twój...

Porwałem się jak szalony... Zdobyłem — mam!...

Głos Twojego bólu w tej bezdni zachłannej stanął mi granitem krwawym pod moje skrzydła... Przywarłem do Twojego bólu i poczułem siebie... poczułem ramiona... skrzydła... moc niebywałą.

Odtąd już w utrudzeniu, w upaleniu i głodzie—pisałem... Było mi dobrze, choć czaszka mi pękała... byłem szczęśliw, choć dławili mnie gorycze... potężnym byłem, choć kruchą za ledwie lepiankę budowałem z tych kruszców szczerozłotych, które mi w łonie Twych słów przyniosłaś...

I znów przyszły na mnie chwile konania, ale to konanie było mi rozkoszą, bo konałem Tobą, tęsknotą o Tobie—mojej całkowicie dopiero tam — hen — tam... Czuję, że odchodzisz ze mną, że drogi już wypatrujesz, któremi pójdziemy wtuleni w siebie jak nocne promienie księżycy w mgły rozwieszona... Praca moja posuwała się... biegła... pędziła—rwała naprzód... Przeklinałem Tobą, cierpiałem Tobą, bluźniłem i modliłem się Tobą... Będą to ludzie czytali... Biedni—oni nie zrozumia, nawet gdyby im to powiedzieć—że wszystko, co napisałem—to jedno wielkie słowo—Ty!... Nic więcej... Napisałem dwa duże akty... Więcej już pisać nie będę—aż wrócę... Aż wrócę! A ja przecież jeszcze nie jadę... A jednak pisać już nie mogę, bom został bez słowa, bom wszystką nić wymotał... Od Ciebie dostanę nowe skarby... z Twych oczu nowe kolory... z Twych dłoni — świeże czucia... Ty mi to wszystko dasz, bo mi pozostała jedna jeszcze pieśń, którą zakończę to moje dzieło... Pracę moją cenię sobie nad wszystko po Tobie, bo jest Tobą... Nie o sławę mi idzie — Ty wiesz o tem, tylko, żeby to nasze dziecię złożyło do nas pieściwe rączęta... żeby nas zawołało naszym imieniem... Raz w życiu niech mam tę chwilę...

A jakie to dziecię nasze czyste!

Przejrzysz się w niem i powiesz, żem duch godny Ciebie...

Ostatnia to już moja praca... Więcej śpiewać nie będę... Tak mi, Boże dopomóż...

Odtąd już lutnia moja nie zagędzi:

Nad Twojem źródłem konam w śpiew łabędzi!... Jakżesz ja czekam tej chwili, kiedy Ci będę mógł przeczytać moją mękę...

Matka moja płakała ukradkiem, żem nieprzytomny zupełnie... Chodziłem podobno, jak grób...

Mówią, żem oczy przeforsowałem... A mnie się zdaje, że to co innego. Mam wrażenie, że tak je wbiłem w próżnię, iż by je oderwać, musiałem je uszkodzić...

Zresztą — i tak przepowiedziano mi ślepotę... „Tryumf” dokończyłem... W końcu—Bożenna napływa na Ziemicę jak ciemna chmura, daje pocałunek... Ziemicę pada, a z niej sypią się, dżdżą na jego ciało—irysy czarne. Przekonasz się, jak bardzo trzeba kochać, ażeby nie ugrząść w kwileniu, nie stać się mielizną i ciasnotą, a przeciwnie, światy budować...

Nocą spływam na irys czarny... do snów go kołyszę... tęczową bajką rozświecam marzenia...



racalem już... Zostałaś tam... a ja wtulony w kąć—śniłem... śniłem... I już nie Ciebie miałem w piersi, ale wieczność całą... pieśń jakąś niepochwytaną, a jednak coraz bliższą... Czułem jak idą na mnie jakieś moce z odległych, niedosiężnych jeszcze krain... Wiry skłębione wszech bytu napływały na mnie... sam ich pęd staczał mię w przepaść rozkosznego zapadania się... gniótł mię, miażdżył... w atomy rozpylał... Nagle ów niepochwytny, a żywiołowy pęd uczułem tuż tuż, na piersi... czułem, że pierś mi się rozwiewa... że staję się jakimś łożyskiem oceanowem — pustem bezbrzeżnem, spragnionem. A pieśń ona nawalna a niepochwytna wtacza mi się potopem w nieprzejrzone głębie... ognistą lawą mię wypełnia... zastyga w czarne nocne bazalty i kamienieje... Wtedy uczułem, jak pierś mi pękła od szczęścia, co we mnie skamieniało—pękła... I nic mi z piersi ulgą nie spłynęło — nic! Bo wszystko, wszystko skamieniało w jedno szczęście!...

Gdybyś wtedy była ze mną... gdybyś spojrzała we mnie swojemi oczyma—odgadłabyś, co się we mnie dzieje, a wtedy—bylibyśmy już naprawdę szczęśliwi, bo martwi... śmiercią na wieki złączeni...

Bożenno moja... poczekaj... poczekaj... a przyjdzie taka chwila, że zamrzemy razem... cicho... bez jednego słowa... bez westchnienia nawet — kamienni...

Ty mię wyzwolisz... Ty mi dasz tajemny znak na chwilę wiecznych godów... zasłyszę głos wieszcy Twych spojrzeń



i wraz z opadem powiek Twych pozłotnych—zapadnę w głąb nieskończoności...

Twoje powieki są mi jak wschody złote i zachody zgasłych jasności... Twoje powieki, gdy się wznoszą—są mi kryształową tarczą, w której się wieczność na jedno mgnienie przejrzała, ale na wieki zostawiła swoje odbicie... A gdy opadają te twoje powieki, to widzę coś, co mię wali na ziem...—widzę — daj dłoń... pochyl się... cicho to powiem, żebym nie dosłyszał słów własnych—widzę ciemny, oślepy piorun — Lucyfera—jak spada w otchłań... Spada jak ciemny, oślepy piorun, a za nim ciągnie się jasność! U góry — u tronu — Boga przesłoniła sobą... a im niżej, tem gaśnie bardziej, bardziej.. aż staje się ciemną, głuchą bezdnią... I tu—w tej ciemnej, głuchej bezdni — nowe królestwo, nowe panowanie!... Słyszysz... rozumiesz... czujesz?!... A teraz kiedy to piszę — wydajesz mi się księgą wieszczą Sybilli... Każda karta tej książki—to mroczne otchłanie twórczych duchów — wszystkich, jacy tylko zbłądzili na tę ziemię... Listy twoje pisane błyskawicami rozpetanych myśli... płomienią się nigdy niewybuchłem uczuciem... listy Twoje są zimne, lodowe, a jednak palą pożary, co popiełą wszystką przeszłość, a zasię nowe wschody z nich się rodzą... Nie mogę, nie mogę, Ty moja, ani dalekiem echem tego, co czuję, obić się o uszy Twoje... Jedynie Twe serce zdolne jest chwycić mą mowę co zaledwie jest cichym szepem tych podziemnych gromów, co mi obiegają serce jak krew...

Usiądź... cicho... bezwolnie... w bezwład ciała się spowiń i nasłuchuj... pilnie nasłuchuj... Wierzę w to pewnością będącą mną samym, że spotkanie się naszych dusz, to nie przypadek, to nie dobór wreszcie dwóch duchów, a nawet nie powstanie tonu pod wpływem tego samego tonu... To spotkanie nasze jest syntezą tęsknot, jakie od wieków nagromadziły się, by się w nas zamknąć, załamać... Jesteśmy ostatnim momentem nagromadzonej elektryczności—piorunem... jesteśmy podwójną tęczą rozpiętą na chmurach, w których się spotkały westchnienia gorące i łzawe pragnienia pokoleń całych... I dlatego ta miłość nasza jest taka nadziemna, dlatego taka niebna... Jesteśmy jak ów piorun... jako ona tęcza... Ich królestwo — to niebne



rejony... I my lot mamy górny... więcej nawet: już nie tylko nadziemski lot naszej miłości, ale — pozaziemski!...

Pomyśl, Ty moja, czy Chrystus nie był ostatnią kroplą w tej czarze, do której się sączyły wszystkie wysiłki i ofiary Prometeuszów? On był ostatnią kroplą, która sprzęgła wszystkie w jedną wielką kroplę i dlatego to całe wypełnienie nazywało się Chrystusem... On to rozumiał dobrze i dlatego obiecał zesłać Ducha, który będzie wyrazem sumy wyższych tęsknot, które się zrodzą po Chrystusie... To panowanie Ducha objawiło się w nas... takie czyste, takie potężne, płomienne a nie spopielające... Pomyśl, co to za bezmiar szczęścia czuć się uczestnikiem tego pochodu ducha ku stopieniu się z sobą ku tej chwili, kiedy — jak Chrystus zamknął w sobie najszczytniejszy prometeizm—tak w onej naszej chwili nastąpi wieczny pęd wszystkich najszczytniejszych etapów i wierzchołów uczuć i myśli ludzkich... Ten wieczny pęd będzie *uświadomieniem* Boga, będzie jego najwyższym szczęściem. Tak sobie Boga wyobrażam... Irysie mój... pójdz za moją myślą... Świat cały od wiek wieka—to ciężkie, bolesne, męczarne tworzenie przez Boga jakiegoś wszechpoematu, co się zowie „Wiecznością“... Te wszystkie cierpienia same w sobie są okropne, przez Boga ludziom zesłane, ale o ile się to wszystko opromieni celowością — tą „wiecznością“, — wtedy niczem są, a nawet rozkoszą się stają... Ty moje, powiedz, co o tem myślisz... to ważne jest, bardzo ważne... to może rozwiązanie naszego życia tu... wśród takich warunków,—to napewno nasze „być lub nie być“... Odpowiedz, odpowiedz, księgo moja Sybillińska... „księgo umarłych“ w którą się spowinę na drogę wieczności... Z drżeniem patrzę Ci w oczy... i czytam... Daj dłoń... Z ócz płyną mi łzy... niech na Twej dłoni zastygną w irysy czarne... wpleć je we włosy... i ukaż mi się taką... Czekam...



znów przyszła na mnie chwila męczarna. Znów całego zaczęło pożerać pragnienie uczczenia Cię najgłębszym hołdem mego ducha... Myśli mi się płątały, kłębiły, paliły mózg, rozsadały czaszkę... Włosów nie czułem na głowie, tylko jakieś rozpalone gwoździe, oczy mi wysadziło z orbit... nabiegały krwią, łzami się truiły... Męka... męka! W tej rozpacznej walce o myśl, o zakłęcie myśli — zgubiłem Ciebie!... Oprzytomniałem — i przekleństwem zaprzepaściłem wszystko, co goniłem w obłąkanym pędzie... Próżno chodziłem od ściany do ściany i patrzyłem w Ciebie... Próżno wołałem wszystką krwią rozpaczonego serca... Odbiegłaś jak sen... jak przeszłość... jak ptak spłoszony... I przyszły na mnie chwile najstraszniejsze... Obojętność i apatja wypełniły mię po brzegi — cały zatonałem w bezcelu... w pustce tak okropnej, iż wzdrygnąłem się na myśl, że śmierć ma takie tchnienie! Nawet ta—wiesz—co to mi tak dziwnie dosłyszalnie zawsze mówiła—ta nawet zamilkła zupełnie — skamieniała... Darmo się wpatrywałem i zaklinałem ją wszystką rozpaczą—zamilkła!... Com przecierpiał, święta moja, może kiedyś odczujesz, gdy będę przy Tobie, gdy Ci wyświadacam ból mój piekielny... Jak długo to trwało nie pamiętam, bo czyż można objąć czasem bezmiar, jaki się w nas rozleje, choćby na jedną chwilę... Zresztą — lękam się nawet cofnąć w to koło, aby nie dojrzeć tam śladów mej krwi, mych ran i męki!... Machinalnie zacząłem czytać wszystkie Twe listy... Kołły mię... uciszał się we mnie ból... smutek objął

mię całego, a potem... potem—zstałaś do mnie cudzie mój.. wyciągnęłaś dłoń ukochaną—jak wtedy... pamiętasz? i jak wtedy wcałowały mi się w serce Twoje cudotwórcze słowa: „biedny, biedny”...

Kocham to Twoje wyciągnięcie dłoni, bo z niem spłynęła na mnie łaska, bo wraz z niem miłość Twoja zbiegła ku mnie... Dłonie wy moje święte! Podaliście mi najświętszy wiatyk na nieznaną dotychczas drogi, na gody ducha, na zwycięstwo... na tryumf! Kiedyż was poczuję na mojem czole... kiedy mię znów pobłogosławicie... kiedy ułożycie na sen, co będzie waszą czystością, waszem dotknięciem w nieskończoności—kiedy?... Bożenno moja... Ja — syn ziemi, syn przekleństwa, buntu, targań, upadków i wzlotów—u Twych stóp składam wszystko, com jako łup zwycięzki zyskał w tej walce... Bożenno moja... Twardą dłonią rozepnę nad Tobą namioty mych piersi stęsknionych... żelazną pięścią zatrzasnę drzwi nasze — i w pokornej ciszy legnę przed Tobą... Wtedy się dowiesz, ile szczęścia mi przynosi każde Twoje słowo... każda myśl Twoja...

Wiesz — kiedy czytam Twe listy — słyszę dźwięk Twojego głosu, widzę oczy... linję ust — tę linję, która najbardziej daje mi widzieć nieskończoność. Poczyna się ona — gdzieś... gdzieś w oczach, czy w myśli Twojej, czy w piersi może—a tu... w ustach występuje wyraźnie, jak gościniec królewski, słoneczny... a im dalej—tem bardziej niknie... rozwiewa się... aż niepochwytynie ginie tam, skąd powstała — gdzieś, gdzieś — hen!

Nie dziw się święta moja, żem się wdarł w świat — zdałoby się — niemożliwy do zrealizowania, do nadania mu kształtu...

Tejemnicę tego świata wziąłem z Ciebie—z Ciebie! Z Ciebie też wziąłem... z Twego listu ostatniego wyzwolenie myśli mojej...

Dopiero teraz zrozumiałem, że te moje katusze były zapowiedzią ucieleśnienia myśli przez Ciebie... I teraz stało się to, co było przed napisaniem dwóch pierwszych aktów... Raduj się, Bożenno moja, dumą tęczową okół białe skronie... myśl moją wświeć w noc swoich włosów!...

Cudna moja... święta... biała... otchłanna!... W ostatnim liście napisałaś „coś” co mnie zamroczyło zupełnie... Drugi raz to od Ciebie słyszę... A bałem się, że może to raz tylko powstało w Twym czuciu... Nie powiem Ci, które to są te słowa... Kiedy już będę odchodził nazawsze — wtedy mię temi słowy pożegnasz...

Napisałem akt III. I pomyśleć, że nie prędko Ci go jeszcze przeczytam!... Ja tylko Tobą żyję!... Chora jesteś... Pamiętaj, że zdrowie Twoje należy do mnie, że choroba Twoja — to największy mój ból... Nic więcej nie powiem, bo tu już nie panuję nad sobą... Pamiętaj — zaklinam Cię — pamiętaj... Nikt chyba nie określi tak głęboko i trafnie idei mego dramatu — jak Tyś to uczyniła... w tym ostatnim kochanym, w łóżku pisanym liście... Ile w nim dla mnie drogich rzeczy!... Czytam, czytam i nigdy dość... I znów wracam do Twych dłoni... Całuję je w najgłębszej czci mego ducha... całą miłością jaką mam dla Ciebie... I kiedy pomyślę, że te dłonie w oną chwilę odkupienia mogły się nie wyciągnąć ku mnie — tchu mi brak...

Może teraz tarzałbym się w najohydniejszej rozpuszcie, może zgubiłbym ducha bezpowrotnie... Gołębico moja, irysie mój... w trzecim akcie jest rzecz straszna... grozą wewnętrzną bije akt I... Czyś dumna ze mnie, czy będziesz za to zdrowa?... Bądź, bądź!... Ktoś nazwał dramat mój — misterjum... Czuję, że teraz jest niem. O jakżem szczęśliw, że to Twoje dzieło!...





udzie mój... śnie mój ucieleśniony... Bożenno moja... u nóg Ci leżę i stopy Twe łzami omywam i miłość moją płacę przed Tobą... Jak ja Cię kocham, duchu czysty, święty, promieniem bożych ocz przeświecony!... Teraz, teraz, skonałbym w najświętszej ekstazie... teraz mi umrzeć, bom już zupełnie z Tobą złączony... Święta moja... dławi mię miłość, powala, jestem nieprzytomny miłością swoją i przeniknięciem ducha Twójego... Bożenno moja, w śmierć mi już teraz, bo już dziś nie czuję siebie, jeno Ciebie, a w Tobie — siebie...

Przed chwilą odebrałem list Twój... Łkam głośno, chodzę i wołam: moja... moja... Znalazłem Cię, mam, nie puszczać! Tyś moje dziedzictwo, Tyś uświęceniem mojem, Tyś drogą żywota na wieczność! Zaraz to zrozumiesz... Nie mówiłem Ci, co będzie w następnym akcie... nie zdradziłem nawet przed Tobą tajemnicy, bo mi się zdawało, żeś powinna to przeczuć, że jeżeli Twój duch zespolony z moim, to musi dalsze drogi przewidzieć, mieć je już w sobie... Dramat mój jest czemś nieskończenie więcej, niż tworzeniem. Jest mi on — misterym stopienia się i wysłonecznienia naszych duchów... Jeżeli więc miałem to w swej duszy, to nie dziw, że byłem przekonany, iż oboje idziemy szlakiem tworzenia, że nic nie powinno być ci obcem z tego com wyśpiewałem!... Przecież wszystko com napisał — było otchłannym bólem nas obojga — naszą walką i zwycięstwem! Dla obcych nam duchów, dla



wszystkich poza nami będących — zostanie czemś niepojętem, dziwnem, obłądnie natchnionem. Toż sama kiedyś powiedziała, że żaden sen człowieczy nie wybujał tak bardzo, a cóż dopiero, żeby się urzeczywistnił, jak to z nami się stało!

Wobec Ciebie nie mam ambicji poety, zwłaszcza w tym co dotyczy ostatniej mojej pracy... Ta jest naszą wspólną własnością... Wszystko mógłbym napisać bez Ciebie, ale tego — nigdy! Bo nigdy nie sięgnąłbym tak wysoko bez Twojej dłoni, bez Twojego smutku i tęsknoty...

Aż oto dziś, kiedy już mam prawie wszystko skończone — dziś przychodzisz do mnie i nie wiedząc o niczem, w kilku słowach zamykasz swoje najwyższe pragnienie, które ja już zdołałem zamknąć w kształt.

I to jest godzina cudu... i to jest ślub nasz... i to jest stopienie się duchów na drogę wieczności, gdzie duch panowania otrzyma.

Wczoraj jeszcze gdym przepisał prawie cały trzeci akt, prócz ostatniej sceny, którą odłożyłem, bom zaślepił zupełnie — wczoraj — myślałem, że przecież dramat mój może się nazywać jedynie: „Paraklet” — to znaczy: „Duch pocieszyciel”.

Słowo to jest bardzo dobrze znane zresztą... Panowanie Ducha! Wieczność, szczęśliwość w królestwie Ducha!

Teraz zdaje mi się wszystko prawdą: nie przeczuwaną, nie pragnieniem ściganą, lecz rzeczywistą, pochwytaną, wyczuwalną... I wierzę teraz, wierzę w Twą miłość, bo tylko czysty duch wyzuty zupełnie z doczesności, mógł tak biedz z moją myślą — tak widomie w jednym, najodleglejszym punkcie się zetknąć w jedną gwiazdnicę!... Raduj się, raduj, Bożenno... raduj ze mną — synem ziemi, iżem przez Cię wyniesion, wywyższon, uświęcon w łaskę najświętszego dostojeństwa ducha!...

Chora jesteś — to mój ból męczarny... Co Ci jest? Powiedz, wszystko — ja mam prawo wszystko wiedzieć. Pociesz mię... wstań i zdrowa bądź... Niech nie cierpię tem, że Ci źle... Mysterjum Ty moje! Piękną bądź, bo Twoja piękność ducha mi raduje... przyszłość mi wróży anielską...

Pomyśl, gdyby Słowacki zawładnął zupełnie swoim górnym buntem, gdyby go był nie rozstrzelił tu i owdzie —

pomyśl jaki mógłby dramat stworzyć... Dużo, dużo świat zawi-  
nił, że on nie wytoczył z siebie jednej wielkiej bryły! Dał  
tylko opowieść niekiedy swej wielkiej duszy, ale nie pchnął jej  
po stromym zboczcu niebotycznej skały... Zmiażdżyłby ziemię.  
A jednak był blizki wielu, wielu rzeczom... Mam żal do nie-  
go, że tego nie chwycił, iż „perła o perłę ton bijąca w ucho”,  
a nie „perła po perle“...

Byłby dał wielką tajemnicę — tak dał głęboką prawdę.  
Nie piszę Ci o „Paraklecie“ bo chcę to zachować na naszą  
chwilę... Wtedy utwierdzisz się, że nie jest przechodzień...  
żem z królewskiego pnia dla Ciebie zrodzon. Piszesz o mo-  
jej ślepcie... Zawsze o niej myślałem i w „Samsonie”, któ-  
ry jest w zbiorze, wyczytasz to lepiej... Teraz, kiedy widzę,  
jak odgadłaś moją myśl ukrytą,—teraz dopiero rozumiem, ile  
Ci rozkoszy musiały sprawić: „Te dziwne, dziwne kwiaty“...  
Tytuł tego wiersza: „Z mojego ogrodu“... — Napisz, czy do-  
brze, że położyłam tytuł: „Paraklet“. Pisząc to wczoraj, za-  
mieściłam takie słowa dedykacji: „Tej, która mi dała to wszy-  
stko — oddaję!!! Dobrze? Oddaję... nie ofiaruję...“

Ziemic klęczy u nóg Twoich i w czarny irys za-  
kwita...



ddalem go ziemi. Poszedł w tajemnicę i ko-  
łysze się w jej blasku, gdy ja błędę wokół  
tajemniczych wrót... I gdy już proch zstę-  
pował w głąb, mnie się zdawało, że nie  
ziemia go pochłania, lecz ja — Ziemic —  
pozwoliłem mu znieść do siebie i posłyszeć  
to, co we mnie smutkiem, w coraz to rozlewniejszą falę się  
wyołbrzymia. A reszta moich myśli śnieżyła Ciebie... skrzyła  
Cię... kładła na Tobie błękitne cienie... i ginęła w bezbrzeżu  
ust Twoich... w rozdrzanych głębiach duszy Twojej...

Pierwszy raz może byłem tak bardzo smutny... Patrza-  
no na mnie ze zdziwieniem... nie śmiano zapytać... każdy  
chyba odczuwał, że to nie zgon Zygmunta był tego przyczy-  
ną... Stałem się zimny, lodowaty... Śnieg miękki, sypki,  
gwiazdzisty począł mię okrywać... Z Twych dłoni szedł... spły-  
wał... tulił... pieścił...

A cmentarz wydał mi się duszą Twoją... białą, przyczy-  
stą duszą Twoją... Wchodziłem jak w swoje królestwo...  
Oniemiałem z zachwytu... Wszystkie drzewa — niby myśli  
Twoje — mistyczną okiścią się kwieciły... Śnieżna sędzielina—  
jak wzrok Twój—to w runy nieodgadłe się wiązała... to spła-  
tane, kabalistyczne znaki pisała... to — jak mowa dziecięca —  
płynęła prosto, naiwnie, sennie...

Zamknęli grób, a ja nie grudkę ziemi, lecz szczyptę śnie-  
gu, dar rąk Twoich — rzuciłem mu w pożegnanie.



Wracałem końmi aż na samo miejsce, aż przed próg mój... Pięć godzin jechałem... Mróz był aż bolesny... I wiesz—te pięć godzin wydały mi się wśród śnieżnych, obszer-nych pól—snem krótkim na białem, świętem Twojem czole... Błądziłem po niem... nie wołałem... aż mi się ukazała naresz-cie wązka ścieżyna wśród ciemni lśniącej — włosów Twoich... Bożenno moja... za to, co Ty mi powiesz, gdy stąd będę od-chodził—i ja Ci coś wzamian powiem... Ale dopiero wtedy... nie przedzej... Gdybyś wiedziała — jak Cię kocham, jak mi tęskno do Ciebie... jak mię coś dławi... tak strasznie dławi... Gdybyż to można było zamrzeć w tym dławiącym ścisku... gdyby to się stać jedną łzą i na rzęsach Twoich rozłkać się cichym, roztesknionym płaczem... gdyby w głębiach Twych oczu potem rozplynać się, zniknąć... i tajemną drogą serca do-bieść... i tam krwią się Twoją zrumienić... i stać się krwią Twoją, życiem, szczęściem...

Wróciłem... Zastałem list... i znalazłem wszystko, wszyst-ko — Ciebie!

Więc już napływasz na mnie czarną chmurą — Bożenno moja; sypiesz na mnie irysy czarne... i wołasz, bym poszedł tam za Tobą... w tajemnic rozwiązanie, w szczęście nasze wspólne, w naszą nierozłączność, w krainę snów...

Pójdę... pójdę... Słuchaj — gdy umierać będziesz — zabie-rzesz mnie ze sobą — razem umrzemy... Gdybyś mi kazała żyć—pękłoby mi serce... Bo już teraz czuję, że mi czasem sił nie staje... Bożenno moja... Posiadłem tajemnicę Twojej czy-stej, świętej, boskiej duszy... Nic mi życie więcej nie da... Twoja miłość — to buława moja po zwycięstwie wielkiem... Chcę byś mi ją na łożu śmierci własną ręką podała... Irysie mój... Kocham Cię całym życiem mojem i niemowlęctwem mojem i szczebiotem dziecięcym i pierwszymi krokami i mło-dzieńczością dziką, dumną i szaloną — całym światem mych myśli, co się we mnie zrodziły... całą otchłanią uczuć najtaj-niejszych, co się toczyły w mej piersi... — wszystką Tobą ko-cham Ciebie!

Kazałem sobie czytać „Parakleta“. Chciałem usłyszeć jak brzmi w czytaniu osoby trzeciej. Zaczęliśmy o 10-ej, skoń-czyliśmy o 1 i pół w nocy. Słuchałem jak rzeczy nowej...

Już trzecia wybiła... Ty tam śpisz pewnie... Śpij... śnij... marz o tej krainie, skąd przyszłaś tu na ziemię, by się ukazać Ziemcowi... by mu powiedzieć: pójdź za mną... Bożenno moja... ja Cię tak kocham, że już wprost mówić nie potrafię.

Kiedyż nareszcie nie będzie potrzeba mówić?! W miarę jak się zasuвам w Twoją duszę, coraz bardziej zatracam wszystko... Prędeż, prędeż...

O tem, co znalazłem w liście — nie mogę pisać.

Dałaś mi... dałaś taki skarb... taki talizman... On mię obroni od wszystkiego, da mi taką czystość duszy, iż stanę się równym Tobie, da mi siłę, da mi cichość, pokorę i smutek... Będzie mi zadatkem tych niezgłębionych rozkoszy, co się już nad naszemi sercami ważą... zwisają... kołyszą... Paraklecie mój... zwiastuj mi dzień święty... dzień cudu, bo mrę z tęsknoty, mrę z wyczekiwania... Bądź coraz świętsza! Niech Twoja anielskość czyni ze mnie proch coraz mniejszy, niklejszy... Chciałbym zniknąć przy Tobie, stać się echem, dźwiękiem... Czyn ludziom dobrze... niech Cię każdy błogosławi i kocha jak ja kocham, niech każdy z Ciebie ma ukojenie, obietnicę wielkich dni dla ducha... Niech, kto spojrzy na Ciebie, uleczon będzie! Niech każdy świętość nieskalaną w Tobie dojrzy i pochyli się przed Tobą... Idź przez życie i czyn wszystkim dobrze — duszom i tym, co mają ducha!... A ja chciałbym zniknąć, rozwiąć się i tem unicestwieniem siebie samego — kochać, kochać...



szystkich mam — prócz Ciebie, coś mi jest  
wszystkiem!... Pogodzić się nie mogę z my-  
słą, że Cię nie ujrzę, że głosu Twojego nie  
usłyszę, że nie zasiądziesz wraz z nami do  
stołu... do chleba... do soli... Bożenno mo-  
ja... czyż Ziemicowi nigdy danem już nie

będzie pod strzechą swoją ujrzyć objawienie smaków nieziem-  
skich?! To piękno, co z duszy Twojej zstąpiło, by mego  
ducha podnieść, wywyższyć, porwać z nieśmiertelnych czarów  
tęsknotę — to piękno zмага się teraz z moją doczesnością...  
Wszystko, co jest we mnie, a co jest z życia, z ziemi —  
zatraca się, zaprzepaszcza... — zamiera w jakiejś ekstazie bólu  
i szczęścia... O, gdyby już nie czuć nigdy rozdziału, gdyby  
nic, nic nie zdołało nas choćby na jedno westchnienie odłą-  
czyć od siebie. Wiesz, to wszystko, czem się otaczamy, cały  
bieg życia, a nawet my jako ciała mącimy i gmatwamy  
i opóźniamy nasze dążenie do współlistotności... Współlistot-  
ność! Może nastąpić tylko wtedy, kiedy już nic, z tego co  
przejściowe, co zmienne, co jest granicą, trwaniem, początkiem  
i końcem — łączyć nas nie będzie... Miłość moja dla Ciebie —  
to nie żądza posiadania Twej duszy, to nie pragnienie stopie-  
nia się z Tobą w jedno święte, nieśmiertelne „ja”... to nie  
owa suma snień moich ucieleśniona w naszej jedni — nie! To  
wielkie, twórcze „niech się stanie światłość“! To najwyższe  
zaklęcie rzucone w nic, by powstał świat... to — niesłyszana  
nigdy mowa, co się przyobleka w ton samego twórcy...

Zrozumiała byś mą myśl z jednego gestu, z jednego drgnienia mej twarzy... To jest ponad wszystko, o czym kiedykolwiek myślałem... Daj rękę — i słuchaj... Gdybyśmy sny nasze chcieli urzeczywistnić w tym świecie dźwięków, linii i barw — próżna byłaby nasza praca... Moglibyśmy wytworzyć tylko jakąś nową, oryginalną kombinację, ale w rezultacie stabilibyśmy się jedynie wyższym stopniem ewolucji, a więc tem samem tkwilibyśmy w przeszłości poniekąd i w terażniejszości, boć musielibyśmy korzystać z tego, co nam дано i co nam dają teraz... Prawda, że do tego dołączylibyśmy jeszcze coś swojego, ale to wszystko byłoby tylko przejściową formą drobnoustroju świata... I dopókiibyśmy dążyli do rzeczzonego celu, zawsze musielibyśmy być w pewnej niewoli przeszłości, w zależności od terażniejszości i czemś, co *logicznie* toruje drogę przyszłości przez to, co było i co jest. I to jest właśnie ohydne i wstrętne, od tego uciekam, z tego chcę Cię wyrwać za wszelką cenę! Nie chcę byśmy wchodzili w pokrewieństwo t. j. byśmy byli potomkami przeszłości i rodzicami przyszłości...





oja świątynia modli się do Boga... modli się do swoich szeptów... do drzeń nieuchwytnych, zwiewnych, wieczornych... Znasz Ty ów najświętszy śpiew ducha, kiedy melodia najskrytszych głębi nie zna dla siebie wyrazu, słów — jedno sama w sobie nieuświadomiona, nieujęta w formę staje się hołdem i czcią Bóstwa, a zarazem Bóstwem samem... Kiedy myśl się zatracza, rozwiewa... ślepnie wzrok wpatrzony... słuch głuchnie rozwarty... Kiedy tylko bicie serca zapanuje nad wszechświatem... wszechświat sobą wypełnia — i nie istnieje już nic, nic... Znasz to, Bożenno?...

Wtedyśmy równi Bogu, wtedy stajemy się jakimś boskiem tchnieniem, ogarniającem wszystko i przenikającym bezmiary... Czuję, żem godny Ciebie ducha... Tem zatraceniem, tem wyzbyciem się doczesności, zaprzepaszczeniem granicy wszelkiej dosięgam Ciebie, stapiam się z Tobą w jeden rytm Miłości — i jestem!...

Nigdy nie odczuwałem tak wyraźnie, tak materialnie niemal swojego bytu ducha, jak wtedy, kiedy wszystko, co mówi zazwyczaj o naszym bycie na ziemi, pierzcha i niknie bez śladu...

Bożenno moja... Jakież to szczęście poczuć w sobie cud nad cuda!... Jakież to szczęście zczeznać, jako jednostka, by stać się nieogarnioną nieskończonością... Pomyśl tylko... Tyś tylko to zdolna odczuć, bo nawiedzają Cię takie chwile...

„Tryumf” kończy się poświęceniem wielkiej tajemnicy. To poświęcenie jest tylko pierwszym krokiem do osiągnięcia większej tajemnicy, którą się kończy „Paraklet“.

Czy wdarcie się w Królestwo Ducha jest już ostatecznym biegiem ducha?... Czy tam w tej niedostępnej dla ludzi wyży niema już nic w czem mógłby duch rozwinąć skrzydła, niema granic? Czyż to możliwe? Przecież z chwilą, kiedy duch wnijdzie w ono królestwo, które jest nieodgadłą tajemnicą—tajemnica przestać być musi tajemnicą... nieskończoność — nieskończonością odtąd być nie może!... Tylko dla skończoności, dla bytu określonego, materialnego, istnieją beskresy, ale dla ducha, co jest beskresem, nieskończoność jest takim samym zamknięciem i realnością, jak dla wszelkiego ciała wymiary fizyczne... Czyż nie tak?... A więc bywaj nowy świecie zagadek, nowy świecie poszukiwań, pragnień, utęsknień i dociekań! „Parakletem” zamknęliśmy drugą wyprawę Kolumbową... Tu nowa ziemia, na której nikt jeszcze stopy nie postawił — z czasem, gdy w niej się rozpatrzymy, gdy się rozejrzymy dokoła — stać się może i stanie z pewnością gruntem realnym, czemś tak konkretnym jak zjawiska, co nas otaczają, a wtedy będziemy mogli coś o tem powiedzieć... Wtedy przyjdę do Ciebie z latarnią i poprowadzę wśród wichury, burzy i deszczu, jak to w śnie swym cudnym widziałas... Daj nam to, Panie... daj nam to Boże!...

Widzisz—ile mamy drogi przed sobą... ile nas czeka jeszcze wielkich zdobyczy — ile wspólnych łupów zwyciężkich... Bożenno... krew mi napływa do głowy... Nie idziemy — jak Dant—przez piekło, czyściec i niebo — lecz przez jakieś drogi, co drogami nie są, przez fale powietrzne, co nie mają nazwy w języku człowieczym! Czy Cię nie przestrasza ta droga? Czy nie wydaje Ci się ona snem, marzeniem? W zetknięciu się ze światem, z tem, co jest moją dolą ziemską, miewam czasem takie wrażenie — i wtedy biegłbym do Ciebie... wtedy z krzykiem przypadłbym Ci do nóg, byś się odezwała, byś spojrzała na mnie, bym poczuł dłoń Twą świętą, a tem samym się przekonał, że to nie złuda, że to nie gra obłąkanej wyobraźni... Teraz dopiero rozumiem, dlaczego muszę, muszę od czasu przynajmniej do czasu ujrzeć Ciebie, bym mógł

powiedzieć sobie jak Ziemic do Bożenny: „aniś mniej święta... (od snów moich o Tobie)... aniś trocha zbrzydła”...

Czytaj, czytaj „Parakleta”... Tam wszystko pisane Tobą, tam wszystko jest moją tęsknotą do Ciebie, tam wszystko jest — Tobą!...

Ta droga, co się przed nami ściele — to promień jasny i czysty!... Na to by po niej biedz — trzeba nam być jasnym i czystym promieniem!...

W mojej samotni taka cisza... taka świętość... taki dziwny brzask... Żadne objawienie natury takby mię chyba nie kołysało, nie niosło—jak te cztery ściany, jak te belki pobielone, jak te irysy, co konają bez skargi... Irysy chylą się... złocą... coraz bardziej przezroczyście, coraz bliższe zupełnego wysłonecznienia... Konają... A wiesz Ty — czemu?... Bo w czterech moich ścianach pełno Twoich upojnych myśli... pełno Twych czuć anielskich... pełno Twych spojrzeń obłądnych... Irysy to czują... i mrą zcicha. A cóż dopiero — ja! O, gdybyś wiedziała, co się ze mną dzieje... gdybyś choć na jedną sekundę była we mnie! Ale nie w tym, co tam, w mieście mówi mową ludzką, co chodzi, je, pije... Ty mię znasz tylko przez Twoją intuicję, tylko przenikaniem swego ducha... Chciałbym ku Tobie sunąć cieniem... odbiciem i odzwierciedleniem mojego ducha, moich tęsknot... moich myśli. Wtedy dopiero stanąłbym przed Tobą bez lęku i bez trwogi... To moja męczarnia... Wiem że mię uspakajac będziesz... ale to próżno... A może znajdziesz jakieś słowo, co mię uspokoi i upewni, że poprzez mnie—jawi Ci się wyraźnie i niezmaćcenie mój duch... Tyś Bożenna, a jam — z ziemi...



óžno już... Coś mię chwyta i wypęda z domu... Idę śród omglonych powietrzem pól... po miedzach polnych błędę... na drogi szerokie, strzeżone przez długie szeregi śnieżnych drzew, bezwiednie wchodzę i czekam, czekam czy mi się ukażesz... Mgła srebrna, lękliwa napływa na mnie... Wtedy dopiero rozumiem, że próżno czekam, że nie przyjdiesz, kiedy posłałaś do mnie mgłę—myśli swoje, tchnienie czyste i święte... Staję... przymykam oczy i nieruchomy, martwy—w myśli Twoje, w Twoje tchnienie się spowijam — i dobrze mi, dobrze... Zaskrzypiał w oddali śnieg... obudzam się ze snu złotego... I tu nawet życie rwie najcudniejsze marzenia i tu nawet całkowicie nie można śnić o życiu własnem, niepodzielnem... *Wszędy przekradnie się rzeczywistość — zaskrzypi, zagrzyta i wyszczerzy zęby...* Uciekam... wracam do mej chaty... O, gdybyś Ty ją znała!... Wszystko w niej—Twoje... z Twoich spojrzeń, z Twych dotknięć, z Twoich drzeń utkane... Trzy leśne świerki zaludniły mą chatę i bają mi cuda o tajemnicach borów... Ja słucham i Tobie wszystko opowiadam, a Ty, patrzysz... patrzysz... Nie patrz tym wzrokiem, nie patrz, bo mi się zdaje, że mnie nie widzisz, lub, że dopatrujesz gdzieś daleko, daleko... A może i to prawda, że takim jakim jestem w nieodsłonionej dla zmysłów głębi — dopiero wytężeniem wzroku w bezkres zdołasz mię dojrzeć... Patrz... patrz!... A czasem zmruż powieki... te moje cuda... te mistyczne zamieranie na życie wieczne, niezmacone nawet blaskiem bożym...



Gdybyś wiedziała, jak wieczorne mroki wpełzają do mojej chaty!... Szare, liljowe, błękitne suną jakąś zadumą poprzez okna i przędą dziwną tkaninę... Siadam i wpatruję się w tę pracę... Duchy opiekuńcze przychodzą do mnie i niosą mi Twoje myśli, Twoje uczucia... Co wtedy czuję? Nie silę się nawet jednym słowem dotknąć tej świątyni...

Bożenno moja... Nam nie wolno żyć w tym świecie, który nas otacza... Pomyśl... Toż to bagnisko, w którym się roi robactwo przez to właśnie, że słońce wgląda w tę kałużę... Wszelka idea może kwitnąć tylko w duszach, które ją z siebie wypromieniły... ta złota moneta wymieniona na miedź — trującą śniedzią przywiera do serc i umysłów... Bo i cóż się stało ze wszystkimi ideami, które rzucono w świat... Odarto je z najcudniejszych szat, skopano, zbłocono, i już jako taką łaskawie obdarzono indygenatem. Jakie to okropne!... Mówiłem ci kiedyś, że Chrystus z Miłością zbyt się pośpieszył, gdyż jeszcze nie zdążyła zapanować sprawiedliwość, która miała i mogła być gruntem trwałym pod miłość... Żle mówiłem... Żadna idea nie może się liczyć z logicznym następstwem, z ewolucją. Idzie z duszy, jest iskrą, które się krzesają, czy to w obłokach, czy tu na ziemi, zanim jeszcze człowiek zaludnił światy i mógł z niej korzystać. Najszczytniejsza idea mogła wyprysnąć z duszy ludzkiej nawet w epoce jaskiniowej, a więc wtedy, kiedy zdawałoby się nie mogła mieć żadnego zastosowania... Idea jest własnością dusz wybranych i temsamem dla ich królestwa nigdy nie zawczesną... Rzucona w świat, zawsze się skazi, splugawi, bo świat musi się logicznie rozwijać...

Tajemnica naszej Miłości, jako dzieło sztuki przyjdzie z początku niezrozumiana, ale później doczeka swej chwili... A przez ten czas ile pojedynczych dusz zawadzi, rozbudzi, pchnie...

Kiedy sobie pomyślę, że miliony ludzi są tylko ślepem narzędziem w rękach poszczególnych idei — uczuwam taki wstręt i pogardę do kultury, iż uciekłbym gdzieś — hen! Pomyśl: idea, która jest zawsze najszczytniejszym wyrazem ducha, oderwana od rodzinnego pnia, od macierzystej duszy, jako prometeuszowy ogień rzucona między ziemian—staje się

z oblubienicy — cudzołożnicą, ze źródła — bagniskiem, z życiodawczyni — tyranem krwawym i pożerczym Molochem! Idea — ten cud, to objawienie ducha wydaje mi się natenczas jakąś piramidą, którą, ażeby wznieść, trzeba było zboczyć krwią tysięcy ludzi, z których każdy przecież miał duszę... I to się mści... Idee bowiem zostają piramidami zimnemi, martwemi kolosami, które się podziwia, a one stoją i milczą... Ta pożercość idei czy to społecznych, czy narodowych, czy wreszcie ogólnoludzkich — jest przekleństwem dla całych mas, które jednolitą, królewską szatę gwałtem wciskają na ordynarne, brutalne grzbiety... Szata pęka... łańchmany wisną... a ludzkość sądzi, iż coraz piękniej wygląda... Idea tylko do tych należy i tym wieńczy skronie, którzy ją zrodzili — nikomu więcej! Powiedz — co o tem sądzisz? Szczęście nam się objawiło, upodobalo nas sobie, uczyniło sobie świątynię z naszych serc... Czuwajmy nad skarbem... Cicho, tylko sami szeptałmy lub milczymy w jej wnętrzu... Chodźmy tylko śród ludzi, a prawda naszej tajemnicy niech przez nas przyświeca, niech uśmiech płaski zdmuchuje z ziemskich twarzy, niech myśli otaczających nas dusz porwie za sobą tak, iżby tego nie czuły nawet... iżby ten pęd, który od nas idzie, wydał się im ich własnym pędem!

Niech bezwiednie idą za zjawą, jak nasze duchy bezwiednie się ku sobie pochyliły... Wtedy ich lot będzie prawdą, wtedy pójdą nie jak niewolnicy, ale jak duchy wolne gnane siłą, która jest w nich, ale przez nas została wzbudzona do życia...

Każda godzina Miłość moją zwiększa... Kocham — nad wszystko kocham...



o „Paraklecie“ musi nastąpić coś jeszcze... Nasza pieśń jeszcze nie skończona, choć myśl się już mąci, choć ręka omdlewa, a oczy ślepną od blasków nieziemskich.

Musi nastąpić coś, co nam ostatecznie rozwiąże naszą przyszłość a i na teraźniejszości, zgoła odrębne piętno wycisnie... Czy wyodrębnienie się nasze, do którego wzdychamy i ku któremu dążymy całą siłą dusz naszych będzie owem szczęściem w wieczności?... Czy niezależność nasza od jakiegokolwiek potęgi—da nam bezmiar upojenia i niezgłębione ruchy ukołysań?... Mogę Ci postawić te pytania, bom już przeszedł w sobie wszystko, wszystko! Jedna chwila stała mi się wiecznością, a ja wraz z Tobą w tej wieczności żyliśmy długo... długo... Postuchaj Bożenno, com przeżywał z Tobą, posłuchaj...

Szliśmy pod tchnieniem Parakleta w sen naszych duchów, w sen co stał się nam rzeczywistością, w którą zamknęliśmy—jak w określone granice — nasze pragnienia... Nieśmiertelna i wieczna droga, po której sunęliśmy, w miarę jak prowadziła dalej i dalej, zwężała się, zacieśniała, stawała się coraz niklejszym promieniem, który niemniej nic nie tracił ze swojej bezskreśności...

Mknąc w bezmiar, nie szliśmy w przestrzeń bez końca, lecz szliśmy nieskończenie w głąb samych siebie... Nie przestrzenie dla nas stały się nieskończonością, boć swoim bezkresem ujarzmiliśmy nieskończoność, — ale my sami dla siebie!... I roztwarzała się przed nami droga wewnętrznej nie-



skończoności... niezrównanie zawrotniejsza, upojniejsza i chłonąca nas w siebie magnetycznie...

Wtedy to zrodziło się w nas pragnienie odrębności i niezależności, aby tem łatwiej cel swój osiągnąć — zdobyć to, co stało się już nami, a co jeszcze ostatecznie stać się musiało przez nas.

Zdobyliśmy odrębność i niezależność... Odtąd duchy nasze szły w siebie coraz głębiej, przenikały się coraz niedostrzegalnziej, aż nareszcie niepostrzeżenie zatraciła się ich granica, cecha wszelka — stały się... jednią!... A teraz znów pytanie... Czy tu kres wszelkich pragnień?...

Bożenno moja... nim odpowiesz mi na to — przeżyj to wszystko w swojej duszy... Prawdę musimy zdobyć i prawdę dać światu...

Choćbyś ją dała tylko Twej dziecinie, to i tak już odkupienie przez Ciebie przyjdzie na nią...

Kocham to Twoje dziecię i zdaje mi się, że ono poniesie w kształcie ziemskim Twoją duszę... Dziwnie przez duszę mi się przesunęło to życie, w które wstąpiliśmy przez Parakleta...

Ty jedna... jedyna i to w godzinę bezwzględnej samotności, w chwilę najszczytniejszego wcielenia się w mojego ducha, odczujesz com przeszedł!... Nie krwią, ani męką, ani bólem znaczyłem tę drogę, ale skamieniałością... Pękało wszystko we mnie, a ja nic nie czułem, tylko jak bryła toczyłem się przez wieczność — jak płyta grobowa, a ta wszystka droga, po której gnały mię męki, pisała na mnie swoje znaki... O, jakie to straszne!... Bożenno, głowa pęka... rozsadza ją żar... Dłoni mi twojej potrzeba — przesunij ją po mem czole, choć zdaleka — to mi pozwoli oddychać... żyć jeszcze... A gdy się spotkamy, opowiemy sobie dużo, dużo...

Wiesz co? Kiedy wszedłem do swojego pokoju, przystanąłem na progu i zadrżałem... Odmienił się mój pokój... Coś z nadziemskich mocy uczyniło zeń sobie zbrojownię. Stałem wobec czegoś okropnego, co mi przyjdzie przeżyć, przeboleć, aby dojść do celu...

Błędni my wikingowie!... Idziemy na podboje na wątlach łodziach... opływamy cały glob i po latach, latach... na



schyłku dni... umęczeni i sterani — wracamy do tego samego punktu, z któregośmy wyjechali... I zdawałoby się, że to wszystko daremne... poco było wyruszać?! A jednak — to wszystko!! Bez tego — nic!!! Ten sam punkt, ale jakież inne oświecenie, jaki inny krzyk w piersi, jak wielkie, zdobywcze, zwycięskie „Eureka“... Wyjeżdżamy dumnymi zuchwałcami, a wracamy pokorni, cisi... Niech Cię zawsze mam taką cichą pokorną i łagodną — jak ostatnio...



ę pieśń poświęcę Twemu dziecięciu...

Posłuchaj...

Mówiłaś mi kiedyś, że kochasz postać Jana Chrzciciela... Jak cień wlokła się ona odtąd za mną, nie dawała zasnąć, na jawie w pozłocie słoniowej kości mrużyła mi oczy, w oczach lży ważyła... Dziś, kiedy wieczór szarym mrokiem wświecał się do mojej chaty—usłyszałem Twój głos: „kocham postać Jana Chrzciciela”... Momentalnie porwałem się, począłem biegać jak szalony, gonić... Nagle zapadłem w fotel... dreszcz gorący obiegł mię całego: stanął przedemną „Jan Baptysta” wielkiego Donatelli!... Z rzeźby tej poczęły się sączyć we mnie jakieś ascetyczne kontury, linje, oplotły mię wizje—znalazłem!... Tę pieśń poświęcę Twemu dziecięciu... Jestem pewien, że ona zrozumie tę naszą czystą, świętą, nieskałaną Miłość... Ona w sercu swoim zbuduje ołtarz, na którym chować będzie i czcić jak skarb tę duszę Twoją i tę miłość Twoją, co z Boga jest i w Bogu tylko ma swój prawzór... Ona i mnie kochać będzie, zem stał się tym, na którym taka świętość spoczęła... Posłuchaj... Zacharjasz, kapłan Jechowy, w świątyni sprawuje ofiary... Pan mu objawia, iż zejdzie ku niemu Miłość, która ołtarzy nie splami, a z której narodzi się — Jan, a ten będzie wielkim poprzednikiem boskiej miłości... Zacharjasz w głębi nie wierzy, azali to być może, nie ufa, wątpi... Wśród najcodzienniejszych warunków życia spotyka istotę cudnej piękności—on, starzec sterany, chylący się ku trumnie...

Bezwiednie oczarowany cudem, wyciąga doń ręce i woła... Nie pamięta w tej chwili na objawienie boże — cały porwany nadziemskim widziadłem. Zjawisko boże nie uchyła się — kłoni się ku niemu... I w teje chwili wspomniał na obietnicę daną mu w świątyni... Zamilkł—i oniemiał!... Jakoż przyszedł czas, iż zrodzon jest światu Jan.

Jan—to pieśń najczystsza, najwznioślejsza, którą wyśpiewała Miłość nieziemska obojga. Jan — to objawienie ducha w najświętszych kształtach!... Jan — to owoc Miłości kapłana i dziewicy w mistycznym zjednoczeniu dusz... Jan—to uświęcenie przez wolę Boga tego, co hańbą jest w opinii i języku świata!...

A teraz druga część...

Herod — król... i nieprawa żona jego — Herodjada. To obraz nikczemności, sprośności i plugawej miłości ziemi... Owocem tej miłości — Salome...

Jak Jan jest duszą ludzkości, co uświadomiła sobie sama siebie, oraz swój stosunek do świata, tak Salome jest duszą ludzkości nieuświadomionej, przywalonej trokiem cielska, żądzdy i chuci...

Jan jest piękny pięknnością złota oczyszczonego z rudy, przetopionego w ogniu, a Salome jest też piękną jak każda dusza, ale—uśpioną, zblóconą i wplecioną w zgrzyt, wśród którego nie może zasłyszeć głosu swej głębi... Jan—ta dusza, co ma panowanie w sobie... spotyka się z Salome — duszą, nad którą ma panowanie... — świat!

Pomyśl, co za wielki temat, a w jakiej łączności zostaje z tem, co napisałem!...

Jan, ta piękność surowa, ascetyczna, kamienna, nie mająca nic w sobie z tego świata, bo wieczna — zetknąwszy się z pięknnością Salome przemijającą, znikomą, — ucieka naprzód, aby się nie zbrudzić... Na puszczy przekonywa się, że go nic obalić nie może, więc powraca i staje jako karzące i nawołujące sumienie... W miarę jak widzi ukrytą pięknność duszy Salome, a tylko zewnątrznie potwornie zwierzęcą, coraz bardziej kochać ją zaczyna... A i Salome usłyszawszy raz jego głos — zapomnieć go nie może... Z początku objawia się to u niej w sposób jej naturalny—cielesny..

A on tymczasem nachodzi ją i we śnie, wśród samotności, i wśród uczyty — i już spokoju jej nie daje... Jan nie ją niepokoi bezpośrednio, lecz Heroda i Herodjadę, bo w nich jest zło, ale Salome jako duszy nie karci, ona sama pod wpływem gróźb rzucanych na Heroda i Herodjadę, budzi się we śnie, w samotności niepokój ją ogarnia, wśród uczyty smutek na nią schodzi... (Wtem się kryje cała podniosłość dramatu). Ponieważ Janowe słowa spadają tylko na Heroda i Herodjadę, przeto nienawiść ich ku niemu pogłębia się coraz bardziej, a zaś Miłość Salome zwiększa się i zwiększa...

*Jan — to pieśń nasza, której świat nie rozumie i długo nie będzie mógł zrozumieć, dlatego właśnie będzie ją nienawidził. Niemniej jednak pieśń ta obudzi ich sumienie i rozpali miłość w ich duszy... (Salome).*

Im więcej będą się ludzie bronili przeciw naszemu głosowi — tem bardziej będą budzili duszę, która musi pokochać Piękno i Prawdę...

Salome staje się coraz smutniejszą, coraz bardziej milczącą... Ucieka... stroni... Herod i Herodjada widzą, że szczęście ich doczesne (dawniejsza Salome) skłócone przez Jana. Stanowią bądźco bądź pozbyć się Jana, do którego coraz częściej wybiega Salome. A Salome już zdołała przejrzeć duszę Jana i sama wszystką mocą ku niemu pobiegła... Zrozumiała, że to ich życie na ziemi jest tylko opóźnieniem szczęścia najwyższego! Stąd, kiedy Herod wydaje wyrok na śmierć Jana, ona ani jednym drgnieniem nie okazuje przerażenia — owszem rozpromienia się cała, czując, że chwila już bliska... To jeszcze bardziej upoważnia Heroda do zgładzenia Jana, bo go upewnia, że jego życie zmaćło szczęście Salome... Stało się... I kiedy Salome na wieść, że oprawcy poszli ściąć Jana, taniec tańczy... Herod czuje, że coś okropnego dzieć się zaczyna... To nie taniec dawny, pełen szału, zapamiętania, upojenia, — ale jakiś uroczysty, tryumfalny pochód w krainę szczęścia, jakaś symfonia nieśmiertelności, poczętej tu jeszcze, na ziemi... Wnoszą głowę Jana... Salome sunie jak wizja ku oprawcy... tuli się jak marzenie do szczęścia, — do głowy ukochanej... Kochasz? pyta... Ze zbielełych warg spłynęło westchnienie... podniosły się powieki i zapadły... Z zamknięciem powiek



Jana—otworzyła się ku nieśmiertelności dusza Salome. Przywarła do jego ust—i wraz pomieszało się w jedno — ostatnie tchnienie Jana z jej ostatniem tchnieniem... Pada nieżywa...

Herod i Herodjada patrzą oniemiałi—poczem, zmierzwszy się wzgardą i klątwą—cicho, milcząc rozchodzą się w przeciwnne strony...

---

I to jest tryumf naszej pieśni — Jana...

Cudzołóstwo świata (Herod i Herodjada) rozejdzie się, przeklnie się, rozwiąże... Dusza cudzołóstwem więziona zamrze dla brutalności i ohydy, aby, zaczerpnąwszy tchnienie nieśmiertelności—pójść tam... A teraz porównaj Salome Wilda?...

Ta odrębność, którą wzięłem z Ciebie, wszystko widzi inaczej, we wszystkim widzi nie pojedynczy fakt, ale jakąś wielką tragedję dusz w pogoni za szczęściem. A jako Piękno jest jedyną mową którą dusze mówią, tak szczęście jest wyłącznem ich królestwem... I to właśnie królestwo dałaś mi śpiewać... Herod i Herodjada to nie potwory, bo mają piękną duszę: Salome... Dusza, byleby tylko otworzyła się ku miłości — pójdzie do swego prawdziwego i należytego przeznaczenia... A Jan, zrodzony z kapłana i dziewicy?... Gdzież to przekleństwo, co świat łączy z miłością? Gdzież nasza zaguba, kiedy dajemy Jana, który jak Archanioł budzi na zmartwychwstanie...

---



zekałem. List nie przychodził, a ja wciąż czekałem... I znów służący powrócił z niczem. Otworzyła się przedemną pustka — straszna, bezduszna pustka... Wszystko, co mię otaczało, zamieniło się nagle w jakieś trupie oczodoły... Nawet robactwa, nawet przynależności do czaszki w nich nie widziałem... Pustka... pustka... I powoli czułem, że się układam—jak trup w trumnę— w owe bezkresne i niczem nieobjęte oczodoły... Zadrżałem... Aż oto jakieś dłonie promienne nad tą pustką zaczęły coś prząść, motać... Pustka zaczęła się powoli zasuwać, zacierać, znikać... Twoje to dłonie były, bo zagnała stanęłaś przedemną jak światło dzienne, zbudziłaś się w mem sercu jak smutek i tęsknota, jak Imię na moich ustach — zaszepotałaś zcicha... Odtąd byłem już spokojny — obawa o Ciebie, lęk i trwoga odeszły bezpowrotnie... Chyba przypominasz sobie, z jaką niepewnością o Ciebie odjeżdżałem... Co za obrazy przesuwały mi się w wyobraźni!... Dziś byłem pewny, że moja tęsknota poprowadziła Twoją rękę — i że cośkolwiek dowiem się o Tobie.

Jakoż spełniło się... Nocą moją bezsenną, ukoronowaną oplotem moich spojrzeń, co błędziły przez cały ten czas nad Twoją głową, jak wiatr co się zaplącze w samotnej polnej gruszy i więźnie bardziej i bardziej—dziękuję Tobie... Bożenno moja! Kwiecie, rozkwitły na jasnej piersi aniołów pod miłosnem wejrzeniem Boga!... Ogrodzie mistyczny, pełny drzew, co się śnieżą białą okiścią — niby niewinnością myśli dzieciny

którą do snu utuliły rozmodlone szczęściem dłonie Dziewicy—  
Matki!... Bożenno moja!... Zasnąłem już o drugiej. A dobry  
Pan spuścił na mnie sen, co mi się stał dla duszy, jako kró-  
lestwo Boże...

Były to moje komnaty. Pełne jakiejś muzyki — Twojej  
muzyki — płynącej z drzeń serca, z rozkrzyżowań, z zaklęć  
i z tych świtań, co na dnie Twej duszy powstały i różanozłó-  
tem tchnieniem obudziły świat, który śnił, aby mu zaświeciły  
zorze wniebowziętego ducha. Muzyka ta Twoja szła śród  
tchnień Twych własnych—w echa tysiadcze łamała się w Twej  
duszy, w echach nie marła, ale wskrzeszała w nowe, poplątane,  
a tak nieskłócone tony, że miałem uczucie, jakgdyby jedna  
śpiwna, stubarwna błyskawica zwickłała się w jeden kłęb, aże-  
by się nie sączyć zwolna w piersi, ale w mgnieniu oka uwię-  
znąć w ich głębi... Widziałas Laokoona? Przeguby węża uka-  
zują się to tu, to tam, wokół ciała ojca i synów, ale czuje się,  
że to jeden tylko wąż!... Odbiegam, a tak mi pilno powie-  
dzieć com widział, ale może jeszcze pilniej powiedzieć wszyst-  
ko, wszystko, co czułem... Była to chwila naszych zaślubin...  
Siedziałaś. Z głowy spływała Ci przezroczyta zasłona—biała  
czysta, archanielska... Patrzałem w upojeniu, bo mi się zda-  
wało, że tę przejrzystą zasłonę utkałem Ci ja... ja... z tych  
dziewiczych śniegów, co na moje pola wczoraj o błękitnym  
zmierrchu spadły, co mię tak bardzo wczora wabiły, a ja im  
cicho szeptałem, że znam coś, bardziej czystego, coś jeszcze  
bielszego i coś, co z większych wyżyn ku mnie spłynęło i głę-  
biej, ileż głębiej w duszę zapadło... Posmutniały, poszarzały  
i w mrok gęstszy się wtuliły... Nie wiedziałem, że one będą  
mi przedziwem białorunnem, że ślubnym całunem zakwitną  
na ofiarnej woni Twych włosów...

A z twarzy Twej szła miesięczna mża kryształna... opył  
srebrzystych zadum... opalowych lśnień pacierze... Stałem i pa-  
trzałem... Patrzałem już nie w Ciebie, ale w objawienie Mi-  
łości! I upadłem na kolana przed Bogiem, choć klęknę przed  
Tobą i czułem, że Go kocham ponad wszystko, bo mi dał  
Ciebie!... Słyszysz—dał mi Ciebie, Ciebie! A twarz dziwnie Ci  
się rozpromieniła, wydała mi się słońcem, co obie półkule je-  
dnocześnie rozżłociło, więc, by szczęście dojrzeć i na jednej i na



drugiej — przymrużyłem oczy... Poprzez powieki świeciłaś jeszcze jaśniej, jeszcze cudniej... A ja ujrzałem oba światy opromienione Tobą: ten, co jest teraz naszym udziałem... i ten, co nas czeka... Naraz usłyszałem jakieś kroki... Zbliżyły się, już były blisko. Słyszałem śmiech... twarze. Zdrętwiałem... A kroki zbliżyły się... i zbliżyły. Bezradnie opuściłem ręce. Nie było sposobu wzbronienia wejścia... kroki bliżej i bliżej... śmiech... twarze... Patrzę na Ciebie, a Ty jesteś już taką, jaką Cię ludzie widzą... Ślubnych szat nikomu pokazać nie chciałaś, bo nie uznanoby nigdy, iż to są szaty święte... Ale to przecież mój pokój... Drętwiałem bardziej... A Ty jednym słowem zażegnujesz moje przerażenie i chowasz się z dziecięcą swobodą pod jakiś sprzęt... Wciskam się za Tobą — już nie z przerażenia—ale dlatego, że Ty tam jesteś... Czuję Cię przy sobie—szczęście spływa we mnie—zapominam o wszystkim. A Ty — z wolna osuwasz mi się do nóg i w świętem uniesieniu dotykasz ustami mojej sukni. Chwytam Cię za ręce, podnoszę, biorę w ramiona — Boże!—nie Ciebie, ale Ciebie — dziecinę mam na rękach!... Tulę drobne ciało dziecięcia w najwyższym rozrzwienieniu do piersi — a Ty płakać zaczynasz, ale tak miłośnie, tak cicho, cicho... Czuję, jak łza Twoja—jedna, druga—pada mi na serce, a serce moje poczyna uderzać silniej: tak... tak... tak!... tak!... Tulę Ciebie — dziecinę i jak z zwyczajką tarczą idę na przeciw tym, którzy tu wtargnęli... Dziecina się tuli, tuli, a serce moje bije zwycięsko jak dzwon tryumfalny—dumnie i radośnie! Zali nie wolno mi nawet wobec was kochać, jak ojciec dziecko? Patrzcie na moją Miłość!... Obudziłem się! Serce mi biło tak mocno, że aż boleśnie. Wtuliłem się w upojeniu w to bicie mojego serca i byłem szczęśliwy, tak, iż zawsze myślą będę wracał do tej chwili przebudzenia... Takie wtedy wszystko było żywe, prawdziwe a takie przytem *bezpośrednie* właśnie przez to bicie... Przecież to serce zaczęło uderzać tam, we śnie, przy Tobie—Dziecinie, a sen mi się przedłużył w rzeczywistość!... Boże—Boże!...





ie wiem, czy piszę do Ciebie, czy do Miłości, co się przez Ciebie objawiła. To wiem tylko, że wszystka piękność, co tkwi we wszechświecie, co zamknięta w piersi bożej, i w ziemskim tworze i w myśli ludzkiej i we wszechczuciu — pochyliła się ku mnie, do piersi mi przywarła, wypełniła mi duszę—i zatraciłem się w niej, zamilkłem i stałem się wszystek Nią. Ta piękność, zszedłszy do moich głębi ducha ozwała się Miłością, a ja tę Miłość kiedyś, kiedyś zamknąłem w jednym słowie: Bożenna... Całe moje życie, które wydaje mi się nie mieć początku, było jednym pościgiem za oną Miłością!... Ten pościg — to moje życie... ten pościg to moje burze i pogody, niebotyczne wzloty i otchłanne upadki, bluźnierstwa i stygmaty, bunt i pokora...

A miłość—to moje przeznaczenie, to dar Boży, to Łaska, która mi się stała odkupieniem i szczęściem! I zanim ta tęsknota najwyższa mojej duszy nie stała mi się Miłością—szedłem na podbój zbrojny... Dziś jestem bezoreźny: ani myśli, ani uderzeń serca, ani słów—nic! Zwycięzcą jestem, a jednak idę jak radosny braniec za rydwanem bożym, co się toczy na gody zgotowane od wieków...

Czy pamiętasz naszą wieczność? Czy wiesz już teraz, co znaczy szczęście w krainie nieśmiertelności, czy rozumiesz wielkość i Miłość Boga, który już tu na ziemi daje smakować takie chleby z wieczernika swej Miłości!... Ta godzina cudu

to najwyższy moment, w pędzie naszych dusz ku sobie. Taką godzinę jedną tylko dał Chrystus swym wybrancom, taką godzinę jedną jedyną miała Magdalena u Jego nóg... Z tej godziny jasność nieustająca spływać na nas będzie i wieńczyć nas glorią bożą... Czyż wybrane dusze po takich chwilach nie chodziły już ciągle w aureoli?... Dobrześ powiedziała, mówiąc, że jesteśmy postaciami ze starych legend... Tęsknota naszych dusz wraz z pierwszym człowiekiem powstała i szła, szła... Zatraciła poczucie swego początku, bo każdy jej krok był początkiem... i cóż dziwnego, że kiedy nareszcie odnalazła się w Miłości, zgubiła przeszłość i wydaje się sobie legendą...

Nie czujesz tęsknoty! Święta moja, tylko najwyższa, najczystsza Miłość jej nie czuje!... Ale Bożenno, poczujesz tęsknotę inną, tęsknotę, która będzie znakiem, iżes wybraną została... tęsknotę, co się rodzi z dosłyszenia głosu Bożego...

A kiedy usłyszysz ten głos, wszystka będziesz już należała do Boga; wtedy odczujesz, że tam, tylko tam, dusze nasze znajdą wszystko... Mąci Twoje upojenie, że lęk mię przy Tobie ogarnia? Skąd Ty wiesz o tem?... Tak, rzeczywiście... Wobec tej potęgi objawienia, którą mi dał Bóg w onej naszej godzinie—poraz pierwszy dokładnie zrozumiałem, żem dziecie, żem niemowlę.. To też ten list, który odkrył mi w sposób nieogarniony całą Twoją wzniosłość, pozostanie dla mnie najświętszą pamiątką onej godziny... Tu już jestem bezsilny, aby Ci wyrazić moje dla Ciebie uwielbienie...

Biedz w tak równej mierze ze mną, przenikać najmniejsze drgnienie, najniepochwytniejsze ruchy odgadywać, a właściwie nie przenikać, nie odgadywać, tylko być taką jednią — to przechodzi wszelką myśl, doprowadza do takiego złudzenia, że to chyba nie odrębna jednostka, ale halucynacyjny sobowtór, coś, co się rozszczepia na dwoje wtedy tylko, kiedy chce otumanić, zwieść, dać złudzenie miłości dwojga... Bożenno, rozumiesz to... Daj mi dłoń Twoją—daj... Straciłaś słowa... A i ja teraz powiem, że wstrętem mię przejmuje mowa, którą tak kochałem, mowa w której zdawało mi się, iż potrafię odbić wszystko, co czuję... A ta poezja słowa—zabija mię poprostu. Wydaje mi się czemś tak potwornem, jak bie-

lidło i róż na twarzy sprzedajnej... Wiem, że obojętną dla Ciebie rzeczą, czy będę tworzył, czy nie...

Pieśń moja była mi lotem ku Tobie. A kiedym Cię doścignął, zwijam loty—pieśni moje... Na co mi one? A ludzie? Czym śpiewak dla ludzi? Dla Ciebie, tylko dla Ciebie... Ty jedna moja smętna czytelnica...

Kocham Twoją duszę taką silną, mocną, tytaniczną czasami, a jednocześnie w stosunku do życia codziennego taką słabą, lękliwą, gołębią dziecięcą... Taką duszę miała Magdalena. I patrz On takim duszom mówił, aby były jako lilje polne... On takim duszom wielkich czynów w znaczeniu praktycznym tego świata, nie wskazywał jako drogi najwyższej... On takim duszom pozwalał klęczeć w miłosnem upojeniu u swoich stóp i mówił, iż najlepszą częstkę obrały... A przecież, gdyby był rozkazał, ta sama słaba, lękliwa Magdalena poszłaby jak huragan Miłości przez świat i podbojów dokonała większych, niż wszyscy apostołowie... A kto uważnie i baczenie w duszę Pawła wejrzy, to dostrzeże, że wprawdzie przejawem jego Miłości dla Chrystusa były zwycięstwo, trud i znój, a jednak treścią duszy—tęsknota, która wzdychała tylko do połączenia się z Ukochanym (pragnę być rozwiązana i być z Tobą). I jeszcze Ci coś powiem. Kiedyś, tak niedawno jeszcze, nikomubym Cię nie dał... A teraz, kiedy widzę, jak dusza Twoja coraz bardziej Bogu się oddaje, doznaję takiego szczęścia, niewytłomaczonych wzruszeń i rozrzewnienia, iż wobec tego majestatu, w jaki Cię zdobi Miłość dla Boga, usuwam się cichy, z modlitwą dziękczynną za cud, który się w Tobie dokonał... A czyż inaczej być mogło? Czyż Twoja dusza stworzona do czegoś innego, niż Miłość najwyższa?... Widzę, widzę, iż stajemy się jako dziatki... Ale na to by się stać dziecięciem, ileż trzeba przecierpieć, przeboleć, ile przebiedz najzawrotniejszych dróg, jak się pokrwawić?

Bożenno, prawdą była Miłość nasza, nie złudą, nie urojeniem... Czystość jej i świętość nie miały w sobie nic ze świata—i dlatego zaprowadziła nas ona tam, gdzie jej prawdziwe oparcie, gdzie jej świątynia ochronna...

Przed chwilą czułem, jak Miłość nasza niby jasny, srebrny promień płynie ku Bogu... A Bóg śpieszy ku nam...

Cudzie mój, klęczę u nóg Twoich i zamieram zcicha... Kto dojrzał i odczuł Boga w Miłości i przez Miłość jak nam to jest дано? Kto?... Dziecino ukochana... Niech Cię kołyszą do snu święte drżenia Twej Maty... niech Cię tulą anielskie Jej ramiona, niech Jej tęsknota sny na Cię sprowadza, byś kiedyś, gdy już nas nie będzie — żyła w tej cudnej pieśni, w tej złotej baśni, która przez Bożennę zakwitła w piersi Ziemi...

Ucałuj Twą Matę, ukochaj... Ty tylko możesz to godnie uczynić, boś czysta, biała...





nie wiem, czy to Twoja tęsknota w mej  
chacie się rozśniła, czy też mój duch tęs-  
knotą mrze... Sprawdziło się na nas to,  
czegoś się kiedyś obawiała. Czuję, że Mi-  
łość Twoja i Miłość moja zapatrzyły się  
w siebie i skamieniały. Nic nie słyszę, nic  
nie widzę, jeno Te Twoje oczy, jeno dłonie Twoje... Cała  
postać Twoja stała mi się tchnieniem. To tchnienie wypeł-  
nia mię całego, daje tyle ukojenia, tyle spokoju, że żadna  
myśl już nie ma dostępu do mnie. Wszystko wydaje mi się  
taką znikomością, taką małością, że wzdrygam się, odbiegam  
i cały wtulam się w Twą duszę — i jest mi dobrze! I jednego  
teraz tylko pragnę: trwania w tej uroczystej chwili, w tem  
bezpamiętnem ukochaniu Twojej duszy... Bożenno!... Stopy  
Twoje tęsknotą moją całuję, umiłowaniem garnę do piersi i tak  
trwam... I już nie znam tych szamotań, które niosły mię po  
zawrotnościach myśli, by nareszcie zdobyć przystań godną Cie-  
bie... nie czuję już tych skłębionych porywów, co były przed  
świtem ukójnej ciszy, która w końcu zstępowała z Ciebie na  
mnie... Bożenno! Posiadłem Twoją duszę na wieki i to po-  
czucie daje mi tyle bezwładnej mocy!... Ja, który w pościgu  
za Tobą, druzgotałem i niszczyłem wszystko dokoła—teraz jak  
cień cicho przypadam do ziemi i wszystek staję się dziękczyn-  
nem do Boga wołaniem... Wiesz — ja teraz ciągle szepcę:  
„Boże” „Boże”. Tyś mi stała już taką pewnością, że Boga  
tylko przyzywam, aby był mi świadkiem mojej czystości uczuć

dla Ciebie, aby rozradował się — widząc do czego Miłość dojść może!...

Modliłem się całą siłą bezmowy serca! Nie czułem nawet bicia serca, tylko wpatrzony w oblicze Boga — kamie-  
niałem.

Śnieg padał przez całą drogę... Jakieś mistyczne całowa-  
nie rzęs czułem na twarzy... Niebo tchnienie zagrobowe mi  
niosło i gasiło mi w oczach ziemskie blaski... A kiedyś się  
zbliżał do mojej chaty, zdawało mi się, że duch, który zszedł  
z zaświatów, aby rozciągnąć skrzydła wdzięczności za to, że  
kiedyś w tej chacie kołysało go szczęście skradzione Niebu.  
A potem... potem chodziłem od ściany do ściany w palcie,  
w czapce i patrzyłem, gdziekolwiek byłaś... Gdy stanąłem  
przed Tobą i Sobą — zdrząłem... Dreszcz ten wstrząsnął mną  
całym — ja wszystek stałem się dreszczem... i szedłem w nie-  
skończoność, aż nareszcie gdzieś w nadświatach — niby dzięk-  
czynny jęk stoczyłem się do nóg Jego!... I widziałem łzy  
w Jego oczach — dwie wielkie łzy, a te były odbiciem naszych  
dusz!... Bożenno, moja Bożenno!

Moja chata coraz smutniejsza. Za każdym razem, kiedy  
powracam bez Ciebie, czuję, że milknie bardziej i bardziej...  
Ożywa dopiero, gdy zacznę chodzić, gdy w moich oczach do-  
strzeże Ciebie, gdy z mojem westchnieniem i Twoje tchnienie  
spłynie...

Chodziłem wczoraj do późna. Mierzyłem bezkres Twej  
Miłości i swego Szczęścia — nie zmierzyłem! A teraz pochyl  
się i tak cicho jak wtedy — szeptaj mi słowa tej bajki, którą  
swej dziecinie opowiadasz...

Oj, Bożenno, Bożenno — nie mogę już pisać, nie mogę...  
Co mi życie.

Kocham



eśli to wszystko nie jest złudą, jeśli nie jest upojnym omamem, lecz prawdą i rzeczywistością, to mi się ukaz i wskrześ oną chwilę, która mię w bezmiary poniosła, sama stała się bezmiarem, odjęła mi myśl, wszelkie czucie odebrała i niesie, niesie

zapatrzonego w wizję zaświatową. Jeśli to wszystko jest prawdą, to już mi nic, nic zgoła nie potrzeba... Nie widzę Cię nawet, zapomniałem dźwięku Twego głosu, straciłem poczucie niedoli bytu—wyzwoliłem się z więzów doczesnych, a stałem się duchem, co zawisł w przestrzeni i trwa w zachwycie. Ani Cię nazwać nie umiem, ani przywołać na pamięć potrafię... To chyba czarodziejstwo snu zawisło nademną, a ja nie rozwieram oczu na światło dzienne, aby ani jednej melodji nie uronić, jednego dźwięku nie stracić... Nigdy nie odczuwałem w tym stopniu swej niegodności wobec Ciebie—jak teraz... I dlatego chętnie poszedłbym w śmierć, byleby tylko stać się dla Ciebie tem, co dojrzałaś we mnie. Czyż mogę teraz zdobyć się na jakieśkolwiek zachwyty, których przedtem miałem pełne piersi, czyż mogę jakim słowem wypowiedzieć Ci tajemnicę mojej Miłości dla Ciebie... Słów mi nie staje... myśl stapia się z uczuciem, straciłem wszelką możność wypowiedzenia się... A wszakżeż została mi najuroczystsza mowa — milczenie... Ono jedno—nic więcej. Wszelka poezja stała się skamieliną, gdy cud istotny na nią spłynął... Martwo, cicho, spokojnie. Zupełnie zmartwiałem... Nie umiem wydobyć z siebie ani



jednego dźwięku na wyrażenie tego podniesienia, jakie niosę w duszy...

Bądź piękna, duszo moja... bądź radosna, bądź hojna w swej dobroci... Wokół rozlej blaski swej piękności i Miłości, tak, iżby doszły aż do mnie, iżby mię spowiły całego i ukołysały w wieczność. Nie będę o tem pisał, bo mię coś dławi — boć nie pisać, lecz klęczeć mi u nóg Twych trzeba i stopy całować...

Czuję jak wchodzimy w krainę milczenia, wspólnem tchnieniem splatamy stęsknione dusze i zapatrzeni, wsłuchani w poszum skrzydeł seraficznych — zamieramy zwolna...

Boże, czyż mógłbym teraz choć jedną myślą śpiewać o Tobie, czyż zdołałbym jedną pieśń z siebie wydobyć?!

Jedno tylko mam w duszy: Ciebie i Twoje szczęście, Twój spokój i Twoją dłoń i tę Twoją dziecinę... Tak mi się do niej serce wrywa, tak krzyczy.—Powiedz Jej, że Ją kocha taki pan, co mieszka za górami, za lasami—taki pan z bajki... Opowiadaj jej bajki o mnie. Niech teraz przynajmniej przez bajkę wkradnę się do jej myśli i serca. Bożenno moja... Chciałem odczytać Tve listy... Zaledwem jednak otworzył szufladę, a wzrok padł na Tve pismo — skrzyło się coś we mnie — zatrzasnąłem szufladę i uciekłem... Litery — twarz Twoja — dusza — stały mi się czemś tak nierozdzielnym, że jedno bez drugiego nie istnieje dla mnie...

Codzień, ilekroć myśl posłę ku Bogu—proszę Go o szczęście dla Was, proszę Go, aby nas sobie zachował, aby nam błogosławił, bo nikt Go więcej od nas nie kocha, bo nikt Go goręcej nie nazwał Bogiem Miłości!...

Rozpamiętuj nasze chwile, co się wiecznością stały dla ducha... Pogodną Cię chcę, smutną ale pogodną, cichą jak lot Twej myśli ku mnie, piękną jak obraz Twój w mej duszy... Szczęścia chcę dla Ciebie...



Życ pragnę. Życ tem, coś we mnie obudziła, co się słowem Bożem staje, co najtajniejszą myślą było Nieba. Bóg nas woła, byśmy ujrzeli, co zgotował dla duchów wybranych. Wiem, że i bez Ciebie pójdę tam, dokąd Ty idziesz. Ale nie daj, bym tam szedł sam, bez Twego głosu, bez berła Twojego. To, co nas czeka, ujrzysz... Duszę mam pełną przeczuć i jawnowidzeń. Chcę z Tobą i przez Ciebie głos Boży objawić światu, z Tobą i przez Ciebie wejść w sen wieczny. Wielkie, święte, boże mamy cele, ale aby je ziszczyć trzeba abyśmy się stali aniołami.

Wybiła już godzina. Czuję, że Bóg mię stwarza nie z mułu i ziemi, ale z Twojej preczystej Miłości... Daj, aby Bóg dokonał swego dzieła.

Wszystko składam w ofierze naszemu czynowi, co z Ducha się począł i w Duchu zostanie na wieki...



niu mój radosny, błogosławiona chwilo,  
w której tajemnica szczęścia objawiła się  
memu sercu... ukochana... święta... moja...

Przeniknij głąb mej duszy, a zadrżysz,  
złęknieś się ogromu Miłości, którą wzią-  
łem z Ciebie...

Z zawrotnych wyżyn, z podniebnych dróg zstąpiłem na  
piędź ziemi i tu zbudowałem własną świątynię. Nie masz już  
dla mnie tych dawnych tęczowych skrzeń, blasków ślepych,  
nieprzeniknionych ciemni, otchłannych zapadań—stałaś mi się  
znagła czemś tak mojem, nierozdzielnem, że dopiero teraz czuję  
całą mocą ducha, że należymy do siebie na wieki... I już nie  
patrzę z oddali na ciebie, jako na zasłonę, z za której prze-  
mówi do mnie głos niesłyszany dotąd... nie wyczekuję nowych  
słów... nie pożądam nowych dźwięków... Jestem jak skąpiec  
co nagromadzone skarby co chwila z dłoni w dłoń przesypuje  
i napawa się, i nasyca... i nigdy nie ma dość wpatrywania się  
w złotą przelewającą się strugę szczęścia. Jestem jak matka,  
co począwszy dziecię, w błogosławionym dreszczu zamiera,  
wtula się w swoje szczęście i wszystek wzrok swój skierowuje  
tam, gdzie się wcieliło upragnienie jej ducha... Bożenno moja...  
Bożenno... do Twoich dłoni pilno mi... pilno... Pamiętasz —  
u Ciebie — w białej szacie... pierwszy raz święte dłonie spo-  
czyły na mej głowie...

Tak mi niewypowiedzianie dobrze, tak ukojnie, tak bez-  
trosko, że kołyszę się Twą tkliwością w nieskończoność śnień  
i uroczystych dum... Straciłaś dawną swą królewskość, odrzu-  
ciłaś majestat, berło odrzuciłaś precz, a pochyliłaś się ku mnie  
w niebiańskiej czułości i słodczy. Powiedz—na co to wszyst-  
ko, co piszę... Przecież nic, nic Ci nie powiem, raczej zbagateli-  
zuję tę świętość, którą żyję całkowicie... Mówiliśmy taką  
mową do siebie, że teraz każdy zwrot wydaje mi się szychem,  
teatralnością... kiedyż przestaniemy nareszcie używać tych  
marnych środków dla wypowiedzenia najświętszych drgnień  
ducha...

Hebreowie nie wymawiali imienia Boga wcale, stąd też  
zatracili wymawianie tego słowa...

Gdybyż i z naszą tajemnicą to się stało...

Spojrzenie... smutek... westchnienie — niech tłumaczą na-  
szą tęsknotę... Bożenna, czy Ty mnie teraz nie przyzywasz  
w swej duszy, że mi tak dziwnie bez Ciebie... Bożenna—kochaj  
mnie w rozweseleniu ducha, w beztrosce i w nadziei... Gdybyż  
to nam było danem w nierozłącznym istnieniu pędzić godziny,  
tygodnie — lata... Marzę o Twoich srebrnych włosach z takim  
rozrzewnieniem jak o Tobie samej. Bożenna — pamiętaj  
o sobie... nie męcz się bezsennością... nie zabijaj pracą umy-  
słową... Daruj mi to... ale widzisz tu na ziemię czasem zabłą-  
dzi szczęście... Bożenno moja... Wszystkie ubiegłe dnie skuły  
nas jeszcze silniej, jeszcze nierozłączniej... Nic już nas nie  
dzieli — żadna tajemnica cierpienia bólu i smutku... Wszystką  
Twoją skargę i lzy wszystkie — mam w piersi... Trzymam  
rękę na piersi i czuję... czuję...

Wysiadłem z wagonu i zdumiałem. Dookoła białe, śnie-  
żne pola... Przyszło to na mnie tak zagnała, niespodzianie po  
szarudze i błocie, że wprost stałem oszołomiony... I zdawało  
mi się, że Ty mnie witasz w Twojej białej, bezkresnej szacie...  
Idę, idę, Bożenno... w Twoje pola srebrnopiane, do Twych  
dłoni liljowych, do srebrnych włosów Twoich... Mówiłem Ci,  
że Miłość Twoja stała się Tkliwością. I ja nie inaczej wcie-  
liłem w swem sercu Ciebie... Mam to uczucie, że powinienem  
ciągle być u Twych nóg, że bezustannie winienem otaczać Cię

opieką, pilnować, strzedz, słuchać Twego oddechu — myśli  
Twoje podpatrywać... Kończę — a mam wrażenie że Ty od-  
chodzisz... w milczeniu bierzesz kapelusz... podchodzisz... Boże...  
idź, już idź... bo Ty cierpisz bardziej, niż ja kochać potrafię.  
Bożenno — to kłamstwo... jednakowo... jednakowo...

---





ylem w Łodzi przez czwartek. W piątek już wyjechałem. Nigdzie usiedzieć nie mogę. Jedyne w swoich czterech ścianach czuję się najlepiej. Ani jednego słowa od Ciebie. Sny mam straszne—przerażające. W ciągłej trwodze i niepokoju wyczekuję wiadomości. Dziś zwłaszcza jestem snem przywalony.

Myśl o Tobie rozwiewa smutek, szczęściem bezbrzeżnym wypełnia mię całego, skupia moje uczucia i pragnienia w jedną kryształową lzę... Nic mię nie obchodzi, pierzchają rozpacz i beznadziejność — staję się duchem rozmodlonym we własnem wniebowzięciu. Nic z przeszłości nie ma przystępu do mnie—topnieje jak śnieg na ciepłej dłoni. Przeszłością nazywam nie tylko to, co się zasunęło w bezpowrotność, ale i to, co mię otacza a co jest z mojej przeszłości...

Bądź mi zawsze taką cichą, świętą i czystą jaką Cię zagnałem, bądź tym mistycznym kwiatem Miłości, który jest siewem Cherubinów, gdy zapatrzeni w niepokalaność swych skrzydeł, szepcą roztęsknionym i mdlejącym dreszczem — Bożenna, Bożenna... Bożenna moja—na wieki umiłowana Bożenna... Czyś nie chora? Przyjadę choć na godzinę, bom bardzo, bardzo niespokojny. Chcę wiedzieć prawdę. Mój Boże, jakby to było dobrze jak nieskończenie dobrze, gdybyś nie wiedła nie usychała. Bożenna, Bożenna, uraduj mię, bądź zdrową.

Tryumfuj, Bożenno, bo słowa moje ludziom otwierają duszę, każą im myśleć, zastanawiać się... Zewsząd w Łodzi

sypią się na mnie podziękowania za uroczyste chwile jakie im dały moje poezje... A ja to wszystko składam u Twych stóp najświętsza i coraz szczęśliwszy jestem, bo czuję że Cię serce co do mnie nie pomyliło. Bożenno — jak Ci mam służyć, jak dziękować.

Gdybyś wiedziała, jak to dziwnie uderza, kiedy się widzi tych aktorów — z wypiekami na twarzy, wpatrujących się we mnie z podziwem i trwogą... Jakiś szacunek, nie przed autorem, ale przed „wielkim duchownym” — czują dla mnie. Kiedy wchodzi za kulisy — nikt się nie uśmiecha, nie spogląda z ukosa — wszyscy mają dla mnie jakąś czułość i niemą przyjaźń. Bożenno — to dobrze — prawda? Gdybyż ludziom wlać w serce i ducha potrzebę wielkiej, odnawiającej, sztuki — wskrzesicielki! Ciekawe, co powiedział pewien znajomy o Paraklecie: niedostrzegalne lecz wyczuwalne tylko panowanie Ducha tak sugestjonuje w ostatnim akcie, iż niepochwytność przyjscia Parakleta staje się w głębi ducha większą pewnością, niż stopniowe, realistyczne zapadanie się bóstwa. Dla Bożenno zrodził się kult. Kiedyż będę mógł powiedzieć, do kogo wszystko moje należy, kto mi to dał — kiedy?

Wielki znawca sztuki pisał w ostatnim „Świecie” o moich poezjach. Poruszył te strony mej duszy, o których nie wspomniał nikt — to mię ucieszyło, bo to Ci sprawi radość. Prawda, że on to dobrze powiedział: „uczona dusza”... To znaczy — dusza, której mądrością stała się nie wiedza, co twórczości nigdy nie obudzi — lecz mądrość idąca z najgłębszych pragnień, cierpień, upadków i wzlotów. Za to mu jestem wdzięczny. On to rozumie chyba, że im indywidualniejsza dusza, tem więcej ma pracy nad sobą, bo musi stworzyć swoją własną kulturę, a dla przeciętnych — wystarczy gotowy materiał kultury nagromadzonej w świecie jak w dziadowskiej — torbie.



ożenna, czemu milczysz? Czemu mi dajesz  
trawić się wyczekiwaniem i trwogą? Od  
kilkun dni ciężkie sny mię trapią. To wy-  
rywam włosy z zapiekłą krwią, to jestem  
rozbitkiem bez ocalenia, to po szczytach  
niebotycznych a wątlých jak pajęczyna wę-  
druję. Obudzam się z krzykiem w duszy, u stóp Ci leżę  
i czekam, aż się Twa dłoń ku mnie zniży, twarz kochana na-  
chyli, by mię uspokoić, zapewnić, że jesteś przy mnie, że  
wszystko jest niczem co stać się może, bo dusza duszy oddana  
na wieki... Ja tak czekałem na Tve słowa, tak wyciągałem  
ręce do pociechy, a oczy, jak chyże ptaki, posyłałem do Ciebie...  
Bożenna, czyś Ty nie chora? Powiedz, powiedz, bo mnie już  
całe piekło pod czaszką się rozsiadło... Snu się boję, jawy się  
boję, nawet od książek uciekam.

Przed chwilą obudziłem się. Wstałem i piszę.

Jeżeli Cię przeto czem dotknąłem—daruj—wybacz... Za  
to, coś mi dała—powinienem z rozkoszą największy ciężar bólu  
i męki ponieść do grobu...

Bożenna—ja wiem, żem niegodny nawet myśli swoje kie-  
rować ku Tobie. Tkliwość Twoją zawsze przyjmuję ze skruczą,  
ze złożonemi na krzyż rękoma, w najgłębszej pokorze ducha—  
we łzach...

Pełzałem, Bożenno... Ty dopiero dałaś mi skrzydła. Wzrok  
kreci miałem... a z Ciebie wziętem nieustraszoną moc żrenic.  
Błądziłem bez celu... a Tyś mi wskazała wielkie drogi ponad



chmurami—śróđ witeziów ducha kazałaś mi zasiąść... A teraz milczysz... Zostawiasz mię samego—i milczysz...

Bożenno — wszystką Miłością zaklinam Cię, nie czyni mi krzywdy... Bo to nie o to idzie, że nie piszesz. Gdybym wiedział, że nic Ci nie dolega, że chociaż smutna szczęśliwą być nie przestajesz, że żaden ból—ani fizyczny, ani moralny—nie dręczy Cię — o, to wtedy — niczego bym nie pragnął... Bożenno, świat, przed którym ślepnę... który obejmuję całym wysiłkiem ramion... przed którym z okrzykiem zachwytu i uwielbienia padam na twarz—to Ty!!! Ja nie mogę już teraz o niczem myśleć bez Ciebie, a raczej — zgóła o niczem prócz Boga i Ciebie... Tyś we mnie jednym świętem słowem dokonała cudu, Tyś mię zrodziła do życia aniołów... Kocham Cię jak Matkę — płód, który w niej jeszcze dojrzewa, kocham Cię jak wicher rozpętany—przestrzenie bez końca... jak pożar—step bezkresny... jak bór — ziemię, w którą wrósł i wżarł się i wżarł się w nią każdą chwilą istnienia—i nazawsze... Kocham Cię, jak ten, co ukochał Boga, i dojrzał duszę swoją...

Bożenno — uwielbiam Cię każdą chwilą mojego życia... A uwielbienie moje z ducha jest, z jego najświętszych drzeń, z jego najgłębszych poruszeń... Godzien jestem modlić się do Boga, bom znalazł Ciebie... godzien jestem kochać Cię, bom ukochał Boga. Wiesz, święta moja, żem przez Ciebie oczyszczon, żem już odbiegł nazawsze od owych lat, na końcu których stanęłaś Ty!... Czekam, rychło duch Twój zstąpi na mnie i da mi życie nadziei, otuchy i pociechy... Wiem, że pošlesz ku mnie swoje myśli... A czy mię dościgną przy pracy, czy we śnie, czy w smutku czy w wyczekiwaniu — zawsze jednakowo przygotowaną duszę mą zastaną... Tylko przyjdź, tylko przybądź... Wiem, wiem — myśli nasze w polowie drogi ku sobie spotkają się — a będą tak jednakowe, że się nawet nie poznają i miną... A gdy moja ku Tobie spłynie—zasmucisz się, myśląc, że to myśl Twoja nie znalazłszy oparcia—powraca smutna... A może to już się stało, może dlatego i we mnie taki smutek boski...





ok temu — pamiętasz — przesłałaś mi cały snop promieni, który mi świecił przez Święta. Łamałem się Twoim opłatkiem — zdawało mi się, że najświętszy wiatyk z rąk Twoich przyjmuję... Ile szczęścia miałem w piersi... ile tęsknoty było we mnie... Ciągle rozmawialiśmy o Tobie... Ponosiło mię w zaświaty brzmienie Twego

imienia, kołysałem się na słonecznym marzeniu o Miłości! Nie wiedziałem ile bólu mieści się w każdym Twoim okrzyku szczęścia, ile smutku przesłania Ci wzrok utkwiony w moją stronę. — Tak upłynął rok cały. A teraz przeżywam nasze ubiegłe szczęście po raz wtóry — w tym świetle prawdy, jaka mi się niedawno stawiała przed oczy... Bożenno moja... Kocham Cię dziś jeszcze więcej. Duszę Twoją czczę, wielbię, błogosławię... Idę z taką wiarą w nieskończoność naszej Miłości, z taką pewnością jej boskiego w nas posłannictwa, iż zdaje mi się, że już niedaleki nasz kres... Nie. wytrzyma mdłe ciało, aby mogło być przybytkiem najświętszych tajemnic — przez lata! ...

Bożenno—ja nigdy nie śmiałem rozmawiać z Tobą o tem, co stanowiło aż podotąd Twoją tragedję. A przecież ile szczęścia dałaby mi każda rozmowa! Patrzyłem tylko w Twoje oczy, przypadałem w myśli do nóg i wołałem w sobie: Tyżeś to... Ty, Bożenno!... A Tyś się wtedy smutnie uśmiechała do mnie, a ja już patrzeć nie mogłem...

Dawniej wyrzucałem z siebie słowa jak gejzer gorącą falą wytryska... Dziś już tego nie potrafię... Za wielka, za wielka tajemnica stanęła przedemną, żebyś mógł spłonąć zachwytem. Wobec takiej chwili — milczeć i tylko milczeć...

Zdaje mi się czasem, że stoję oparty o jakieś odwieczne mury, że czuję ich dreszcze, że słyszę tchnienie przeszłości... Stoję tak często oparty o tę świątynię, w której przebywałem ciągle, a nie zauważyłem porwany szczęściem, że wichry w nią biją, deszcz siecze... huragany szczybią... Ale o ileż mi droższą teraz jesteś jako moje przeznaczenie, teraz, kiedy spostrzegłem, że drogi nasze się zeszyły w najtajniejszych głębiach, że nic nie miały wspólnego z wykreślnością dróg ziemskich... Jeżeli przeczuwałaś, Bożenno, że Twój najskrytszy i najgłębszy zarazem ból połączy nas tak silnie, otworzy inne światy — czemuś prędeż nie jęknęła, czemuś nie przyspieszyła granitowych podwalin? Nie przyszła jeszcze nasza godzina — powiadasz... Prawda... Trzeba było przejść przez całe niebo i piekło szczęścia dostępnego dla rodzącej się duszy, aby stanąć przygotowanym i godnym przyjęcia najświętszego Chleba!

Odtąd pójdziemy bez trwogi, bez najlżejszego jęku — w nasz świat, świat bożych przeznaczeń!... Na Twojem czole zawsze dojrzę znak świętej dłoni, która spoczęła na Tobie!... Z Twych dłoni czytać będę ona Pieśń nad Pieśniami naszego życia... Z Twojego wzroku spłyną na mnie takie blaski, takie jasności, iż w ich światłości wszystko piękno mej duszy dobędę... Pragnę stać się pięknym na obraz i podobieństwo Twoje... Chcę wszystek wraz z ciałem i duszą na całopalną ofiarę się oddać onym wizjom, co się stały treścią mojej duszy, najpotężniejszym głosem mojego życia... Tylko przy Tobie, tylko zwmocniony Twoją myślą, czuciem — mogę być tym, kim jestem!

Przysyłam ci opłatek — biały święty pocałunek Miłości... On nas poprowadzi słonecznym gościńcem, rozepnie w lot nadziemski utęsknione skrzydła i pogna duszę w duszę, myśl w myśl — szczęście w szczęście. Oto staję przed Tobą, Bożenno, i błogosławię Tobie, że jesteś taka moja... że mękę miałaś w sercu, kiedyś dała mi ręce, że się dusiłaś, aż oto ja Ci duszę swoją otworzyłem... że woła-

łaś już dawno, zanim ja zawołałem na Ciebie. Rozważam tajemnicę, która nas połączyła i widzę, że jest ona z Ducha, co Ci żyć rozkazał, z Ducha, który Ci dał ból tylko dlatego, że Cię ukochał, że dał Ci duszę, co się Słowem Jego stała, a nie słowem świata!... Kochaj Go, — w Nim łącz się ze mną — przez Niego idźmy ciągle w Miłość...

O zdrowie Twoje niepokoję się bardzo. Sny mię trapią...



zekam w najświętszym milczeniu chwili, w której Cię uwielbię całą duszą moją...

Czekam... a tymczasem zataczam się, ilekroć myślą mdlejącą chwytam za uśmiech Twój, za głos... za tchnienie... Nie mam oparcia... tonę w jakieś głębie, co idą jednocześnie w wysokości niebne... zanikam a wraz czuję, iż pełniejsza pierś moja, że serce coraz potężniej uderza... Kiedyż nareszcie uwielbię Cię, święta moja? Gdybym miał tę chwilę okupić męką bez końca, bólem i zgrzytaniem — nie cofnę się... Przeciwnie — chcę — tak być musi... Uwielbię Cię, a potem niech się zapadnie wszystko, niech sam przepadnę... Wszyscy, co się tam zbiorą, co czują, co pragną... niech wiedzą, że to pieśń moja dla Ciebie... żeś Ty jest oną pieśnią!... Bożenno moja godzina uwielbienia bliska... to nasze zaślubiny... To będzie chwila, w której każdy, kto tam będzie — bezwiednie wzruszeniem, westchnieniem, uniesieniem a może i zachwytem — sam połączy nasze dusze!... I to będzie nasze zwycięstwo!... Ta chwila uwielbienia musi przyjść na Cię, a potem — choćby skonać pod ciężarem krzyża!... Boże mój! Daj mi podjąć ten trud w czystości jej serca, w świętości i w pokorze jej ducha... Daj, Panie, iżby tą Miłością, którąś nam dał, urzeknięte duchy — nie zaznały odtąd pokoju, aż by go znalazły tam, gdzie królestwo Twoje... Bożenno moja... bosa... naga... pokorna... cicha... spotkaj ów dzień, co się już chyli ku Tobie, co Cię garnie, wświe-



ca się w blask Twych źrenic... błądzi po wiecznej tęsknocie  
Twych westchnień...

Raz pierwszy od wieków stanie mąż, któremu „czcić bo-  
gów cudzych nie wolno“... i powie z najświętszym drżeniem,  
że kocha!... Raz pierwszy od początku świata może — stanie  
ten, co Boga głosić winien i głośno zawoła, że kocha... Raz  
pierwszy staje się może, że to, co zazwyczaj spycha, zaprze-  
paszcza, grzebie, — teraz wynosi, wywyższa, uświęca!... Przyj-  
mij to odemnie, bo nic ponad to uczynić nie potrafię... Niech  
Ci to będzie chwałą, czią i podzięką... Odtąd spokój, cisza  
i ukojenie w nas wstąpi. Mowa moja jako płacz niemo-  
włęcia... wiecznie jedna, wiecznie ta sama... Daj mi do  
stóp przypaść i tulić je, tulić w bezmiar szczęścia i Miłości.  
Nogi Twoje przebiegać winny tylko drogi ustami mojemu  
wyrównane... oczy — patrzeć się w łzawy, tęskny bezmiar mo-  
ich hymnów dla Ciebie... a usta — szeptać tajemnicę wiecz-  
ności...

Prowadź mię, przypominaj to, co wiecznie żyje mi  
w duszy...

Czarodziejstwem nazywa Słowacki, jeśli coś z tysiąca lat  
chwile uczyni... Powiedz, zali nie większe Twoje czarodziej-  
stwo, jeśli jedna chwila Twoja niech tylko w duszę mi przejdzie  
staje się wiecznością!... Z tych pojedynczych momentów  
wieczność nam się plecie... Nasze Parki nie przecinają nici,  
ale snują ją w nieskończoność...

Bożenno moja... ciągle o Tobie mówić będę... każdą  
chwile Twojem imieniem rozjaśnię, aby blasku Twego pełna  
była moja chata... aby się roztęczyła, czując, że to wielkie  
święto dla mojej duszy... Dziś widziałem... chodzisz, suniesz  
między drzewami jak oprzęd pajęczy... jak modlitwa zbłąkana  
leśnych uroczyyszcz... jak wonność traw w zbolałych piersiach  
dzieciny... jak moja ręka, co się razwraz w przestrzeń... ku To-  
bie wyciągnie... A drzewa znieruchomiały... drżą tylko wew-  
nętrznie... korzenie wpiły jeszcze silniej w ziemię, aby się nie  
zakolysać, aby Cię nie spłoszyć... Suniesz, płyniesz jak dźwięk,  
jak linja, jak srebrny blask... Aż oto drzewa stają się dźwię-  
kiem, linją, blaskiem — Tobą!...

To między moimi myślami błądziłaś... a ja Cię między  
niemi dostrzegłem... stałem się — Tobą!...

To przychodzi tak z nagłą, jak wszystko, co biegnie z Cie-  
bie: jak ból, jak radość, jak smutek, tęsknota...

Po powrocie zastałem Twój list... Kocham Cię za Twoje  
przepaście i niebotyczność!...



był czas, że dobrze mi było w moim kącie... Dziś... jakiś czar mię pochłania... zamykam oczy, gdy wchodzę do pokoju... Dość, bym spojrział choć raz tylko, abym odtąd wił się z tęsknoty, skręcał w ból szczęścia... Lecę — światy wszystkie wirują

dokoła mnie w skłębionym chaosie — coraz szybciej, szybciej... i jednej chwili wszystkie światy zwierają się ze sobą w śmiertelnym pędzie. Zgrzytnęły niebiosa i ziemia i gwiazdy — roztrąciły się, rozprysły!...

Ani świty rośne, rozśpiewane, lśniące wonne, ani pierwsze wiosenne westchnienie, ani złota tęcza rozpięta w rozwartej źrenicy dziecka — nic święciej do stóp Twych nie przypadłoby — nic!... Nim klęknę przed Tobą — pierwej klękam przed Bogiem i błagam o łaskę... Stąd moja pewność, że hołd i cześć Ci tylko niosę, stąd moja gotowość do wyrzeczenia się wszystkiego, bylebyś wzmagała się w piękność i świętość... Wszak musimy jak dwa świetlne promienie wrócić bez skazy do swego źródła. Czy dusze nasze nie są jednym spojrzeniem dwóch źrenic bożych? Może dlatego wszystko jednakowo przyjmujemy, jednakowo przenikamy i ku jednemu goniemy?!

Pisałem już, iż obejmując cały nasz miniony wspólny bieg, czuję, żem przebiegł jakąś odwieczną drogę w tysiącnych ewolucjach, żem z duszy mojej i Twojej uplotł niezliczoną ilość ogni, że te ogniwa ponad chmury, ponad przestworza zarojone bytami wybiegły...

Pójdź, wszystko się zatacza, rozstępuje podemną...



ic więcej Ci nie powiem. Bo i czyż więcej potrzeba? Każda chwila skuwa mię z Twoją duszą coraz bardziej i bardziej... Z przymkniętymi powiekami błędę pośród ścian, spojrzeć się boję... zewsząd na mnie patrzysz... przypominasz... I niech jedno wspomnienie mię obejmie — cały stoję w płomieniu — spalam się na jakimś ołtarzu ofiarnym... Już, już zaczynałaś być dla mnie czemś, co istnieje, co stanowi cel mojego życia... Tymczasem — od przyjazdu stałaś mi się jakąś wizją, którą w chwili objawienia ujrzeć mi dano, a której cień wlecze się za mną ciągle i aż—przeraża... I ten wieczór... i Ty... i dziecię Twoje... i to wszystko, co Cię nazewnątrz wyraża — ciąży nademną jakąś żrenicą, co jak morze odbija moją twarz i kołysze mię omdłego w najskrytszych swych głębiach... Nie wiem... i nie umiałbym Cię teraz nazwać... Aniś mi teraz Bożenną, ani jakąkolwiek nazwą, któraby mówiła o Tobie takiej, jaką Cię czuję... Czar... Czar... Cudny błękit widziałem—i wtedy Cię czułem najlepiej i wtedy miałem nazwę dla Ciebie ale tak głęboko, żem jej dopatrzyć i odczytać nie zdołał... W czystej, kryształnej atmosferze Cię dojrzałem, gdy ptaki w niej się kąpały... Wtedy Twoje Imię płynęło mi na usta... Ale nie wymówiłem Twojego imienia, bo ptaki znikły — imię Twoje odbiegło... Pomyśl tylko... Kiedy myślami, jak tchnieniem odbiegającej już duszy — serce Twoje omotam, krzyczę i wołam, gdzie jesteś... kto jesteś... Tyś chyba głosem zaświatów — tęsknię, tęsknię



do nich, a niech się ich dotknę—przerażam się... Gdyby w takim przerażeniu umrzeć!...

Byłem w lesie... Zdawało mi się, że idziesz przedemną a z myśli Twoich strzelają ku niebu struny, wiążące ziemię z nieskończonością... A ja byłem falą powietrzną, co trąca o struny Twych myśli... Jakżeż śpiewał ten bór! Tyś wciąż wiązała struny, a ja płynąłem po nich jak ta Twoja Miłość po bezbrzeżu mej duszy...

Tydzień temu!... Wpół do 10-ej, a więc czytałem „Sąd nad Bożenną”. Ja cały dzień zataczam się z tęsknoty za duszą moją...

Dostałem list z jakiegoś komitetu literackiego pragnącego uczcić Orzeszkową. Proszą choć o fragment z „Parakleta”. Odpisałem, że „Paraklet” nie jest moją własnością...



ożenno... głos Twój czuję w dłoni... rozchodzi się po mnie całym... duszę wypełnia wstrząsa... a oczy patrzą... Mów, mów... a oczy niech patrzą... Wzrok Twój widzę jak się spleta w boskim uścisku z wygnanym, tułaczem uśmiechem ust dziewiczych...

Co się stało, żeś mi nieskończenie piękniejsza, niż kiedy raz pierwszy ukląknęłam w duchu przed Tobą?! Co to, że choć wizją być przestałaś, — coraz bardziej bóstwu stajesz się podobną!... Wiesz Ty... gubię się... zatracam... nie wiem gdzie jesteś... Bo i głos Twój odbiegał od Ciebie i stał się odrębną wizją... i wzrok Twój zaklął się w świat nowy, świat, w którym się zaludniło od spojrzeń, błysków i przymrużeń... Jak z pierwotnej pramgławicy z biegiem czasu wyłaniały się coraz nowsze ciała niebieskie — tak z Ciebie powstają mi światy nieogarnione, a każdy z nich ma inne twory, każdy ma inne prawa, i swoje własne cuda... Bóg mi Cię dał... dlatego takim cudem jesteś dla mnie!

Bożenno... spojrziałem w okna... jabłoń usniezoną kwieciami dostrzegłem... Przypomniałem sobie miesiące nasze, kiedy wśród śniegów wznosiliśmy świątynie wspólnego szczęścia... Kocham śnieg, bo — jak Ty ku mnie — tak on ku ziemi biegnie z wysokiej dali... A ziemia pragnie śniegu, bo pod nim dopiero nowe życie dla niej się zawiąże... Śniegu mój... zimny... kryształowy... skrzący! śniegu, idący ku Ziemi na jej zmarłych wstanie!



ie śmiem Cię witać imieniem... nie śmiem mówić jak do żyjącej istoty... Daj, bym na Twem westchnieniu stoczył się w bezpamięć szczęścia... daj, bym Cię ze snu budził krzykiem zamierającego szczęściem serca... Powiedz, jak Cię nazywać... i czy mi wolno

choć w myśli stopy Twe całować?... Patrzę—fotografja... Twoja—tam... Najczystsza... taką, jaką Cię kocham — jesteś tam... Z piękności Twojej fizycznej ślad słaby tam zaledwie pozostał, ale zato nigdzie indziej nie widzę tak wyraźnie Twojej duszy... Ilekroć na nią spojrzę — zawsze mi serce bije... dziwnie bije...

Tyle czaru, upojeń niesie wiosna...

Byłem wczoraj w sąsiedztwie... Zobaczyłem bez, jakiego nigdy nie widziałem. Olbrzymie kiście kwietne, niemal łokciowej długości, koloru zapiekłej krwi... Bujne, obfite, omdlałe. Wstrzymałem konie i aż krzyknąłem ze zdziwienia i z dziwnego wrażenia, jakiego doznałem... Zdawało mi się, że widzę Twe serce ociekające krwią... Byłbym oddał wszystko za te krwawe łyzy Twoje... I wyobraź sobie: podchodzi ogrodnik a widząc moje zdziwienie i zachwyt—wyjmuje nóż... i w tejże chwili te łyzy krwawe spadają mi na głowę... Nigdy nie zobaczysz, jak wygląda Twoja krew serdeczna... na mojej głowie... Chciałbym stąd uciec albo do Ciebie, albo od Ciebie... Od Ciebie—próżne wysiłki... Choćbym dookoła zwędrował ziemię—wróciłbym do Ciebie, tylko że bardziej utęskniony i umęczony rozłąką... Kiedyż do ust przytulę najświętsze szaty... Kiedy

Cię ujrzę bladą, smutną, jak trzepocesz w skrzydła, aby odlecieć, dokąd Cię wołają tajemnicze głosy... gdzie świat Twój... Bądź mi duchem opiekuńczym, chroń mię od świata... zachowuj dla siebie... Chcę być jaknajdalej od bitych gościńców, na których jeno pył, kurz, brud... Pójdę swojemi ścieżynami wśród majowych zbóż... ukryją mię, bo się kłószą, bo wybują już ku górze... Z Tobą—śród zielonego żyta na pacierz dziękczynny za szczęście... Z Tobą—o pełni księżyca pod ukwieconą jabłonią, co się lśni srebrzyście jak łuska pancerza widma—rycerza. Z Tobą — na drogi bez końca... na nasze drogi co się już poczynają w duszy a idą poza myśl wszelką...

Z Tobą — na kurhany stepowe... na mogiły harde i dumne...

Widzę Cię promienną szczęściem, a jednocześnie tęsknota mgłą srebrzystą jasność Twych źrenic przesłania...

Wszystko, com kiedyś miał we wszechświecie—zestrześliło się w Tobie... w Tobie się zaczyna i w Tobie się kończy... Z czemkolwiek się zetknę, cokolwiek napłynie na mnie z natury—wszystko jak prąd elektryczny przerzuca mię ku Tobie... Nikt i nic nie potrafi powiedzieć mi jednego słowa nowego, bo wszystko to mam w Tobie żywe, rozśpiewane płynne, kamienne, tryskające i zakrzepłe...





wiosna w moim sadzie... wiosna w polu...  
w lesie...

Jedno w czterech mych ścianach nic  
się nie zmieniło. Wszystko trwa w jakimś  
półśnie zaczarowanym, w ekstacyjnem wy-  
ciągnięciu dłoni... w mistycznym rozwarciu

żrenic ku światom zawieszonym w otchłani między jednym  
uderzeniem serca a drugim...

Ciągle widzę dookoła siebie spojrzenia... napływają na  
mnie w świetle, w blaskach, w zmierzchu, w ciemni i w świ-  
cie... Te dziwne spojrzenia stały mi się krwią, co zasila me  
życie, co mi daje życie i przyszłość ukazuje... Tracę chwilami  
poczucie źródła, z którego wszystko to na mnie spływa... ginie  
ono w niepochwytym dla myśli prabycie... wiąże się z od-  
wieczną zagadką mojego powstania, dopiero gdzieś daleko, na  
końcu bytu ukazuje się widomie mej duszy...

Nasze związki wewnętrzne, nasz odwieczny pochod ku  
przeniknięciu się i całkowitemu stopieniu na byt nowy, od-  
mienny a całkowity i doskonały w sobie — przestaje być dla  
mnie tajemnicą, występuje wyraźnie jak proces dwóch pier-  
wiastków chemicznych na powstanie nowego ciała, ale zato to  
życie nasze zewnętrzne, a raczej chwilowa forma naszego życia  
coraz więcej zanika we mnie jako poczucie rzeczywistości —  
jawi się jako sen, złudzenie... Dojść do tak ostatecznych gra-  
nic fizycznego już prawie odczucia szczęścia, a jednak ani ato-  
mem ciała o ukochany atom nie potrącić, nie strącić się wz-

jemnie na poziomość ziemi ani jednym spojrzeniem, ani tchnieniem nawet — to wszystko przechodzi wszelką miarę pojęcia. Taka miłość może się zrodzić tylko w boskiej krainie piękna, kędy posągi wkłęły w siebie wszystek czar poezji i nieba i ziemi, a w chwili objawienia, w chwili cudu — piękno, jak dusza, opuszcza marmury i idzie na spotkanie drugiemu pięknu i w objęcia mu pada, niby promień splata się z promieniem, niby kropla w kropli się rozplywa i drży łzawem szczęściem na wieczność długą jak wszelka niezniszczalność...

Tys jest to Piękno, które Moc najwyższa uwięziła w ciele, postawiła na nizinach życia i kazała tęsknić... Twoja tęsknota, wszystką piękność, jaką miała moja dusza, zwabiła ku sobie, z najgłębszych wywołała ją nurtów, a teraz w pozdrowieniu Miłości każe jej mdleć, konać, błogosławić i żyć, żyć...

Za to, żeś życie wzbudziła we mnie, żeś mi dała ujrzyć Piękno życia w pięknie swej Miłości — z każdego uderzenia serca bierz hymn dziękczynny dla siebie, dla Tego, który Cię stworzył taką... I wiesz, że ja już nie żyję nawet szczęściem, jakie mi dałaś... Czasem wtulam głowę gdzieś, w jakieś dłonie zapomnienia, zamarcia, byleby nie czuć tej pełni szczęścia bo mi się zdaje, że mi nie wolno w swojej piersi zamykać tych skarbów, nie dzielić się z Tobą na wyłączną Twoją własność... Nie widzę nic dokoła, nawet szczęścia w głębi duszy nie czuję, tylko ukazuje mi się Twoja święta głowa i oczy Twoje i mowa Twoja i ruch Twój, a tam, w tem wszystkiem widzę moją duszę, czuję uderzenie mojego serca i wszystko moje. Tam, tam wyraźnie widzę, że przeszło wszystko, czem się stałem przez Ciebie... I dlatego ciągle wyczarowuję Twój obraz w bezdusznej przestrzeni, ażeby czuć, że żyję, ażeby żyć...

Jak ja kiedyś zazdrościłem ludziom, że mają przystęp do Ciebie, że mogą drzwi Twoje rozchylić, słowem Twojem mowę ludzką w sobie wskrzesić, patrzeć na ruch Twej ręki...

Jak ja im zazdrościłem... Dziś... Jestem bez zazdrości i wogóle bez wszelkiego uczucia ziemskiego. Stałem się w stosunku do Ciebie jakimś czarodziejskim zaklęciem, które jedynie prowadzi do najistotniejszych i najskrytszych zarazem prawd, co w Tobie zastygły w boskim tańcu Miłości!... Kiedyż, Bożenno moja, wieczność wymówi nad Tobą to czaro-

dziejskie zakłęcie... kiedyż nareszcie pójdziemy tam, gdzie  
niema ani cieni, ani słońca, ani godziny nie biją—jeno uścisk  
trwa nierozzerwalny?...

Gdybyż Chrystus chodził teraz po ziemi! Opuścilibyśmy  
i matkę i ojca i brata i siostrę i dostatek dnia, a poszlibyśmy  
o pielgrzymim kiju, o chlebie proszonym do Niego, pod cień  
błogosławieństwa Jego dłoni...



iszę do Ciebie nieprzytomny prawie — od trzech dni nie opuszcza mię wrażenie, jakie miałem, kiedy mię chloroformowano. Ale do Ciebie muszę pisać, choćbym miał wzrok stracić. Bożenno — ja kocham te drogi, po których myśl Twoja ku mnie biegnie... Coraz to mię dobiegają fale powietrzne, które roztrąciłaś ramieniem lub dłonią... A kiedy mię dotkną — wtedy tchu mi nie staje, — cały przeistaczam się w hymn uwielbienia dla świętej mojej...

Wczoraj i przedwczoraj nie opuszczałaś mię ani na chwilę, za każdym zdrzemnięciem się — stawałaś przy mnie i ruchem ukochanej dłoni wiałaś na mnie ożywcze, świeże, wonne powietrze...

Przymykałem oczy razwraz... zasypiałem co chwila, a cud się powtarzał bez końca. Gdzie byłaś wtedy? Przypomnij — i powiedz...

Dostałem listy Twoje... dwa...

Męki przechodziłem, bo, pomimo największych wysiłków, ani wiersza od razu objąć wzrokiem nie mogłem... Com dojrzał jedno słowo — opadała mi głowa — palcem miejsca przytrzymałam — a po kilku dopiero minutach pochwyciłem ukradkiem następne słowo lub dwa... i t. d.

Nigdy nie miałem takich snów cudnych...

Wszystko — niby ranne powietrze jutrzeńki — wszystko przesycone Tobą... Przestałaś być żywą istotą — stałaś mi się wszechświatem, z którego dusza moja powstała i w którym



się ostatecznie rozplynie. To moje wyodrębnienie od wszechświata jako jednostki samej w sobie — zacierać się będzie bardziej i bardziej w miarę jak tęsknota będzie wzrastała. Wszędzie mój ukochany... Oto kwicisz się już... wołasz ku sobie... tchniesz świeżością... Na Twe czoło niby na śnieżne szczyty schodzi noc... załopotana czarnemi, lśniącemi skrzydłami... rozłożyła skrzydła od wschodu do zachodu i przyczała się... przytuliła do śnieżnych szczytów... Noc włosów Twoich... A oczy Twoje — jak konające Królestwa chryzolitów, w których się zeszyły podziemne wulkany i padły sobie w objęcia utęsknione.

I teraz, kiedy mię drażni w przeraźliwy sposób wszelki szelest, dźwięk, odgłos—teraz jakby leku cudotwórczego pragnę mowy Twojej... wyciągam ręce... nachylam ucha... i słucham... słucham...

Czy się doczekam Poniedziałku? Jak mi już nieznośnie bez Ciebie. Po co właściwie żyję?

A jednak... Powiem Ci to kiedyś. Poniedziałek... już bym biegł i czekał...



iech się nie trapi Twe serce, ani też się trwoży. Siła wyższa czuwa nad nami i ta nas prowadzi i doprowadzi.

Bądźmy jako zdroje i jako kwiaty wiosenne.

Ciągle czujemy w swych dłoniach wielkie losy naszych serc i ważmy w nich naszą wybraną dolę. Na to nas Bóg pochylił ku sobie, abyśmy byli dla siebie i dla Niego.

Tylko w Twojem obliczu widzę wielką tajemnicę Boga, tylko w Twem sercu wielkie przeznaczenie swoje czuję, tylko w Twej Miłości wszystek się gubię, to znów się odnajduję i ponad wszystkim się unoszę jak Duch Boży.

Wieki całe przedły z tajemniczych włókien Twe ręce, aby przez nie jak przez słoneczne sito przesiać ku szczęściu moją duszę.

Błogosławię Cię, że przez Ciebie zrozumiałem i odczułem, co to znaczy *być*, co znaczy *trwać w nieskończoność*. I choćby nawet Miłość jako szczególny dar Ducha, nie skuła nas na wieki, to i wtedy tylko to błogosławieństwo mojej duszy dla Ciebie, węzłem bożych wyroków złączyłoby nas ze sobą nierozdzielnie.

Daj Boże, aby już nigdy usta nie siliły się na słowa, czczy i próżny dym, pustą bańkę... Oby nareszcie serce w swem bicu tajemnem, znajdowało dla siebie upewnienie, błogosławieństwo i ciszę pogodną głębokiej radości. Idź, idź bo pilno nam obojgu ocknąć się u stóp bożych!...

Słoneczność dnia naszego niech świeci nad Tobą i niech Cię wińczy...



czyż to można żyć jeszcze? Czy można jeszcze czego wyczekiwać? Co może dać więcej—nawet najświętsze objawienie szczęścia? Gorące niebo, drzewa wsłuchane, znie-ruchomiła woda — cała natura kołysała nas w swoich ramionach i tryumfowała

patrzac na narodziny nieziemskiego na ziemi szczęścia.

Prawda, cieniu mój czarny?—Wszystkie miejsca gdzie dusze nasze coraz to nowsze zdobywały dla siebie światy, zbiegają się z cicha o nocnej porze w mojej chacie i dookoła serca słyszę jak szemrzą psalmy uwielbienia, jak się kołyszą kadzielnice... jak zachwyty płyną i płyną... To znów patrzę — i widzę, że świat się stał jednym oceanem, że powrócił do prabytu swojego — woda, woda... A po tych bezkresach wód płynie śród kwitnącego życia—moja wieczność, nieśmiertelność moja — Miłość, Miłość, Miłość!

Z dalekiej, bardzo dalekiej płynie drogi...

Okwiat żytni drży na jej rzęsach... na czole czystem, niby srebrna miesięczna poświata — okwiat fioletowych kłosów wędnie i zwolna stacza się w milczeniu szczęścia. Wyciągnęły się ku gorze w miłosnem ujęciu dziewicze ramiona... jak skrzydła srebrnopiórego ptaka... zatrzepotały w powietrzu jakimś wołaniem, tęsknotą, prośbą cichą... razwraz rozchyłały się dłonie spragnione — poczem, bezwiednie dotknawszy wi-szących nad głową kłosów, zwały się te białe dłonie szczęściem wielkiem, wtuliły do zamierającego szczęściem serca.

O jakżebym Cię wołał, święta moja, byś stanęła przy mnie, byś zobaczyła jak umieram bez Ciebie, jak każdy moment życia Twoją obecnością przy mnie mierzę... Niczego nie pragnę tak jak Twojej obecności. Wszystkiego rad się wyrzeknę—głosu zgodzę się nie słyszeć, ale widzieć, patrzeć, przenikać. Te dwa dni wspólne, niepodzielnie nasze—to wszystko cokolwiek nas czekało na ziemi... Cały ogrom szczęścia zamknął się w tym czasie... Boże — kiedy sobie przypomnę choćby jedną chwilę z ubiegłych świętych dni—krzyczę jak nad zawrotną przepaścią!

Bożenno moja... u siebie powitać Cię pragnę... wszystką tęsknotą Miłości i uwielbienia czekam na Ciebie... Niech długo nie czekam, niech nie konam żalem...

Róże są już na rozkwicie... Ja tak pragnęłam abyś w tym czasie była u mnie...

Pomyśl, co czuję, kiedy wracam do domu, a Ciebie tam niema... Nigdy chata moja nie wydała mi się piękniejszą, nie zamieniłbym jej na najbogatsze pałace... Gdym wszedł, wydało mi się, że wszystkie ściany się poruszyły zapytaniem: „a gdzie ona?“... Zatoczyłem się i to była jedyna moja odpowiedź... Wszystko znieruchomiło, wtuliło się w milczenie, zaszłochołało... Bożenno... nigdzie nie będzie Ci tak dobrze jak



u mnie. Gdybyż to jak najprędzej... jeden wieczór niech zni-  
dzie na Ciebie u mnie... jeden ranek niech Cię powita w moich  
roztęsknionych i rozmodlonych Twojem imieniem ścianach...  
U nóg Twych leżeć będę... a potem nad brzeg, wrócisz do  
swojej kolebki, uwitej z kłosów żytnich... i znów wyciągniesz  
ramiona... znów słońce zamkniesz w białej dłoni, a okwiat  
żytni sypać się będzie... mżec... dżdżec...

Gałązką głogu przepasz białe czoło...

Dosyć... nie mogę myśleć już o Tobie. —

A myśleć muszę, bo inaczej przestałbym myśleć chyba  
już na wieki...



ie mów, żem Cię na rozkołysanej piersi  
wniósł w krainę cudu i szczęścia. Przysze-  
dłem tylko do Ciebie, aby sny Twoje po-  
stawić u progu życia... Rozepnij nademną  
swe skrzydła, bądź mi wizją nieziszczoną,  
bądź upragnieniem mych niezgłęzionych  
tęsknot Taką Cię ukochałem, taką stoisz przedemną ciągle  
i taką chcę Cię mieć nazawsze... Do Ciebie jak do świętych  
a niedostępnych uroczysk wędrować będę, wiecznie Cię będę  
nosił pocztą w mej duszy a nigdy nie zrodzoną, do Ciebie  
jak do nieśmiertelności będę wyciągał ramiona w najniepo-  
chwytniejszych chwilach tworzenia... A Ty kołysz się dumami  
o mnie, o naszej wieczornej tęsknicy, o nocnych czuwaniach  
na niemej modlitwie...

Idę... a przedemną ścielą się szmaragdowe łany pszenne...  
modraki zakwitły w nich barwnym rojem... To Twoje myśli,  
spojrzenia i tęsknoty tak się kwieją w mej duszy... Rwałem  
po drodze kłosa, do ust je tuliłem, a potem rzucałem —  
Tobie!...

Czarne bratki pytają się o Ciebie... czekają... na Twojem  
czole, w Twych włosach pragną omdleć, zwiędnąć...

Jakaś siła tajemna, ale świadoma mych pragnień pcha  
mię naprzód, gna, pędzi, roztwiera przedemną cudne ogrody  
róż purpurowych białych i żółtych... Jak poszum wieczności  
opłynąć moją duszę, jak nieziszczone lecz ziszczalne gody Mi-  
łości trwaj w bezładzie myśli błądzących po Twej boskości  
duszy... Pomyśl, czym jest Miłość nasza?!...



Przenajświętsza falo życia... przepłynęłaś po mojej piersi — jak pocałunek wiecznych zaślubin, jak srebrny świt obiegający niebo od krańca do krańca srebrno-złotą błyskawicą. Ze źródeł, ocienionych tajemną gęstwą narodzin, z najpierwszego tchnienia prabytu — wypłynęłaś, przenajświętsza falo, ażeby ruch swój niczem nie wstrzymany zatrzymać na mojej piersi i porwać ją wraz ze sobą w bieg, w nieskończoność, w wieczyste trwanie życia — snu i snu — życia...

Na mojej piersi Twe wody dojrzały swoje dno... przejrzały się, dostrzegły swe piękno, zasłyszały wielkie i święte obietnice... Toczcie się, szumcie, piencie się i pręćcie nieskończonością brzegów ku niebu... błękity, obłoki i lot wszelki skrzydlaty chłońcie w siebie bezwzględnością Miłości i Pragnienia...

Tylko pierś moja ma granice, ale nie bieg Twój, nie Twój lot...

Szczęśliwy jestem, że żyję... że przy ogromie świata wewnętrznego czuję się tak małym, tak nieskończenie małym. Przed oczami przesuwają mi się cały bezmiar w jaki moja dusza pójdzie z Twoją duszą, a to poczucie nieskończoności w którą wpelzamy jak jasny promień, mówi mi, że droga czeka nas niewypowiedzianie długa, a więc temsamem, że życie nasze musi być wiecznem, jak wieczny jest pościg za Prawdą.

Jakie to szczęście wyzwolić się do tyła, żeby nic nie zawazyło twierdzeniem lub przeczeniem na mojej duszy... Mógł-

bym jednej chwili wymieść wszystko, co ma jakikolwiek byt—wszystko, aż do progu, u którego Twój byt się zaczyna. Gdybyś się cofnął do tych chwil przedstworzeniowych, kiedy Duch unosił się nad chaosem, i być raz Duchem, raz Chaosem z Tobą naprzemian... Gdybyś była Chaosem a ja Duchem, nigdybym nie wyrzekł: „niech się stanie światłość“!... ale unosił się nad Tobą, unosił, unosił...

Nigdy moja dusza tęskniąca do wszechwładzy, wszechbytu i wszechszczęścia nie zdobyła by się na akt twórczy, bo ten z chaosu wydobyłby dla mnie tylko jeden świat, z określonym bądź co bądź kształtem, z postawionem wyraźnie prawem... Unosiłbym się nad Tobą i unosił... i tęsknił nieskończenie do bytu a każde pragnienie niosłoby mi coraz to inny byt, coraz to inny kształt, coraz to inne prawo...

I to byłoby moje największe szczęście gdybym czuł, iż w Tobie mam tyle światów ile pragnień powstanie w mej duszy... Prawda, jakie to okropne, przerażająco wielkie szczęście!... Ty widzisz, Ty musisz widzieć jaki ja jestem nieskończenie szczęśliwy! Szczęśliwy jestem, bo Ty mi jesteś takim chaosem, z którego nie wydobędę żadnego określonego świata, a który nie przestanie być nigdy odpowiedzią i kształtem na każde moje pragnienie, na każde wyciągnięcie ręki, choćby ta zakreśliła w powietrzu najbardziej niepochwytną linię... *Kocham Cię, że nie jesteś, ale stajesz się ciągle, stajesz się w nieskończoność...* Kocham Cię, *że nie poprowadziłaś mnie przez życie, ale że życie mi objawiłaś...* Kocham Cię, że przez Miłość głośisz mi tajemnice, bez poznania których nie odczułbym w sobie boskiego pochodzenia i przeznaczeń boskich... Bieg w to, co niewidzialną twarzą ciągnie jak siła nad siły wszelkie, bieg w to, co stacza w otchłań piękna i świętego przerażenia—stało się dla mnie życiem, a wszystko inne śmiercią... Uciekam od tego świata, jak od dawnego widma śmierci... Żyję tylko wtedy, kiedy z Twych ust dosłyszę głos z mojego świata... Reszta jest mi błąkaniem po polach elizejskich, jest wyczekiwaniem pragnącego na kroplę dżdżu. Jakie to szczęście konać z takiego pragnienia. Wtedy dopiero czuję, czem się stałaś dla mnie, wtedy słyszę, jak to duchy mówią do siebie...



Boże, jak łatwo bezpośrednio uczucia, załamawszy się w słowie, stać się może deklamacją, retoryką... Dlatego to o ileż radośniej mówię do Ciebie niż piszę... Kiedy mówię, czuję, że choćby najnieudolniej objaśniało się uczucie, to jednak więcej ma krwi i błysku w sobie, niż wszelkie wypisane zdanie. I dlatego też od czasu kiedy mogłem mówić z Tobą, pisać już zapomniałem.

Jedź mocna, pewna, że ten wyjazd Twój będzie wielką sprawą naszych dusz... Odzyskasz też i zdrowie, a i ja przyrzekam... Ten miesiąc będzie dla nas najbliższem połączeniem naszych myśli, uczuć, woli. Staniesz się tam szczytom śnieżnym podobną, szumem rozkołysanym świętych gajów... obłokiem srebrnym skąpanym w ciszy i tęsknej zadumie...



łogosławieństwem wieczornej ciszy u nóg Ci się kładę i całuję Twe stopy, że idąc przez ten świat ku mnie, ślady niebiańskich smutków zostawiły... Przystanąłem nad nimi i odtąd już oczu od nich oderwać nie mogę, jeno idę, idę...

Dokąd mię prowadzisz? Dokąd wiedziesz? Kto Ci dał prawo najwyższe nad moją duszą, że już niczego ona nie pragnie tylko tego, co z Ciebie dla mnie się rodzi! Skąd Twoja moc, że mię wiedzie jak księżyc po niebie, gna i pędzi jak huragan lub wicherę skłębioną! Od Boga masz to wszystko, a masz na to, aby stać się wszystkim dla mnie! Objawienie bożych tajemnic idzie przez Ciebie na mnie... i objawienie światła i ciemności... i objawienie żdźbła trawy i prochu szarego! Cały wszechświat splywa mi do piersi wraz z myślą o Tobie, z westchnieniem najłżejszem. Stałaś się dla mnie Wszechduchem, przenikającym wszystko dokoła — zrodziłaś mą duszę, a teraz trzymasz ją w swych ramionach i niesiesz w krainę naszych wielkich przeznaczeń. Ręce ukochane moje! Czuję, jak się pochylacie ku mnie, jak gasnące seledyny zórz wieczornych... jak gęźba rzewna z piersi boskiej płynąca, jak wzrok mój roz tęskniony ku temu światłu, co naszemu spotkaniu przyświecać będzie...

Nie trwóż się i nie lękaj niczego. Jam to jest, co słyszę Cię, jam jest, co czuje i kocha wielkość duszy Twojej. Wypełnij pustelnię swoją naszą wspólną tęsknotą, naszą litanią naj-

tajniejszych westchnień, naszą wiarą w cud końca naszego na ziemi... Odejdziemy tam, gdzie byt się tworzy dla naszych dusz, gdzie żyć wiecznie będzie i królować istotna królewskość nasza... Niech ten rozdział chwilowy będzie odejściem jednej duszy od drugiej ku głębszemu tylko przejrzeniu się w sobie, niech będzie cofnięciem się mistrza od arcydzieła, ażeby w zachwycie klęknąć przed wcieleniem się myśli odwiecznej..

Wiem, że stamtąd jak z poza świata patrzysz na mnie i wzrok mój ciągniesz ponad ziemię, ponad własną moją duszę. Niech się ziszcza wciąż i bezustannie nasze Królestwo, nasze odwieczne wołanie. *Wszak tu na ziemi nie sądzono nam spocząć, zawisnąć obok siebie na jednej rozkwiecionej gałęzi.*

Przeznaczenie nasze jest czemś, co nie da się zamknąć *w szczęśliwości życia, w ujęciu dłoni na całą drogę żywota...* Wybrańcami jesteśmy, więc jak wybrańcy jesteśmy pozbawieni wyboru.

Musi się stać to, co jest ponad nami, co spłynęło z Boga, a temsamem człowieczym rachunkiem być nie może. Ten łąbędź, o którym piszesz, co się kąpie w pobliskim stawie—niech Ci przypomina mnie, który tonę w błogosławieństwie Twego oddechu, w świętości przywitań i pożegnań Twych oczu... w nieustannem biciu Twego serca wobec tajemnicy, co nas ukochała... O, jakżeżbym pragnął niewidzialny wokół Ciebie rozlewać ciszę i spokój, tworzyć niebiańską melodyę ukołysań, wznosić granitowe ściany odgradzeń od bólu i żrącej tęsknoty... Gdybyś wiedziała, jakim jest to moje pragnienie — snułabyś to swoje tam życie jak srebrny bieg górskiego strumienia, jak niezmaconą zadumę skalistych wierzchołów...

Oczyszczać nam trzeba swe dusze, bo oczyszczenia nigdy zawiele, jak nie zawiele świętości i dostojności dla wiecznie łąknącego serca...

To oddalenie biegu myśli nie opóźni, bicia serca nie powstrzyma, duszy lotu ani na mgnienie oka nie uwięzi. A to przecież jest wszystko, czem żyjemy, bez czego żyć nam niepodobna...

Da Bóg — powrócisz zdrowa, a to taka gorąca moja prośba do Ciebie. Tak chciałbym żyć jeszcze długo wspólnie z Tobą, dużo, dużo mówić o naszym szczęściu i razem z Tobą wyciągać ramiona dziękczynne ku naszemu Bogu!...

Trzeba byśmy pospołu jeszcze długo byli widomymi znakami ręki Bożej!...

Kwiat mój — tam, a blaski, a wonie — tu... w piersi...





nieg... deszcz... Siedzę w pokoju i po przez okna zroszone patrzę ku Tobie... Mało mi nocy, w które zawsze zstępujesz do mnie... Wtedy to stajesz się dla mnie czemś tak nieokreślonym, jak wiosna kiedy po raz pierwszy wyjrzy z pod śniegów... Czuliś wiosnę? Spotkałem ją jak Twoje spojrzenie, jak poruszenie stęsknionej Twojej piersi! Leżały jeszcze śniegi jak gęsta mgła na roli, a jednak to tu, to tam — przeżyła się ziemia przebudzona, odurzona jeszcze snem słodkim, nabrzmiała siłą rodzącą, spragniona słońca — godów...

Byłem pijany tym widokiem. Czułem, jakobyś miała za godzinę się obudzić, a już wszystko się poruszasz, wargi Twoje kończą rozmowę we śnie zaczęta, ramiona zwolna, zwolna opadają po ekstatycznym podniesieniu... O, jakżeż dziwnie silnie przemówiłaś do mnie wiosną! Wśląd za tem czułem, jak nadzieja niby krew obiegać zaczyna całe ciało, a potem bije źródłem upojenia poprzez myśl, czucie... W piątek na parę godzin wpadnę do Warszawy. Tu mi czekać na Ciebie — zdala od wszystkiego — i wszystkich. Ja, wolny człowiek przez Ciebie, muszę przez ten czas zdobyć sobie taką podniosłość, która godną była przyjąć Cię w swoje progi! I pomyśleć, że każda godzina, każdy dzień — to wydarcie oczom ich światła, piersiom — powietrza, ustom — mowy!... Jednak z jaką radością niosą to dla Ciebie! Przyjdzie jedna chwila, w której będziemy jako bogowie: szczęśliwi, spokojni, cisi, beztroscy.

Bożenno—pragnę lata, gorąca, słońca, skwaru... kwiatów pragnę i nieustającej myśli, że z dnia na dzień będę mógł sobie obiecywać wielkie podniesienie ducha przy Tobie. Przestrzeń zaniknie, granice się rozwieją, a jedynie wieczność nad nami zawiśnie, gdy dusze wyjdą z ciał, ażeby się przeniknąć w jednej myśli, w jednym uczuciu trwać.

Wtedy jedna chwila zróżowi się blaskiem wieczności, w tej jednej chwili bowiem zamknie się początek wszechświata, jego trwanie i bezkres... Czy nie czujesz, że wtedy zapomnimy, że to wielkie czucie jest w nas — przeciwnie: zatracimy zupełnie przeświadczenie o swoim bycie, a natomiast przekształcimy się w jakiś byt bez miary poza nami będący. To znak że duch opuścił ciało, że wrócił do swego prabytu, że w ognisku wszechżycia się rozplynął. O, przybądź chwilo, o znijdź tajemnico, którą objawia jedna śmierć tylko... Stań się naszym życiem, naszą jedyną troską i pragnieniem. Stańmy się, Bożenno, jako owa świątynia Posejdona w Paestum, dokąd wchodzili syny Pytagorejskie, ażeby wchłonąć w siebie tajemnicę dyapazonu. Stańmy się ową harmonią wszechświata, mającą byt sama w sobie, a po którą wyciągają dłonie wybrane dusze... Idźmy w Boga poprzez każdy moment naszego życia, zatraćmy w sobie poczucie wszelkie krom poczucia świętości swego przeznaczenia. Niech dla nas stanie się niezrozumiałą mowa ludzka, abyśmy zasłyszeli głos „człowieka”, budujmy Korab, który ma uchronić dusze nasze od zagłady, zabierzmy weń, jak Noe po parze przeznaczonych dla się tworów natury i płynimy z pieśnią dziękczynną wśród rozszalałych żywiołów. Hymn naszej duszy niech będzie mową, którą zagadamy do Stwórcy.

Tylko przywieź mi w darze coś bardzo, bardzo drogiego — zdrowie Twoje. Pomnij na to, że utrudniony byłby bieg nasz ku ukochanej Prawdzie, gdyby Cię siły fizyczne opuściły. Czytam Platona, Verlaine'a i Danta. Wszystko mię niesie ku Tobie, stwarza taki świat, jakiego pragniesz dla mnie, gdy jesteś daleko... Korektę prześlę, gdyby Ci przyszła nowa jaka myśl lub uwaga — rób koniecznie.

Miałem miłego gościa: owego księdza, o którym Ci wspominałem. Biedaczysko — słuchał mię jakbym mu śpiewał Bo-

ga! Odjechał szczęśliwy, że mógł spojrzeć w oczy wielkiemu  
szczęściu. Odkupiłaś mię cudzie Boży, odkupiłaś i wyniosłaś  
ponad wszelkie trony i mocarstwa. Dałaś mi kwiat mistyczny  
w ogrodach bezgrzechu zerwany, rozśłoneczniłaś ciemność  
moich myśli, namaściłaś świętem chryzma skronie wygnańca,  
co szedłby ciągle z piętnem na czole... Do Ciebie przypa-  
dam i pod Twoim znakiem miłości czekam na ostatek dni  
moich...



łonce falą złocistą spłynęło do mego pokoju!

Rzuciłem wszystko, pobiegłem do okna  
Śnieg niknie wobec słońca jak moja bla-  
dość na samą myśl o Tobie. Życie, pra-  
gnienie życia, wielkość życia — idzie na  
mnie zaborczo, przemożnie, zwycięzko...

Myśl leci ku Tobie — i nie wiem gdzie jesteś — co teraz  
robisz. A widzisz... gdybyś była mi dokładnie dzień swój  
opisała — zawsze wiedziałbym, co Ci powiedzieć, czy milczeć,  
czy patrzeć, czy słuchać... A widzisz... żeś zawiniła, Ty święta  
moja Rodzicielko! Wczoraj czytałem Nitschego. Podziałał  
na mnie wzmacniająco — poczułem w sobie sprężystość stali.  
Pusto Ci tam... boleśnie... samotno! Wierz jednak że z każdą  
godziną przemyślaną, odczuta — coraz to jaśniejsze promienie  
złocić będą Twą pustkę... coraz to promienniejsze chóry aniel-  
skie będą wypełniały Twą pustelnię.

Może w bibliotece znajdziesz Niebo — Danta. Wiele miejsc  
uwięzi Cię nanowo. Porwij się jakgdybyś dosłyszała moje  
wołania o ratunek; siłą, ofiarą dla mnie wprzęgnij się do cze-  
goś naszego... Na litość — nie karmić się tylko tęsknotą,  
myśli — pożrą Cię!

Jeszcze bardziej niż dotąd, odgradzę się od całego świata.  
Pustka, nędza i podłość... Zresztą — to nie nowina. Nie  
myśl jednak, że się stało cokolwiek. Nic przed Tobą nie mam  
skrytego.



Wszystko podzielę z Tobą i wszystkiem się podzielę...  
Patrzę w jakiś punkt jasny, świetlany... Jasność taka stamtąd  
bije, dźwięczy jak głos w chwili ekstazy zasłyszany... ruchem  
harmonii boskiej przemawia... sływa jak wzrok wszechducha,  
w którym rozdrgało się objawienie początku i końca... Jasno-  
ści moja! Stanę przed Tobą upracowany i uznojoną tęsknotą...  
a Ty mię pochłoniesz jak głębie źródlane chłoną falę sło-  
neczną...



, niech Ci słońce świeci, niech Cię grzeje, niech Twoją twarz rozżłoci czarem zachwytu i wniebowstąpienia. Dobądź ze swej duszy wszystko, cokolwiek w niej drzemie... Czekwały Twoje skarby na mnie, pod moim spojrzeniem rozbłysły żyjącą tęczą, baśnią, którą przedły wichry, promienie i westchnienia duchów tułających. Twoja dusza coraz jaśniej boskość swą mi objawia, im bardziej nas zbliżają i łączą najzwyklejsze sprawy życiowe. Niemasz dla Twojej duszy takiego pyłu, takiego prochu — przez który nie zajaśniałabyś w całej swej piękności. A mnie podziw i zachwyt zbożny chwytają i walą na kolana, kiedy Cię widzę taką... Czasem zdaje mi się, że stworzony na to, aby odbijać w swej głębi mrocznej najjaśniejsze promienie Twego ogniska. Jak noc księżycowa, rozdrzana roztęskniona światłem — spływasz do mojej piersi — i tam zawisasz, jak na skrzydłach rozpiętych w nieskończoność, cicha rozłkana, promienna, tuląca się w mój zachwyt, marząca dla nas obojga byt poza wszelkim bytem, a taka cicha, taka jasna wszystka... Ciągłe żyję tym jakimś dławiącym duszę czarem, którym na mnie wionęłaś, gdyś przyszła na pożegnanie. O wierz mi Bożenno, że gdybym umierał i ujrzał Cię taką — dość byłoby otworzyć usta, rozewrzeć oczy, wyciągnąć ramiona, ażeby Cię zabrać ze sobą nazawsze... Ach, tak odejść z To-

ba... Tylko taka możesz utkwic w moich oczach, wypełnić pierś, spleść się ze mną—nazawsze!! Ciągłe Cię mam w oczach, w piersi, i tam gdzieś tak głęboko, tak niepochwytne, że aż zawrotnie się robi, czując, że są nieprzeniknione głębie w duszy, w których może coś jaśnieć tak żywo, tak gorąco i świecie, jakby to było na jakiejś powierzchni, którą ręką można dotknąć... I chociaż pierwszego dnia rozpięłaś nademną błogosławieństwo piękna jak namiot boży usiany gwiazdami i błękitem wiązany... choć wszystko, com widział, słyszał, czuł, czem żyłem — stapia się w jedno pochylenie głowy, zamknięcie oczu i zgięcie kolana... choć dusza Twoja w onych chwilach zażęgała we mnie nieustraszoną uświadomianą, stając się wszystka wszystkim — to przecież w chwili pożegnania kiedy się pochylałaś ku mnie jak srebrzysty promień księżycyca — dusza moja ogarnęła i wchłonęła tajemnicę zaświata, sama wespół z Tobą stała się nią jak śród ciemności światłość, gdy się stanie... Witam to nowe życie moje, jak powitałem to Twoje pożegnanie. Tak pożegnać jak tyś to uczyniła — dano było tylko Chrystusowi. Pożegnał to, co kochał nie łą, nie jękiem, ale nową formą swojego Królestwa... Odtąd już inną jest moja tęsknota. Nie tuli się bezradna, nie trzepie pióry, nie srebrzy się łą, nie mgli się tłumionem westchnieniem, ale pewna swej mocy, swojego władztwa, z Królewskim dyademem na skroniach — czeka, rychłóż nadejdzie dzień, godzina, chwila... Jakżeż mi teraz dobrze w tych czterech ścianach, ile światów toczy się po bezkresie mej duszy, jaka harmonia światła, pieśni — ile życia, życia z rąk Twoich!

I to mię uszczęśliwia, że kiedy to przeczytasz, oczy wzniesiesz do nieba i padną te Twoje spojrzenia dziękczynnym hymnem, że piękność Twej duszy, gdy spadła na mnie, sama jeszcze bardziej zajaśniała... że wszystko cokolwiek mi dałaś — przetworzyłem w świętość Miłości! Widzę ową noc księżycową, śpiewającą, „hosanna” nad naszymi głowami, noc przęcają się stężałym błękitem, uderzającą radośnie w chór gwiazd roziskrzonych, noc — niby bożego dziewosłęba pełnego szczęścia i wesela...

Gdy wracałem wczoraj do domu i spotkałem się z tym samym księżycem, zadrzałem, zali to być może, aby mię aż

tu odprowadził... I dziś powitam noc księżycową, lękającą srebrzystym światłem, i zapytam, czy nie jest jednym z tych spojrzeń Twoich, które zlewą nawalną zęgały mię niedawno... Może to Twoje spojrzenie zbłąkane w pogoni za mną tak objęło całą ziemię, abym je dojrzał, gdziekolwiek będę?! Boże, daj nam jeszcze być razem tam, dokąd już tyle razy dusze wybiegały! W naszej to mocy, bo Bóg z nami. Czy Ty sobie wyobrażasz ten spokój dusz, które już na wieki połączone ze sobą, czy czujesz tę bezpośredniość bóstwa, w które poszybujemy jak ptaki, wzniesiemy się jak wonie... Jesteś mi, Bożenno, jak ten ptak, co skrzydłem potrafił powierzchnię wód niezmiernych... kręgi od tego pocałunku idą coraz szerzej i szerzej, oko ich już nie obejmuje... już nawet powierzchnia w potraconem miejscu jest równa, spokojna — a tymczasem kręgi toczą się coraz bardziej nieobjęte, coraz niklejsze, subtelniejsze, aż gdzieś — het — pod brzegami się rozbijają, ażeby znów toczyć się ku najświętszemu miejscu pocałunku...

O, nieustający pierścieniu, Szczęścia! Tocz się, tocz, a w biegu swym porywaj wszystko za sobą, przetwarzaj, wcielaj i ródz dookoła nowe pierścienie, nowy bieg i nowe zdobycze! Błogosławieństwo poranku i wieczoru niech będzie z Tobą, w której są wszystkie promienie życia i blaski światła...

Myśl o Tobie — jak słońce rozjaśnia moją samotność, zapładnia życie, i dookoła rodzi tyle szczęścia!... Bożenno, ten miesiąc co mnie czeka — to życie moje. Gdybyż się stało ono jak świątynia Eleuzyjska — pełna majestatu, czaru, tajemniczości, beztroski i podniesienia... Przeżyć tak miesiąc, to znaczy za życia być porwanym do nieba, za życia łamać z Tobą chleb wieczności, za życia poczuć się myślą i słowem bożem!... Chodźmy w Królestwo naszej Prawdy.





iebo w piersi niosę... Wywyższę Cię przez swoje przeistoczenie ponad wszystką myśl moją, ponad możność wszelką istnienia na ziemi.

Cicha byłaś, gdy Cię żegnał, jak srebrny promień, jak moja rzewność dla Ciebie. Najświętszą tajemnicą swej duszy jak błyskawicą przedemną zajaśniałaś. Pokochałem Cię za wszystkość bóstwa co zamieszkała w Tobie. To Cię umocni, to upewni, to poniesie tam, gdzie Twoja korona majestatu.

Boże dobry — jak mi trudno rozłączyć się z Tobą, choć na chwilę. Chciałbym w wieczność zakląć ten odjazd mój, to Twoje słodkie, ciche, gołębie pochylenie głowy na moje piersi, tę srebrzystość drżenia, które miałaś rozlaną na twarzy. Życie mi dałaś wielkie, pełne, słoneczne. To życie przelewa się poprzez wszechświat cały i wszystko stało się Tobą i prze na mnie, naciera zwycięsko i przywała mię zdobywczą stopą. Zwyciężonym, Bożenno, zwyciężonym... Jaka siła mojego biegu poczęła się przez Ciebie, ile mocy archanielskiej płynie mi już w żyłach — dowiesz się, dowiesz...

Zobaczysz wtedy świętość i dostojność swej duszy... ujrzysz siebie i klęknieš przed sobą.

Do domu mi, do domu! Tam zostanę sam z Tobą, pójdziemy hen, gdzie wieczność się zaczyna, zostawimy wszystko poza sobą, sami, tylko sami możemy żyć i umrzeć... O jakżeż trwożnie w głębi noszę obraz Twej pustelni. Utrwalę go

sobie w domu kiedy zostanę sam, kiedy się rozpocznie moje misterjum tajemnicze z Twoją duszą. O, objawienie światła i piękna, o przybytku mój najświętszy tajemnic, co mi się przez Ciebie jawią, by powalić na ziemię, zdruzgotać, zmiażdżyć... Bożenno, Tyś nie urojeniem, nie złudą, ale boskim ramieniem dla mnie... Boże, Ty słyszysz, co mówię... i wiesz co czuję — i dlatego wolno mi tak mówić...

Bożenno, pamiętaj, żem o wyjeździe postanowił jak o szczęściu...



ierwsza ma myśl po przebudzeniu: czy aby słońce świeci? Gdy je zobaczę kładę się znów na łóżku i marzę, jak to samo słońce jasnością wypełnia Twoje „miasto ucieczki“ jak je złoci, ogrzewa. Niewątpliwie jesteś wtedy rozradowana, szczęśliwa, oddana jednej myśli i uczuciu — moja! Cały tydzień tak pięknie, tak słonecznie! Niebywała to rzecz

w marcu. Chyba dla Ciebie tyle ustępstw robi natura. Od dzisiaj rozpoczyna się właściwa wiosna. Pomyśl więc, że wiosnę, spowitą jeszcze w śnieg i wiatr, pędzić będziesz na wsi,—zdala od wszystkiego. Gdybyś wiedziała, jak mi dobrze w mojej sadybie! Łączę się teraz z Tobą bezpośrednio, goręcej i głębiej... Niema między nami tych murów, które nas dawniej dzieliły. Zdaje mi się, że myśl moja, ledwie wybiegnie po za mój sad — już stopy Twe całuje! Tak mi blisko teraz do Ciebie, tak prosta i neutrudna droga wiodąca do Ciebie. Ciągle spoglądam z Twoich okien na staw... ciągle siadam z Tobą do stołu, krok w krok chodzę za Tobą... nieopuszczam nigdy — Zrodziłaś mię Bożenno dla siebie, więc też jak dziecko — przy tobie tylko jestem spokojny, przy Tobie szczęśliwy i z Tobą...

Myśl wyjazdu oplątała mnie zupełnie, rozparła się w duszy i konieczności potrząsa berłem. Widzę z dniem każdym wyraźniej że tylko podczas naszego wspólnego życia — prawda dusz naszych ziści się całkowicie — że przemówi dusza do du-

szy głosem wieczności, gdy odczuwamy, żeśmy wyjęci z pod prawa, granicy, czasu i wzroku... Wtedy naprawdę wolność dusz naszych okaże się w całym blasku i piękności, zatrzymuje jak wiosenne tchnienie, zwycięży nareszcie wszystko, co nie jest w nas... i precz odrzuci.

Wszystko jedno dokąd nas wody poniosą... Żadnych planów — jedno, „święta nasza droga”. Żadnych nadziei wielkich zdobyczy — prócz... jednej takiej chwili — kiedy boskość wypełni nas na wieki. Pójdę po moje złote runo, powędruję po za rzeki i morza, po za góry i pustynie. Zdaje mi się, że droga, po której pójdziem odbiegnie od tej, którą sobie wytknęliśmy. Wciąż mam wrażenie, że wśród obcych twarzy, wśród brązowych, złotych i czarnych ciał... wśród odrębnej zupełnie kultury, pod niebem nieoglądanem jeszcze, wśród niewielu zabytków, ale z innego świata — pocujemy się na onej wyżynie, co nas pograży całkowicie w potokach ciepła i światła, a ciszy takiej o jakiej nigdy nie śniły dusze. Jakkolwiekby się stanie—dobrze będzie. To wiem tylko, że stać się musi— że niemógłbym już żyć inaczej. Od owego poranku w którym srebrzysty promień księżycy padł mi na piersi i drżał jakąś mową, mglił się lubem westchnieniem, oplatał rozcałowanym spojrzeniem — odtąd nic już nie czuję prócz ducha, który napływa na mnie szybciej i szybciej.

...Pamiętasz ten poranek! ołtarz mu zbuduję na wieki w mem sercu... wszystko co życie najgłębsze wyrzuci z swych den, składać mu będę w ofierze... Pamiętasz ten promień!? Zamknij oczy i wpatrz się w siebie, wsłuchaj bacznie, a przekonasz się, że i dla siebie staniesz się takim promieniem! A kiedy z Tobą przewędruję drogę przeznaczeń, kiedy już naprawdę staniemy się jako dwie jasności spragnione siebie, a więc przenikające się nawzajem... wówczas ziemią zasypani do połowy—będziemy jak on sfinks dla każdego przechodnia—my, tacy prości, tacy przejrzyści i pokorni... w świetle naszej miłości. Miłość nasza — to sfinks — każdy czuje się upoważniony do spojrzenia mu w oczy, boć każdy jest człowiekiem a miłość każdego może być szczęściem.

Miłość nasza jest jak sfinks, bo choć w ziemię wryta — wkopana—jednak wyniesiona spojrzeniem i zadumą czoła po-



nad ziemię... choć milcząca jak On, jednakże tajemnicą swoją  
biegnąca szybciej od gwiazd kołowrotu... wybiegająca nad gwia-  
zdy, księżycy...

Miłość nasza jest jak sfinks, bo choć jest dziełem czło-  
wieka, to przecież Bóg to dzieło podziwia, uświęca je, wplata  
w pierś wszechwórczą. A miłość tę naszą, jeżeli kiedyś stawia  
przed trybunałem sądu świata jak kiedyś Chrystusa... wtedy,  
zaprawdę spadnie na nią wyrok ponad wszelkie wyroki...  
spadnie słowo Pilata jedno, ale pełne trwogi, zapytania, słowo  
wielkie jak sama tajemnica „Oto człowiek“!...

Widzę Twe oczy wpatrzone w moje promienie... słyszę  
serce Twe bijące na widok twarzy mej jako słońce i szat  
moich białych jako śnieg... Chrystusowa to chwila mej  
duszy... Pragnę — pragnę katuszy, biczowań, policzkowań  
i oplwań — pragnę, bom poznał Ciebie, bom upadł przed  
Tobą i oddał pokłon duchowi!

Bożenno, wiedz co mnie tak poniosło, co mnie znakiem  
bożym naznaczyło... Oto, kiedy dusza moja stargała ostatecz-  
nie swe więzy, kiedy już stanęła u progu wielkich wieszczeń  
i ślubów, kiedy stanęłam oko w oko z boskością naszych prze-  
znaczeń—wtedy stała się rzecz niesłychana a jednak konieczna...  
Stałam się kuszon od czarta. Pokusa była tak wielka, falą  
zalewająca mózg krwią wrzącą, że jedynie Bóg, wcieliwszy  
się na chwilę w naszą miłość, mógł ją odepchnąć, zatrzeć,  
upokorzyć.

A czy Chrystus nie był kuszon.

Ale nie jest ostatecznym zwycięstwem odrzucić pokusę,  
bo przecież może powrócić, wrócić silniejsza, bo żywo dotknięta  
odszczepieństwem, więc jeszcze podstępniejsza, jeszcze niebez-  
pieczniejsza.

Mojem zwycięstwem było to, żem pokusę zaklął w cud,  
żem ją wcielił przez Twoje spojrzenie jedno, — w świat ducha  
naszego, żem ją uczynił drabiną Jakóbową, po której wstąpi-  
łam jeszcze wyżej...

I dlatego—rozumiesz teraz—Miłość nasza stała się sfink-  
sem, którego nie oszczędziły ani wiatry, ani deszcze, ani pie-  
kący piasek pustyni. Wszystko sprzęgło się, sprzysięgło i ude-  
rzyło całą siłą. On oparł się wszystkiemu, bo był tajemnicą,

ą przez zwycięstwo jeszcze bardziej tajemniczą twarz wzniosł w górę!

Napoleon — nie pamiętam w jakich warunkach, spytany, co sądzi o Chrystusie, odpowiedział: „Znam ja się na ludziach... On więcej niż człowiek!... I ja Ci to powiem... Żyłem na świecie, miałem otwarte oczy — widziałem... I dlatego powiadam Ci. Znam się na miłości... to więcej niż miłość!...

Upracowałem się, pragnę odpoczynku... Wiesz, gdzie go znaleźć? W rozpamiętywaniu świętego poranka naszego. Chcę przytulić rozdrganą srebrzystość promieni księżycowych... chcę się otulić, jak w opiekę bożą, w rozpyloną miesięczną zadumę, chcę ciągle słyszeć cichy, jasny szept promienia... chcę śnić... zbawienia chcę... dłoni Twojej — łaski bożej...



a jedno Twoje spojrzenie, za jedno dotknięcie dłoni, za jeden szept — życie bym oddał... Bożenno — co się ze mną dzieje?

Chodzę, obłąkany miłością, obłąkany szczęściem, obłąkany wizją z zaświata.

Wiem, że jestem zgoła niepoczytalny, że nic nie rozumiem, nic nie słyszę — tylko jakiś kwiat utkany ze spojrzeń stęsknionych, osrebrzony rosą rozłkaną, spowitą w złociste westchnienia... kwiecie mój — chciałbym cię nieść w dłoni, blisko oczu wyczekiwaniem omdłałych, blisko warg od nawoływania zwisłych bezwładnie... blisko piersi którą rozsada każda myśl o Tobie! Kwiecie mój. Wiesz — tam — gdzie będziemy razem, dla siebie, tam będziesz mi takim kwiatem, wonią, białością ptaków świętych. Tam osiągniemy szczytu swego lotu. Nie wiem jak to przyjdzie, czy w milczeniu mistycznym, czy w ekstazie objawień, czy w walce świętej o najdosłojniejsze życie duszy... Wszystko jedno...

Bożenno... czarna... promień... bezdeń... światło... ciemność... bezbrzeże... czar... wonność czary ofiarnej — ołtarz cudu iszczącego się wiecznie... moja... moja... Bożenna...

Głowa pęka — zatacza się... samem upojeniem żyję... *Twoją tkliwością, miłością, świętością, której nie dosięgnie nic i nic nie dotknie...* A oczy te Twoje gdzie wtedy patrzyły, gdzie biegły, w jakim ogniu ofiarnym płonęły, jaką zadumą mgielną się przysłaniały? Gdzieście były oczy moje... spojrzenia najdroższe? Możeście się rozbiegły jak promienie po wszechświecie, wzięły w siebie życie i zaroily świat jaki tysiącem du-



chów tęskniących? Czym nie jest wcieleniem takiego spojrzenia, blaskiem, miłością, zadumą?

Wczoraj posłałem stróża na pocztę. Dostałem febry z wyczekiwania, nie wiedziałem za co się wziąć, jak zabić ten czas, jak dotrzeć do tej chwili, w której usłyszę Twoje słowo. Byłem bez sił, im dłużej czekałem, tym bardziej czułem, że chyba nie dotrwam. Od czasu, jak Cię pożegnałem, nie miałem ani słowa wiadomości. Byłem pewny aż nadto pewny, że wskrzesisz jawą we mnie, po objęciu wzrokiem choćby jednego słowa... Twego słowa. Wyczerpany, położyłem się, wtuliłem głowę w poduszki. Boże — zasnąć — zasnąć... Wtem obudzą i powiedzą: list... Myśli jakiś taniec piekielny zawiadły w głowie. To nie myśli, to wszystkie światy zawirowały w przedsądnem rozkiełzaniu. Drzwi skrzypnęły. Czułem, że rozpękała się podemną ziemia, tysiące piorunów ją rozdarło. Nie miałem siły zapytać się. Służąca odeszła. A więc nie — Boże. Znow czekam. Byłem jak skazaniec, który już na szubienicy, po dwakroć sznur oberwał... więc go prowadzą po raz trzeci. Gdyby już nareszcie nie było nic... Co ja bym zrobił? Czy mógłbym wstać, chodzić... nie tarzałbym się, nie wyl?... Zapadałem się w przepaść głębiej i głębiej... Zaszczekał pies — a mnie się zdawało, że wycie jakiegoś natury całej coś okropnego zwiastuje. Wchodzi Władzio: „Wujku, gazety“... „Nic więcej?“ „Nic“—i odchodzi. — Zrozumiałem, co to znaczy „nic“... Boże! jak ja przeżyłem to wszystko! Dziś sam pojedę na pocztę.

Gdybym nie zastał listu zatelegrafuję. Już piąty list posyłam, a od Ciebie nie mam ani słowa. Przyjmij to wszystko z radością, ze szczęściem. Niech ci to wszystko powie, jak bardzo Twój z tamtąd powróciłem, jak bardzo nieodłączną stałaś się od każdego mego kroku. Jasność wielka niby tęczą łączą nasze samotnie, a po niej boska Izys wieczny bieg swój znaczy.

Skapałem się w letejskiem Twem spojrzeniu, zapomniałem człowieka—biegę w boskość przeznaczeń. O, koło wiecznie nieustające! Wpleciony w twój krąg szczęśliwości—wypełnionym pragnieniem Twojem, tęsknotą i promieniem boskich wyroków. Czytam Nitschego. Kiedyś musimy go razem przeniknąć... Wielki lot, orle mknienie w głąb nieprzeniknio-



na. On to powiada, że tylko w pustelni jeden razy jeden uczynić może dwa t. j. „ja” i „mnie”. Dla przyjaciela twego nie możesz nigdy godnie się przyodziewać: gdyż winienesz mu być strzałą i tęsknotą ku nadczłowiekowi. Czy tak nie jest z nami. Czy nasze pięcie się ku szczytom piękna nie jest jedynie środkiem ku wywołaniu w naszym ukochaniu najgłębszego jego tonu: tonu nadczłowieka.“ Czy jedno drugie nie prze całą swą mocą na wyżyny? Czy miłość nasza nie stała się „strzałą i tęsknotą” ku najwyższemu naszemu bytowi? Jakież to szczęście znaleźć w ukochanem to, o czym obłądnie marzył ten utopista! A dalej mówi: gdybyście bogami byli, wówczasby wolno wam było wstydzić się szat swoich...

My, Bożenno, kochamy życie, odkąd zrozumieliśmy, iż je kochać trzeba, bo ono ma ziścić najwyższe nasze nadzieje. Ach cóż jest oną nadzieją jeżeli nie osiągnięcie, objęcie i wcielenie w siebie tajemnicy człowieka? A o człowieku Nitsche mówi: człowiek jest czemś, co pokonanem być musi (ja tu dodam) aby się stał pomostem ku nadczłowiekowi. Musi przestać być człowiek aby mógł stać się nadczłowiek. A więc potrzeba nam posiąść tajemnicę pokonania w sobie człowieka. Zanadto stanęliśmy wysoko od pierwszego wspólnego wejrzenia w siebie, abyśmy mogli cokolwiek innego wysnuć nad oną pracą w objawionej prawdzie, nad coraz pilniejsze przestrzeganie swych praw, nad ubóstwienie życia, w którym nam Boga dano oglądać.

Coraz czystsze serce stwarzajmy w sobie, nasze zniście na ziemię niech będzie tylko dla zaczerpnięcia powietrza, dla radosnej świadomości, że wielkość, która się przez nas objawia, jest dziełem naszym, jest treścią naszych wspólnych tęsknot, jest najwyższym celem duszy.

Od pierwszego wejrzenia staliśmy się dla siebie ukochanymi wrogami, którzy, ze wspólnego uderzenia o miedziane swe tarcze, chcą wskrzeszać nie mdłe iskry, ale pioruny męstwa. Bądźmy dla siebie takimi tarczami.



o za dzień nadzwyczajny. Dopiero co wsta-  
łem. Słońce i ciepło — ciepło. Jesteś już  
po śniadaniu, może na przechadzce upa-  
jasz się wiosną, słońcem, ciepłem. Boże,  
jak dziwnie działa na mnie budzące się  
życie. W powietrzu zgiełk śpiewu ptactwa  
Ostatki śnieżnych tchnień rozwiewają się na zawsze... Już nie  
wrócą, bo nazbyt przemożnie i zwycięsko idzie wiosna. W sło-  
necznem osrebrzysku wszystko się pławi... tonie... rozplywa.  
Ty tam może podałaś swą twarz na ciepłe promienie, rozchy-  
liłaś usta i wszystko oddałaś się na ofiarę rozfalowanej wioś-  
nie. A może do stóp Chrystusa zawędrowałaś, może cieniem  
swym wiążesz świerkowe aleje — może myślisz o mnie?

Bożenno moja, istna filharmonia rozśpiewała się w lesie  
szczygły, skowronki, zięby. A ciepło takie życiodajne, błogo-  
sławione, szczodre i aż złote... takie ożywcze.

Sam teraz chodzę na pocztę po list. Dziwią się temu,  
a ja odpowiadam, że to list przychodzący z krainy, gdzie pię-  
kno ma swoją najwspanialszą świątynię. Z Iskrą biegniemy,  
przeskakujemy rowy, brniemy po piasku, a prędzej, prędzej—  
bo już pociąg nadchodzi. A później uciekam co prędzej do  
domu, chcę jeno przed zupełnym zachodem powrócić — chcę  
być w słońcu, gdy niosę skarb najdroższy. Spokój taki dzi-  
wny wtedy panuje, ludzie idą jak widma senne w oddali, dłu-  
gie cienie ciągną się u nóg—cały świat dokoła jest jak najuro-  
czystsze milczenie szczęścia. Wyjdź kiedy o zachodzie; około

6-ej — najpiękniej. Idę na modlitwę za nas i za wszystkich... Jeszcze „Gorzkie żale” a potem kij do ręki, Iskrę przywołam i pójdziemy radośni, milczący wiośniani... po Twoje słowa pójdę, ciesząc się jak dziecko, jak promień jaśnieję na myśl, że mowę Twą usłyszę. Pisałaś, że Paraklet zrobił wrażenie. To i tak zawiele, bo przecież raz przeczytany, i przytem przez G. tylko przeczytany dobrze — nie mógł sprawić wrażenia głębokiego, bo niepodobna, aby był objęty. Najdowodniej świadczy, że musiałaś tłumaczyć. Rzecz przemyślana, tłumacza nie potrzebuje. G. dobrze określił swoje wrażenie, bo tylko wrażenie wyniósł, ale nie mógł zdobyć prawdy, która dopiero, po głębszym procesie myślenia — przyjdzie może. Niemniej dziękuję Bogu, że Ci dał i takich słuchaczy. Więc byłaś naprawdę szczęśliwa, widząc ich wzruszenie i wrażenie? To mnie coraz więcej upewnia, że Paraklet może sobie zdobyć większe koło dusz, aniżeli przypuszczałem. Czy wasze posiedzenie tego nie dowodzi? Ja z nikim jeszcze nie dzieliłem swego szczęścia. Czekam na Ciebie, Ty jedna tylko dasz mi go w sposób godny i należy. Z Twoich oczu czytam modlitwę moją wieczorną...

---





oże! kiedy patrzę na ludzi, kiedy się stykam z nimi, mam wrażenie, że głową biję o ścianę więzienia, ranię się. Może to i bardzo wykwintne ściany, ale ściany. Głowa moja uderza w nie i odskakuje z bólem. Jedna natura wciąga mnie całkowicie w siebie.

O jak ona koi, jak leczy. Zdaje mi się wtedy, że z Tobą rozmawiam, że bądź co bądź z Tobą tak kiedyś rozmawiać będę. Stosunek naszych dusz względem siebie inaczej się chyba nie ułoży: jedno dla drugiego stanie się jasnością, wonią, kwiatem, obłokiem, wodą, szumem, piorunem, ziemią, niebem!

Nic więcej nad to, co się już we mnie dokonało stać się nie może! Gdybyś miała możność wnijscia do głębi mej duszy — to zrozumiałabyś wtedy, co to jest wniebowzięcie. Chodzę tak bardzo uświęcony, wyzwolony, Twój... Zdaje mi się, że śmierć już nic nad to ze mną nie zrobi. Chodzę w takim jasnem upojeniu, jak gdybyś Ty to stała się wszechświatem. który mnie zewsząd ogarnia, w którym moja dusza pławi się jak w słońcu, z którym czuję najtajemniejsze pokrewieństwo, odpływ odwieczny i dopływ na bezgraniczność. Przestałaś być kształtem dla oka, aby się stać czemś najistotniejszym dla duszy, przez niewyczuwalność przenikania mię całego. Przez Ciebie dopiero tak bardzo kocham Boga! On to jest, co właśnie jak to i Tobie powiedziałem wypełnia wszelkie życie. O jakże Twój kształt jako taki równolegle idzie z ową wszechbytnością i wszechwielebnością Bożą. A może Ty już być przestałaś, może już Twoja dusza całkowicie w bóstwie się rozplynęła, bez zatruty samej siebie. Jeżeli Cię tak kocham... czuję, żyję...



Trudno mi zapanować nad myślą, gdy mi się przemknie w mózgu wyjazd nasz wspólny. Chciałbym, żeby to było jutro, dziś...

Nie mówi przezemnie gorączka ziszczenia najgorętszego mego pragnienia i Twego, ale ta pewność, że jestem gotów już na przyjęcie tej chwili, jak na zwiastowanie Archanioła. Nic nie ma we mnie walki, odbiegły niepokoje rozwiązały się zagadki, rozwiały się mroki, co zawsze wykwitały na końcu mego spojżenia. Jestem jak toń niebna spokojna, wyłocona, przegładająca po przez pajęczą sieć brzoź bezlistnych i wierzbiny. Cudnie się rozsnuwają na pomarańczowym tle nieba, subtelne desenie koronki wierzbowej i brzożowej. Jedno mnie tylko smuci—Twoje mdłe ciało — i koło tego skupiła się cała moja troska, wszystko, co mi zostało dla Ciebie z tego świata... Czy słuchasz skowronków? Boże! już rozszrebrzone słońcem powietrze drga życiem, pragnieniem i pieśnią. Zrozumiałem siebie w tej oto chwili. Jestem jak to niebo spokojnym, rozłożonym, bezbrzeżnym, milczącym jak głąb, a tymczasem ileż we mnie fal niepochwytnych dla oka, ile rozelnień migotliwych i przygaśnień pod powieką zadumy o Tobie, ile drzeń pieśni, ile rozprężeń i nawoływań — pójdziem już pójdziem, niech się stanie to, co nas już dławii, co jest Bożym znakiem: człowiek... wieczność... Przedewszystkiem, skorom tylko dostał pierwszy egzemplarz Parakleta, usiadłem i napisałem: „a gdy wyrośniesz dziecino droga, gdy dusza Twa otworzy się ku przyjęciu świętej Tajemnicy — wspomnij na tego, który Cię bardzo kocha z tą wielką nadzieją, że będziesz Piękna, że staniesz się żywym odbiciem Bożenny”. Kiedy Nusia na moje oznajmienie, że dziś jej nie przyniosłem *kiatków* ale książkę—skwapliwie wyciągnęła rączyny po Parakleta i powiedziała „Nusia woli książeczkę niż *kiatki* — uściskałem — napatrzyłem się na Nią i uciekłem...

Co ten Marzec wyprawia! zapomniał chyba, że to zawczasie jeszcze na niespodzianki, że jeszcze nie Prima-Aprilis.

Jestem uszczęśliwiony, że przynajmniej masz słońce i jeszcze tak grzejące jak w Maju. Ale to jedyna moja pociecha.

Tak mi było potrzeba Twego spojrzenia, choćby poprzez jedno słowo listu. Tak byłem znękany, przybity i fizycznie niemal przywalony, że z pewnością, jedno Twoje słowo by mnie podniosło, wzmocniło, choćby nie miało nic wspólnego z tem co się przewaliło lawiną przezemnie. Czekałem jak zbawienia, jak gołębia z różdżką oliwną, Twojej pociechy. Myślałem, że się list opóźnił, przyjdzie nazajutrz — i nazajutrz nie przyszedł. A więc się nie opóźnił. Nie pośpieszył do mnie wcale. Jeżeli jutro listu nie otrzymam, telegrafuję. Kiedy ten list odbierzesz, może już mi będzie jaśniej — o, z pewnością... Czemu my się targamy takimi nic nieznaczącymi rzeczami. Przecież to wszystko mgła ranna, która się rozwieje wobec słońca, a my ją bierzemy jako coś, co jest górą niebotyczną, zamyka nam spojrzenie, więzi całe pragnienie lotu— Bożenno! Myśmy przecież dostąpili takiego bezmiarów łask i błogosławieństwa, że każdej sekundy winniśmy jawić sobie przed oczy nasze szczęście, i patrząc w nie, korzyć się przed odwieczną potęgą i miłością, żyć ciągle Miłością — jakbyśmy to nie my — ale Miłość żyła!... Jeżeli kiedy, to teraz, wobec światła co się w nas zapaliło jako treść naszych istot, jako najwyższe ich przeznaczenie, — wobec tego powinniśmy już nie znać tego wszystkiego, co boli jak chwila — miejsce — lub granica...



zy wiecznie już zostanie ze mną to spojrzenie ciche i słoneczne boskiego spokoju i ukojenia? Czy na zawsze trwać będzie w mej duszy niebiańskie rozwarście ramion? Boski przybytek, rozjaśniony zadumą promienną wszechmiłości — oto serce moje!

Bezbrzeżny ocean wszechświatowej ciszy, w której się rozmo-dliły dwa złote, wschodzące promienie—oto dusza moja. Wróciłem z lasu... Na łonie godowem ziemi kryształą się, mdlejącą, rozwiewają śnieżne, czyste, pożegnalne pocałunki zimy... Odchodzi bez smutku, bez łez, bez rozlewu użalnego... Odchodzi w radosnem roziskrzeniu, w nadziejnym cherubinowym uśmiechu, bo wie, że się dokonało jej przeznaczenie, że odejść musi, aby się stało coś więcej... aby się narodził inny świat—szczodry, plonny, rozkrzewny... O, widziałem ten nasz ostatni pocałunek na progu wieczności, u stóp niebosiężnej tęsknoty i upragnień... Widziałem go, że był cichy, słoneczny, odchodzący. ...O pocałunku nasz ostatni! Przyjdiesz w porę, przyjdiesz jak ślubny pierścień, by się potoczyć na wieki, przyjdiesz jak pierwsze miłosne wejrzenie słońca na szarą, stęsknioną ziemię... przyjdiesz jak przyszło pierwsze spotkanie naszych dusz w milczącym bezofiarnem połączeniu dłoni, — przyjdiesz jak pierwsze słowo nasze z najtajniejszej głębi, aby się stało ciałem naszej świętej miłości. Wiem, Bożenno, żeś spragniona tej chwili, jakim ja jej spragniony... wiem, że nasz pocałunek ostatni żyje — gdzieś na końcu naszej drogi... może ślubne szaty sobie gotuje, pieśń nuci i skrzydła śnieży tęsknotą. — Pocałunku nasz ostatni — pierścieniu godowy na wieki!



Lesie mój, do ciebie biegnę jak do źródłanych wód, chro-  
niących w swej toni odbicie przechodzącej mimo duszy mej  
Bożenno!

Do ciebie biegnę tak czysty, jak Jej spojrzenie w rozis-  
krzone gwiazdami niebo... Jak jej myśl matczyzna o małej  
dziecinie... jak rozchylenie Jej ust w modlitwie dziękczynnej...  
Idź, Bożenno do lasu i pomyśl o mnie... Idź — może i ty zo-  
baczysz ostatni pocałunek zimy, może i Ty ujrzysz jak młode  
świerki w łzawej rosie kąpią się od słonecznej poźloty!

Choć słońce rozlewa się nad konarami drzew, niby mi-  
łosne ujęcie pierścienne, to przecież głąb lasu w tajemniczym  
mroku, misteryum pragnienia odprawuje... gdzieniegdzie tylko  
jak srebrzysty wykrzyk strzeli z ziemi ku górze białopienna  
brzoza. Te brzozy to chyba zabłąkane promienie księżyca,  
z owej świętej nocy mojej, kiedy przez Ciebie pokochałem ży-  
cie w objawieniu naszego przeznaczenia... kiedy uwielbiłem dla  
takiego życia — śmierć! Tak, Bożenno, życie przestałem ko-  
chać instynktem zachowawczym bytu, a zacząłem go pragnąć  
jako świętej księgi, z której dusza w podniosłym tonie czyta  
w głos dziewięć Chrystusowych błogosławieństw. — Śmierci!  
ogniem jest życie, w którym trzeba się spalać bezustannie na  
popiół, ażeby coraz to odradzać się ku świętszej wyżynie  
z własnych prochów. Miłość jest twórcza, wiecznie pożerająca  
wczoraj, aby zrodzić dziś, wiecznie głodna coraz to większych  
świętości.

...Taka jest ta Miłość nasza. Ciągłe czuwa, ciągle roz-  
pala coraz to inne ogniska, ażeby je sycić tem, co wczoraj  
jeszcze ogniskiem było... Aż nareszcie buchnie płomień, któ-  
rego już nie trzeba podsycać! Czy nie czujesz, że strzeliło już  
upragnione ognisko? Ja czuję, bom w głębi duszy zasłyszał  
już nie swój głos, ale głos, który jest poza wszelką tęsknotą...  
A Ty? Ty może sama nie wiesz, coś mi powiedziała o so-  
bie, pisząc z lękiem, że niczego nie pragniesz już na świecie,  
że Cię to szczęście trwogą wypełnia... Otóż to, jedyna moja  
to... to... Zdobyć tyle, żeby pragnąć tylko w tem pozo-  
stać — toż to wszystko o czem śnić może tęskniąca dusza.  
Szczęściem Cię wypełnia poczucie najświętszego daru... a lę-  
kiem?...



Lękiem Twym jest jeszcze niedostateczne uświadomienie, że to, coś osiągnęła — jest wszystkim! Tam, gdzie dusza ogarnie cały bezmiar wszelkich możliwości i nareszcie stanie u takiego szczytu, że już niczego nie pożąda — tam jej kres...

Instynkt duszy mówi Ci o szczęściu już ziszczonem, a lęk jest jeszcze słabem, mdlejącem kołysaniem, które powstało po wielkim rozpędzie toczącego się koła, jest konającym echem tego wielkiego lęku, jaki pierś rozsadał, gdyśmy rozpoczęli swój bieg — taki szczytny, niebosiężny i zatrważający pytaniem, zali to możliwe, czy to nie nad siły... czy może się spełnić taki sen o szczęściu! Ten lęk w Tobie odzywa się jak echowe wspomnienie, ale już kona — hen.

Uświadom tylko sobie szczyt, na którym stoimy... rozejrzyj się dokoła, a z pewnością, gdy ujrzysz wokół najwyższe szczyty u stóp Twoich — wtedy ustanie bicie serca, z jakim parłaś ku górze... Wtedy zapomnisz, żeś na takim szczycie, a staniesz się tak spokojną i bezpieczną jak na równinie, jak na kwietnej polanie. I to jest właśnie już ta „przecudna monotonność naszego szczęścia”... to jest już ten przez swe najwyższe napięcie ciągle jednako brzmiący ton... Moja... moja!... Twe własne słowa przypominam: „Ciasno mi i tak rzewnie tęskno!”...

Bożenno, jeżeli tęsknota Twoja jest rzewną — najlepszy to znak, żeś tęsknotę swą osiągnęła! Czy ja mogłem przypuszczać że nawet słowa nasze mogą się tak jednocześnie zbiedz, ażeby stworzyć jedność uczuć! Mowo ukochana, przybiegłaś do mnie, jak ptak zatrzepotałaś skrzydłami, abym otrzymał najwyższe szczęście, przez dosłyszenie jednego uderzenia serca, jednej rzewnej tęsknoty!...

Czuję, że wszystko wiesz, że idziesz ze mną ciągle, że musiałaś mieć taki sam wielki i święty jęk w piersi jak i ja, kiedy Cię zęgnalem... I dlatego nasze dusze musiały tak dziwnie jedną żyć myślą... do jednego dobiedziesz objawienia!...



ięc nie darmo tak mi pilno było! Szedłem sam, jak pielgrzym po łaskę i pocieszenie. I znalazłem. Żywa, z duszą i ciałem wstąpiłaś we mnie... i z tą radością nieziemską, co mię pochyla ku ziemi, a wzrok śle ku Bogu, w podzięcie najwyższej, iż mi pozwoliłaś dać Ci chwilę wniebowzięcia! Zachodziło słońce—rozlewało wokół taką jasność przeczystą jak moja dusza, gdy zasłyszała o Twym szczęściu! Przystanąłem... Zachodziło już słońce, a mnie się zdawało, że to zorze poranne zwiastujące nam życie pełne łaski... błogosławieństwa... Tarcza słoneczna tak była rozłożona, tak roziskrzona, iż straciła zupełnie swój kształt kolisty, a wydawała się niezmiernym bezbrzeżem jasności i światła... To dusza nasza tak promienieje szczęściem wiecznym, że zatracą swój byt, ażeby się rozpląnąć w bezmiarze świętych jaśnień. Twoje łzy szczęścia tylko słyszałem jak płyną, płyną ku mnie w cichym, dziękczynnym szepcie... Widziałem ja te łzy, czyste, święte jak spływają w pierś Bożą, jak je Pan tuli, jak je zachowuje dla siebie, by kiedyś pokazać je w obliczu całego świata! O łzy te moje bądźcie mi najwyższą nagrodą, najświętszym wspomnieniem i nieustającą pamiątką mego krwawego trudu, który podjąłem z nakazu Bożego. Widzisz, Bożenno, jak w porę przyszedł do Ciebie „Paraklet”... jak czekał, aż moja dusza go wyprzedzi i upewni Cię, że łaski nie roztrwonil, że stał się godnym Ciebie! Ty wiesz, Bożenno moja, że dopiero teraz mogę z wiarą zawołać, że Parakletem jest ta Miłość nasza! Czuję to tak, jak

czuję miłość Twą dla mnie, jak czuję moją miłość dla Ciebie. Odtąd to dziecię nasze, poczęte od pierwszego przeniknięcia się dusz naszych, będzie nam żywą pochodnią, słupem ognistym wiodącym ku bożym wybrzeżom...

Na stronicy 96, i 121 — istne kielichy... a na 122, gdzie Bożenna żegna Ziemia aż do „Gdzie Krzyż?”—najuroczyściej kreśli się krzyż trójramienny o szerokiej podstawie... Na 143 str. — kielich gotycki z czemś, jakby z hostyą u góry!

I czy na prawdę ci ludzie choć trochę czują naszą spowiedź? Czy zdołają zbliżyć się choćby dzięki poezji do duszy naszej... Jeżeli tak, to doprawdy poezja jest Beatrycą, co toruje ludziom drogę, poprzez wszelką przeszkodę i niedostępność— aż do Boga! Jeżeli tak, to poezja naprawdę słusznie jest zwaną królową wszystkich sztuk, bo już nie tylko uczucie rozbudza ale i myśl prze dokąd myśl sama nie sięga! Ale cóż, kiedy teraz coraz mi jaśniej staje przed oczami, że pozostaniemy zupełnie, nieodczuci nawet w tem, co daliśmy światu jako kształt bądź co bądź dostępny dla ich wzroku i słuchu... Napisz mi, jeżeliby się kto znalazł taki... Dziś też pobiegnę na pocztę — coraz mi pilniej—od dwóch dni ciepło rozkoszne zaczyna krążyć. Wprost chorobliwie pragnę ciepła i słońca. Jak pięknie jest we Włoszech w maju, w czerwcu! Dlaczego aż do listopada? Wszystko mnie odbiegnie, niech jeno ujrzę Ciebie i zdobędę możność przebywania w pobliżu. Kto na świecie ma prawo do nas? Kto może stanąć na przeszkodzie tam, gdzie my idziemy ku sobie? Zobaczysz, że wszystkie zapory wymiemy, że nic nas nie zdoła ani na chwilę opóźnić. Nasza wspólna wycieczka—to początek i koniec—uwiecznienia naszego życia, na ziemi. Co raz trwoźniej i zboźniej myślę o tem. Jestem nie tylko pewien naszego życia, ale dusza moja domaga się tego jako nieodzownej swej części. *A gdy już zdobędziemy nasze wspólne życie jeszcze na ziemi — odejdę do swych obowiązków ze spokojem, poddaniem się i powagą.* Nic mnie już nie strąci z tych nadziemskich wyniosłości, będę odtąd rozważał wiekuistą prawdę w odgrózeniu od świata, będę się gotował do naszej światłości. Bożenno—niech Cię nic od tego nie odprowadzi, niech nic nie wyda Ci się nazbyt trudnem do przełamania. Teraz powstaje we mnie jakiś huragan pra-



gnień, by stwierdzić, zali to wszystko, co jest we mnie, jest prawdą moją. Stwierdzić chcę — to nie znaczy chcę się przekonać... Chcę stwierdzić największe podniesienie mej duszy, a więc chcę świadomości mej prawdy, świadomości pełnej, wielkiej radosnej. Wstąpić w taką świadomość — to wieczność jeszcze w doczesności, to nieskończoność wśród ograniczoności. I to tak jest nieodzowne, tak konieczne, aby nareszcie we dwoje tylko swą najświętszą tajemnicę wydostać poza całym światem zjawisk — i patrzeć w nią i zamrzeć w tem zapatrzeniu się! Mieć coś swojego, tylko naszego — i pozostać w tym świętym dziedzictwie przez czas dość długi, aby poczuć się zupełnie wolnym, wyzwolonym, i przygotowanym... Nie mogę o tem skończyć myśleć — stała się ta myśl alfą i omegą mojego istnienia. To jedno tylko może rozstrzygnąć o celu naszym i przeznaczeniu „Kto chce cel swój osiągnąć i dziedzictwo zostawić — ten umrze w porę, bo był tęsknotą ku nadczłowiekowi” (Nietzsche). Dziedzictwo zostawimy: Parakleta — dzieci nasze... A cel nasz osiągnąć musimy... i wtedy śmierć już przyjdzie w porę...





łonce, takie gorące, jaśniejące... ciepło... a przy-  
tem taki miąż wyczuwalny powietrza...  
Przestwór skąpany w srebrze słonecznym  
i rozspiewany. Ten śpiew, rozbrzmiewający  
nad moją głową, słyszałem, że się w hołd  
splata nad Tobą... że Cię ogłasza królową  
wiosny. Pewnie każdy dzień coraz silniej wiąże Cię z Twą  
pustelnią, z naturą budzącą się w uśmiechu Miłości. Już ze dwa  
tygodnie takiego nadzwyczajnego słońca... takiej wysnionej  
wczesnej wiosny. Wprawdzie jeszcze jest zimno, choć dziś  
znacznie się ociepliło, jednak — niech przebiegnie tylko jedno,  
drugie ożywcze tchnienie ciepła — wnet wszystko się obudzi...  
Krew obiegać zacznie szybciej wszystko co żyje — i rozpocznie  
się pęd wielki, rozlewny, ślepy a jednak pełen celu i świętych  
przeznaczeń! Gdybyś doczekała chociaż kilku takich dni! Wte-  
dy natura pokazałaby Ci bieg szalony, rozwój dokonywający  
się w oczach; to zatrzymałoby Cię pełną podziwu nad owem  
zjawiskiem, dałoby Ci odczucie w naturze życia a nie wege-  
tacji... Wiem, że choćbym był suchotnikiem, rozwój życia  
w naturze nie smuciłby mnie nigdy — przeciwnie, mówiłby  
mi o życiu, co jest ponad wszystkimi przejawami życia,  
wplatałby mię i chłonał w siebie tak przemożnie i władczo,  
że zapomniałbym o sobie jako o życiu zamierającym, a nato-  
miast dostąpił najwyższego szczęścia zatracenia się we wszech-  
życiu! Gdybym był z Tobą Bożenno, ucichłyby twoje nerwy,  
jednym spojrzeniem i dotknięciem ręki uzdrowiłbym Twoje

ciało... Taki spokój i ponadziemskość czuję w sobie, że mógłbym być cudotwórcą dla Ciebie... Doszedłem do najwyższej samowiedzy swego szczęścia przez Twoją duszę — i odtąd jestem jak stały ład, jak niebo w dzisiejsze południe — nieprzeniknione, choć zda się być przejrzystem od roziskrzonego posrebrza. W moim sadzie rozpoczęła się już praca. Kopią, szczipią drzewka... oczyszczają drzewa stare, obcinają susz drzewny, zgrabiają liście zeschłe, nawożą grządki... A to niebo wczesnej wiosny — jakie ono piękne!... Tu błękit jasny, tu błękit ciemny, a przestrzeń słońcu najbliższa — rozjaśniona, roziskrzona w dyamensy, w płynne srebro... A myśl moja ciągle przy Tobie, usta moje ciągle stopy Twe całują, ramiona wiecznie wychylają się w przestrzeń ku Tobie!... Jak przyjedziesz, zapomnisz o wszystkim, odżyjesz, ból ucichnie, wszystko co Cię nękało, odbiegnie. Zostanie szczęście beztroskie, wielkie, jak ogromy światów nad naszemi głowami. Nic nam nie zamęci naszej rozmowy, naszego spotkania się na podniebnej drodze nikt nie dojrzy, będziemy szli we dwoje po tej ziemi z ogniem skradzionem niebu. Pamiętasz dwa dni w Mąkolicach? przypomnij sobie, że odtąd stanęliśmy wyżej... Dziś, czuję, że ten świat, co się zrodził we mnie i w Tobie, musi się ocknąć sam, wpatrzeć się w siebie, aby zrozumieć, czem jest, którędy ma się potoczyć, w jakie prawa zamknąć?...



iczem Ci nie wypowiem mej duszy, jeno moją Miłością.

Dziś po tylu szamotaniach, staję oczyszczony i wolny przed Tobą. Odtąd znajdziesz mnie takim, o jakim śniła Twa dusza. Jak ogień przeszedł przez moje serce, wzmocniłaś je, wyanieliłaś, uczyniłaś je podobnem Twojemu. I oto mogę powiedzieć, że mój dzień jest Twoim, że Twój, iż stałem się na obraz i podobieństwo Twoje. Pochyl się nademną i łzą gorącą stwierdź wiarę we mnie. A jeżeli bym Ci przyczynił bólu wielkiego i świętego smutku, złóż to wszystko jako okup za moje ostateczne wyzwolenie. „*Chcę poczuć Cię wolnym*” — powiadasz... Otom jest, otom wolny, otom Twój. Czuję taką moc wyzwolenia w sobie, czuję taką prawdę mojej tęsknoty, że już odtąd sprzeniewierzyć mi się jej nie wolno. Wierz mi — byłem zawsze wierny swemu światłu, jakkolwiek mogła się objawić moja tęsknota ku Tobie. Ale teraz dojrzałem całą duszą świat nasz, świat niepodzielnie i bezwzględnie nasz... Gdybyś była w mojej piersi od trzech dni ostatnich — uklęknęłabyś przed sobą i Boga w swej duszy uczciła. Nic już nie zmaci świętej ciszy, jaką tchnęły we mnie wyżyny, które zdobyłem przez Ciebie. Jednym wzlotem znalazłem się tam, gdzie tylko duch panuje, gdzie już niema obaw, wahań, wątpień. Stałem się wszystek wolą, skoro tylko wejrzałem w przeznaczenie nasze, skoro przed moimi oczyma otwarły się podwoje wiodące w najtajniejsze królestwo nasze... Tam byt nasz, tam



życie nasze, tam niema walki, niema wysiłków. „Dojrzałaś bezowocność wysiłków w celu połączenia dwóch zjawisk dla jednego wielkiego Dobra duszy“... I ja to dojrzałem... i ja już nie mam złudzeń, dla tego też droga moja jasna, prosta, samotna i górna. Jedno przed nami życie, jeden cel, więc też i jedna tylko droga... Nie dla nas życie, któreby prędzej czy później musiało tracić swe nieśmiertelne tchnienie, swoją mowę boską, swój ruch w nieskończoność. Wielką, niezmierną siłę ducha roztoczyć Ci trzeba było, ażeby nizinę otoczyć świętym blaskiem i nie dać mi w niej pozostać. Zstąpiłaś na nią wraz ze mną, nie opuściłaś mnie, pokazałaś mi, czem jest to wszystko, nawet gdy Twoje dłonie i ramiona mnie strzegą. Dojrzałem wszystko, ogarnąłem jednym spojrzeniem coraz większą niemoc ducha tam, gdzie panuje materja, i dla tego szczęściem omdleвам, w szczęściu się zatracam, widząc, czem się stałaś dla mnie. Bądźże teraz spokojna o mnie, najświętsza opiekunko moja, bądź szczęśliwa, żem przez Ciebie się ocknął, zadrżał, i bez łamania się, bez ofiary, bez cienia smutku stanął przed boskością, która nas woła ku sobie. Idę za głosem jakimś wielkim, przenikającym mnie całego... idę z rozkoszą, jakiej nie doznałem nigdy dotąd... Teraz bowiem dopiero czuję, że już nic mię z mej drogi nie sprowadzi, że będę podążał wraz z Tobą w milczeniu słonecznego południa, w podziwieniu, w rozłkaniu... Bożenno moja, jak bardzo potrzebną była jednak ta chwila, jak nieodwołalnie konieczną, aby ustało zmaganie się światła i ciemności, ażeby nie było rozpołowienia życia, ale życie jedno wielkie — dostojne, boże... Już nie będę potrzebował nic ukrywać przed Tobą, by Cię nie zasmucać, a Ty, nie będziesz już cierpieła przecuciem moich szamotań i wysiłków.

Teraz spełni się Twoje posłannictwo nademną, teraz będziesz mnie już widziała zawsze jasnym, niezmaconym, biorącym wszystek blask i promienność z Ciebie. Przysięgam Ci na miłość naszą, że się dopełniła nad nami godzina odkupienia! Jakże Ci dziękować, jak czcić, jak rozpamiętywać za to, żeś ciągle jak niebo nademną czuwała, żeś mnie nie opuszczała ani na chwilę, wchłonięłaś wszystko co mnie więziło, co przywarło do mnie z przyziemia. Teraz możesz dziękczyn-



nie spojrzeć ku górze, w podzięce gorącej złożyć ręce, że Ci dano było dokonać nademną dzieła przeistoczenia! Boże, jaka to była ciężka i mozolna droga... a jak niebezpieczna, jak bardzo zychająca na zatracenie... Nie, nie można łączyć z sobą dwóch takich zjawisk, gdyż inaczej mogłoby dojść do tego, że ta wielkość nasza, mogłaby się stać nierządnicą. Jasność spływa z góry, z ogniska światła — nie może się wydobyć z przepaści ślepej i niemej... Jeżeli nie zgubił światła, to Tyś to sprawiła. Tyś mnie otoczyła niby wałem ochronnym od zguby... Bo czyż nie zgubą byłoby moją, gdybym choć na jedno mgnienie oka ocknął się na nizinie bez poczucia Twojej świętości?! Bożenno — walczyłem dotąd z wyniosłością, ze szlachetną twarzą... Ani cień z tej walki nie padł w ten sposób na Miłość naszą, ażeby ją umniejszyć, a to dla tego, że walka ta moja nie była mi ciężarem mozolnie dźwiganym, ale brzemieniem wprowadzie aż przygniatającem, ale słodkiem — słodkiem jak Miłość sama. Nic nie było w niej z buntu, z rozpacz, z przekleństwa. Była ona mi pobudką zwyciężką, lotem wolnym, znamieniem czystym królewskim. I musiałem to wszystko złożyć w ręce Twoje, musiałem Ci przed oczy postawić tę walkę, abyś choć na chwilę wzięła w niej udział i rozgrzeszyła, pobłogosławiła. Instynktownie biegłem ze swym ciężarem do Ciebie, jak gdybym przeczuwał, że jeśli Ty się go dotkniesz swoją świętą dłonią, jeśli Ty spojrzenie mu pošlesz, odbiegnie mię wszystko, pierzchnie, zczecznie... I tak się stało. To moja najcudowniejsza chwila jaką przeżyłem z Tobą. Przez nią zdobyłem sobie wyzwolenie, dziedzictwo święte, którem już żyć będę z Tobą na wieki. Pomyśl — czem byłaby ta nasza śmierć, gdyby nie ta chwila smutnej mojej spowiedzi, gdyby nie cud rozgrzeszenia, gdyby nie zdobyście sobie jednolitości w najgłębszym pragnieniu. Byłbym szedł koło Ciebie wpatrzony w ostatnią naszą chwilę, byłbym słyszał Twój hymn boski duszy czystej, świętej, wyjętej z pod przekleństwa przez Miłość; a sam wtórowałbym Ci rozdartą pierś, skłucyom głosem, sercem nie wyzwolonem. Może teraz zrozumiesz dlaczego wszystkie listy, jakie Ci przesyłam, wydają mi się jednym uderzeniem serca, jednym upojeniem, jednym wylewem bezbrzeżnych moich dziękczynień. Wiem,

wiem — Bożenno moja, że kiedy to wszystko odczytasz stanie Ci przed oczyma czyn ponad siły wprawdzie, ale czyn, który tylko taka jak Twoja miłość — mogła ponieść godnie i święcie. Dziś poraz pierwszy w życiu czuję się szczęśliwością samą... ani cienia smutku, ani spojrzenia wstecz — jedno pęd ku światłu, co się zlewa na mnie jak wzrok Twój roztopiony w jasność! Teraz nic mnie nie dotknie, nic nie zaboli nie dosięże... Sprawdziłem to już na sobie przed dwoma godzinami, dla tego też u nóg Twych klęczę i spowiadam Ci wszystko — wszystko... Żyj zdrowa, tego tylko pragnę! Musisz być zdrowa, abyś widziała czegoś dokonała we mnie, jaką moc cudu złożył Bóg w Twe ręce... Życ — żyć — podziwiać — błogosławić — wielbić...

---



utro jadę do Warszawy. We Wtorek wracam do domu. Będę miał trochę czasu, pobiegnę przeto tu i owdzie i wręczę całemu areopagowi dzieło nasze. Niech sądzą dla siebie i innych, bo my już sądu nie potrzebujemy. Chciałbym tylko, żeby zrozumieli jedno: że sztuka moja nie jest czemś będącym poza mną, lecz dla całej mej istoty utajonej — formą, co się najistotniej splata z nią w jedną wielką całość. Sztuka musiała się narodzić z naszych świętych zaślubin, jak jasność się rozlewa tam, gdzie się wychyli słońce. Bez Ciebie — jestem nicością... z Tobą — idę w boskość.

Nasz lot wspólny w nieskończoność z konieczności rodzi sztukę jako widomy znak drogi, po której pomknęły dusze nasze. Ślad — to sztuka... *Po niej ludzie trafiają do wielkiego i dostojnego życia, po niej poznają, domyślą się, odgadną całą mękę naszą z obliczem szczęścia, i wszystko nasze szczęście z widowym stygmatem bólu i cierpienia.* Ludzie staną zawsze z podziwem nad tonią w którą zapadła myśl nasza, czucie nasze, pierścień nasz ślubny, — nasza doczesność w szacie poświęceń na wieczność...

Boże... Ty im tłumaczysz. Cóż oni z Twych słów zrozumieją? Opowieść, zewnętrzną stronę słowa, ale nie dojrzą krwi i tej przepaści, w której tonie każdy Twój jęk, każde Twe słowo. Wyobraź sobie człowieka, który stanął oko w oko z najokropniejszym niebezpieczeństwem. Niech Ci to opowie.



Słuchacz może przejąć się grozą pod wpływem lepszego lub gorszego opowiadania, ale czy zdoła pochwycić w głąb swej duszy choć jedną sekundę grozy tej, co idzie dnem duszy, co nią wstrząsa całkowicie, tak, iż wszystko co nie jest grozą śmierci — zanika zupełnie, kiedy ta groza śmierci staje się jedynym, jedynym bytem — jak Bóg sam! Kto stanął Miłości oko w oko jak my? Kto rozumie taką chwilę, kiedy Miłość przestaje być uczuciem, ale staje się wszechbytem, staje się czemś tak wielkim, iż wszystko gaśnie — a jaśnieje tylko ona; kiedy się bóstwem staje i bożem tchnieniem przez to, że nic wokół nie widzi — nawet Boga! Trzeba być bardzo blisko Boga, aby nie odczuwać jego obecności. Trzeba bardzo kochać, żeby już nawet o umiłowanej istocie nie myśleć — tylko w samej miłości zatonać. O Boże! jakie to wielkie... jakie nieskończenie piękne, jak bardzo Twoje. — O Boże!

A Ty chcesz im to wszystko wytłomaczyć?... I im się zdaje, że zrozumią. Tu nic niema do zrozumienia. Tu trzeba się dostać samemu na te szczyty — wtedy będzie wszystko jasne, proste, wyraźne jak Twoje spojrzenie, jak uśmiech Twój. Ludzie chcą tam zrozumieć, gdzie myśl jest zbyt krucha, a przede wszystkim nazbyt nieodpowiednia do ogarnięcia Tajemnicy. Czuciem zdobywa się wyżyny — nie myślą. Myśl dopiero z krainy uczucia wypływa, jak one trzy rzeki w podziemnym państwie cieni. Ale dobrze, że ludzie choć myślą, że chcieliby sięgnąć po skarby serca. Przetop swe objaśnienia na lawę uczucia, wlej ją płynną, gorącą w ich serca — wtedy ogarną wszystko — a może i więcej od nas, bo myśmy już drogę duchom ułatwili. A przecież tego nie uczynisz — bo to jest niepodobieństwem!...

Cóż to za boska chwila, kiedy dusza z całą samowiedzą staje nad własną głębią i aż się przelęka jej nurtów i bezbrzeży. Ogarnia się wtedy nie sobą to niezwykle zjawisko, ale kimś trzecim, poza nami będącym — zupełnie niema się tego wrażenia, że to przecież my jesteśmy, których podziwiamy, i nad którymi stoimy w jakimś uwielbieniu ducha. Nie dziwię się temu co piszesz, że nie możesz sobie czasem wyobrazić, ażebym to ja napisał Parakleta. Widzisz — ukochana moja — dzieło nasze, nasza spuścizna, jest czemś w co długo trzeba się



wpatrywać, co trzeba ważyć w myśli i w sercu bardzo, zanim się właściwych linii dopatrzy. Tak augurowie wpatrywali się w lot ptaków, wsłuchiwali się w szmer liści i wieścili przyszłość. To, cośmy dali przez Parakleta, nie jest czemś ściśle sformułowaniem, czemś odlanem w śpiżu, lub wykutem w marmurze... Są to tylko te drżenia fal dostrzegalne dla oka, ale pod temi drżeniami płynie cała głębia, której się ludzie mogą tylko domyślać i której my sami określić nawet sobie byśmy nie potrafili. To, co jest na dnie—jest tem, co my nazywamy przeznaczeniem naszych dusz, jest nasze przekleństwo świata i błogosławieństwo nieba, jest wszechpochłaniającą *golf-sztrom* uczucia, co wszystko w sobie zanurza, aby później o mile całe—gdzieś... daleko—wyrzucić połamane w drzazgi to, co było kruche, a to co w jego otchłannych skrętach wytrzymało próbę, aby jednemu słońcu pokazać pełne tryumfu i zwycięstwa!...

Alboż my wiemy, co się na nas dopełnia. Razwraz stajemy oniemiały, w dreszcz lęku wklęci przed tem, co się naszym spojrzeniem objawi... Biegniemy ciągle i ciągle, wiecznie nienasytzeni, wiecznie pewni, że jutro jak świt przedrze się w to co było już przejrzystem, i nowe przyniesie blaski. O, nieskończony biegu naszych dusz!... jak spojrzenie Miłości jesteś niestrudzony i jak twórczość nieupracowany... Nic o sobie nie wiemy, lub wszystko wiemy... Nic nie wiemy wtedy, kiedy czujemy, że znów jakaś tajemnica rozjaśnia się przed nami, że jeszcze jedna zasłona rozdiera się przed naszym wzrokiem. I wtedy taki nadmiar szczęścia nas wypełnia, że jakobyśmy już nie wiedzieli co to jest, co począć z tą nieustającą falą zaświata... A wszystko wiemy, kiedy to, co nam zagnała stanęło przed oczami, i co nas aż w bezład pogrążyło — staje się powoli jasnością, w której nam się zdaje, iż trwamy od wieków...

I któżby to wszystko mógł pisać „*dla marnej sławy — a nie dla spowiedzi!*” Prawda — Bożenno. To, co Paraklet sprawuje w sercach ludzkich, cieszy mnie bardzo, bo to się odbywa wobec Ciebie, dla tego też to co mi o tem piszesz, współrozkoszają Twoją mi się udziela. Gdybyś nie Ty, nie byłoby mnie, gdyby nie my oboje — nie byłoby Parakleta...



szyscy zachwyceni wydawnictwem. Książka jest oprawiona w bibułkę przezroczystą — jak mgłą przesłania okładkę i nadaje Parakletowi, jeszcze mistyczniejszy charakter.

Boże! jaki ja szczęśliwy byłem, kiedy pociąg ruszył i kiedy poczułem, że jadę w świat swój... Bożenno — wiesz ty jedyna moja, gdzie jest taki wielki, wyczarowany dwiema czarnymi źrenicami świat... taki żywy—kipiący myślą dwojga, w jedno zestrzelony uczucie?

Wczoraj tak bardzo czułem się wyczerpany i osłabiony, że się zaniepokoiłem, czy nie zanosi się na coś poważniejszego. Pióra utrzymać w ręce nie mogłem. W nocy miałem gorączkę, majaczyły mi się jakieś kochane obrazy, widziałem Ciebie uspakajając mnie, stałaś przy mnie ciągle... Wstałem z ołowianym czepcem na głowie...

Zdaje mi się, że byłem i jest ludzkością całą, przez tysiące lat wyczekującą szczęścia, którego zaznała — a może tylko tak bardzo śniła o niem. I oto teraz jakieś znaki tajemnicze po całej przyrodzie rozrzucone zwiastują tę wielką chwilę, w której się narodzi zbawienie świata... Toż to jest zwykła wiosna, a ja, w oczekiwaniu bez końca tego mojego szczęścia, widzę tę wiosnę jakąś inną, pełną wdychanych kiedyś woni, mowy mojej rodzinnej, szmerów zamkniętych w ukochanych dłoniach... Daj mi, Bożenno zamilknąć, i czekać — czekać... Już nie żyję ja — jedno ty we mnie. Przez Ciebie życie stało mi się jedną bryłą, wielkim szczytem, głębokim westchnie-

niem, świętym okrzykiem. A czasem, jak tego teraz doznałem z nagłą — czasem znika we mnie wszelka ograniczoność, czuję tylko bezkres, bezmiar, wieczność — i pytam się ze zdziwieniem: czemu mi pilno, do czego biegnę, wszak mam wszystko, w każdej chwili jednakowo jesteś moja... nigdy przyjeżdżać ani też odjeżdżać nie możesz, bo to, czem Ty jesteś dla mnie — jest tą moją wiecznością, w której żyję — i bez której nigdy nie mógłbym mieć świadomości swego bytu... A czasem znów wzbiera takie pragnienie ujrzenia choćby na jeden moment, choćby dłoni Twojej... Wtedy mam wrażenie, że z podniebnych wysokości na dół lot mój idzie, a to moje zapadanie się w głąb, jest czemś tak niepojętem przez to, że trwa... iż zdaje się, że dotknięcie nogami czegośkolwiek, dałoby zupełną świadomość szczęścia, jakim jest bieg sam w sobie... — bieg — wieczność. Kiedy sobie uprzytomnię, kiedy przeniknę o ile to zdołam — szczęście nasze, to często czuję najwyraźniej ten bieg w nieskończoność, ten nowy wymiar, nową sferę naszego bytu... a kiedy wejdem wśród ludzi, wtedy jestem jak piłka, która dla tego odbija się o jedną ścianę, aby tem pewniej odbić się i o drugą — i tak bez końca... I co wtedy się dzieje — tam, — w głębi?... Wołanie takie wielkie i nieustanne wołanie; Bożenno, Bożenno! Bądź zawsze przy mnie, nieodstępuj mnie, bom Twój a Ty moja jesteś. Około zachodu stań na równinie w słońcu, bokiem do niego, zobaczysz, jak długi czarny cień od stóp Twych wyrośnie. To ja, Bożenno, o zachodzie wydłużam w nieskończoność moje ramiona i wraz z promieniami słońca wślizguję się w Twoje włosy i tam zastygam w szepcie zmierzchu wiosennego. Wtul się w swoje włosy, i usłyszysz: Bożenno, Bożenno. Codziennie mam listy od Ciebie, są mi one jak zwiastunne promienie, które mi zwiastują, że słońce moje zniża się ku mnie coraz bardziej i bardziej. O kiedyż wreszcie się zniży, i stanie się płomiennym wiatrykiem, pochylającym się z boską miłością, nad stygnącą zamierającą ziemią? Czuję w głowie szum Sztaubachu lub Niagary. Jedno tylko serce jak przez sen niezbudzony coraz to uderzy silniej do Bożenno swojej... Bóg łaskaw był na Ciebie, bo Ci zesłał pogodę w takim czasie, kiedy zwykle deszcze padają, ponuro jest i wilgotnie. Wiosna, nim się całkiem obwieści—



jak kameleon, nie da dokładnie wejrzeć w siebie... W barwie, w ruchu, w linii — tysiączne przekształty przechodzi. A ponad tem wszystkim — Miłość. I dla tego tylko wszystkiemu przyznaję prawo do istnienia i rozwoju, że mię wypełnia jak chwycenie gwałtowne za gardło — Miłość! Ta nasza, co jak rosa zstąpiła na ziemię, ażeby o wschodzie zagrać w słońcu dyamentowem skrzeniem i w postaci mgły wznieść się ku górze, aby na słońcu w omdleniu zawisnąć... Bożenno! — spójrz w moją stronę i dojrzyj mnie. Czekam na Ciebie jak ta pieczara — z otchłanią tęsknoty... z mrokiem wyczekiwania, z tchnieniem zaświata... Czekam na Ciebie jak ta grota milcząca i uznojeniem zroszona... Przyjdź...





pragniony jestem Twojej obecności, milczenia Twego, i tego bicia serca, kiedy już nic duszy nie potrzeba, kiedy jest tak dobrze, tak nieskończenie dobrze. I nie wiem, czy cię spojrzeniem otoczę i zamrę w zmruczeniu powiek, czy... gdy Cię ujrzę moją od wieków, moją na wieki, przeznaczenie moje, życia mojego treść królewską, — strzelę ku niebu jak igła minaretu i hejnał rzucę dokoła — hejnał nowego odczucia nowego życia i nowych przestrzeni... Staniesz się moją białą jasnością i dotąd na piersi mej blaski srebrzyste szeptać będziesz, aż poczuję Cię i przycgarzę jako mrok wieczorny, milczący, wonny i tak otulający wszystko, jak przedzą nocnych motań!...

Jeżeli Bóg dał mi w Tobie tyle, iż wszystko, co nie jest Tobą, jak rosa po korze brzozonej się stacza i odbiega odemnie... Jeżeli Ty możesz zamknąć w sobie tyle, że reszta wydaje mi się czemś, aż nadto zbytecznym ażeby istnieć potrzebowało... jeżeli w poczuciu Twojej miłości dla mnie, chciałbym się gdzieś ukryć ze szczęściem, z darem, o jakim nie myślałem, że istnieć może nawet... Jeżeli Ty staniesz przedemną, i poczuję, że to nie obłąd mej duszy, nie okropny tylko miraż szczęścia, ale Prawda, wielka święta prawda, co się dokonała przez nas oboje — o wtedy — Bożenno — całe nasze szczęście będzie się streszczało w jednym słowie, w milczeniu, w zapatrzeniu się w czar natury... Bożenno — niewolno nam być dłużej bez siebie, niż tego konieczność wymaga, a niech

nie będzie nad nami innej konieczności prócz tej, co jest ślepą, kamienną... A prócz tego, znajmy konieczność naszych dusz, wewnętrznych prawd naszych, konieczność wznoszenia ołtarzy naszym objawieniom. Wiesz moja, przez kilka dni ostatnich, — doznałem takich wzruszeń, i takiej śmiertelnej martwoty — jak nigdy... Ta martwota — była zupełna niepamięć i niemożność, upamiętnienia sobie Ciebie jako tej, co dała mi życie, co mnie prowadziła, dłoń na głowie kładła, i ból mój brała na siebie. Nie mogłem Cię przywołać takiej, jaką wprost z rąk Boga otrzymałem! Stałem w odczuciu Ciebie zupełnie tak, jak buddysta wobec nirwany... Nicość mnie wchłonęła w siebie (ale nicość mnie nie wypełniła!) — ale nicość-byt, nicość istniejąca jako coś, co z siebie wyłącza wszelki byt możliwy, a sama, wyzbywszy się wszystkiego, co mąciło jej przejrzystość bytu, staje w stosunku do mojego czucia w tem większej bezpośredniości i tem silniej zapładnia się biciem mojego serca, tęsknotą duszy, łopotem tęsknoty... I wtedy to następuje idealne zlanie się z boską harmonją zewnętrznego świata z wewnętrznym, coraz widoczniej w zewnętrznym świecie zarysowuje się najmniej dostrzegalne i wyczuwalne drżenie duszy... I już nadchodzi najuroczystsze ukoronowanie życia, co żyje wspomnieniem o chwili objawień, lub żyje pragnieniem wielkiego zaświatowego jutra. Nasze uczucia bądź co bądź silniej występują pod ciśnieniem innych uczuć. A mnie tak zawiodły wszystkie inne uczucia w ostatnich dniach, żem zupełnie stracił świadomość tego, co mię otacza, i co mię wypełni. Było mi dobrze, nieskończenie dobrze. Tak się zasypia na ukochanem ramieniu bez świadomości tego... Jakież to nieskończone szczęście... Czyś widziała, bo tylko wzrokiem objąć to można całkowicie, czyś widziała zupełną ciszę? Słuch staje się podrzędnym narzędziem w objęciu ciszy — wzrok ostatecznie goni za tem, co już niepochwytne dla ucha... Zastyga wszystko, nieruchomieje — ale nie martwieje, zataiło oddech — ale żyje... Tak mi było przez te kilka dni. Coś się zataiło we mnie, dokoła mnie, a jednak żyło, żyło. I oto naraz cokolwiekbądź dobiegnie mnie z tego świata, wszystko zgrzytnie w duszy, szarpnie mię, brutalnie zbudzi.

Wiesz, nawet to, co byłoby kiedyindziej ucieszyło mnie jako dowód rzetelnej pamięci o mnie i życzliwości — dziś mnie dziwnie jakoś dotyka — i pytam siebie: czego wy chcecie? — ależ wy mnie nie znacie — to pomyłka — nie znam was — ja, co was dawniej znałem...

Co za nadzwyczajne karawany obłoków, płyną po błękitnej przezroczy. Wszystko tam znajdziesz, cała przeszłość, teraźniejszość i przyszłość srebrzy się w tych srebrnych obłokach... Bożenna gdy spojrzy we mnie, rozraduje się w Bogu i Panu naszym, bo się utwierdzi i upewni, żem Jej na wieki. Jak sen dotykam Twych powiek, i kołyszę Cię oddechem tęsknoty...







róciłem z Warszawy. W Tłuszczu spotkałem A... Wziął mię za rękę — mówił, że się zna na hieromancji: — „Sam tragizm, sam wzlot, wola ponad wszystkim—i ból do grobu, a ponad wszystkim coś, co wszystko przesłania — To — Ty!“

Czy moja ręka nie jest streszczeniem Twojej duszy? Poprzez linje mej ręki Tyś przezierała. Im więcej nas losy rozdzielać będą, tem większy nasz tryumf... Ale pamiętaj i o tem, żeś wątła roślina, że Ci potrzeba tego, czego domaga się dusza. Bożenno — Bożenno — jest mi dziwnie rzewnie, tak niesłychanie rzewnie, kiedy czuję, że mówię do Ciebie. Boże, daj mi do niej mówić ciągle, bo to jest moja modlitwa do Ciebie. Było Ci źle. — Czemu? Ja mam wolę... Bożenno — ja mam wolę jakiej chyba nikt nigdy nie miał. Gdyby ktoś w setnej części poznał, jak się we mnie załamuje życie, gdyby mógł kto moje życie wysłuchać takim, jakie ono było — nie doczekałby końca. A ja wszystko pomieściłem w sobie, toczyłem się jak ognisty kometa, a kto spojrział na mnie (nie we mnie) temu i to wystarczyło aby mnie nazwać złowróbnym znakiem. Chybaś Ty mi równoznaczna w przeznaczeniu swoim, jeśli idziesz tą samą co i ja drogą. Miłość nie może takich praw nałożyć duszy, miłość nie zdoła nigdy sprawić aby dusza — stała się dla siebie przekleństwem naznaczona. Miłość nie odrzuca z takim lekceważeniem szczęścia ziemskiego, nie znajdzie nigdy przecież rozkoszy najwyższej



w zabiciu w sobie tego, co jest jej płomieniem, pożądaniem i najgłębszym pędem. To może tylko jakaś tajemnica wielka dusz wiązać w ten sposób dwie istoty, ażeby przez nich narodziła się rozkosz inna, nowa, nieprzeżywana przez nikogo, rozkosz samotników, z których nowe światy powstają—i wraz z nimi gasną. Te światła nie udzielają się nikomu, tych drzeń nie zazna nikt, nikomu rzewność nie zagwoździ gardła, nie rozpruje piersi, nie rozwali głowy, jak z nami to się staje. Bożenno, czasem tak mi się dziwnie dzieje—i to wtedy, kiedy czuję najwyraźniej, że mówię tysiącem języków, że ten mój język rodzinny, to taka jakaś przypadkowość, ale to przecież nie to. Tym językiem nie potrafię określić nic, co mi płynie z duszy, zaledwie tylko użytecznym mi się staje. I zdaje mi się, że przecież ja znam mowę, przyniesioną z mojej świętej odwiecznej ojczyzny, mowę, której tu nikt nie rozumie, a którą, gdybym przemówił — wsłuchałyby się we mnie gaje, zwierzęta — jak w gędźbę Orfeusza. Jest jedna tylko dusza, którą zrodziła ta sama ziemia i która tą samą mową z sobą gada. O, jakżem szczęśliwy, jak w szczęściu nieukojony, jak ciągle tuliłbym się w rzewliwości do świętych progów, do marmurów, drzew, kamieni...

A szczęście staje się coraz wyraźniej zadumą, ciszą, odwiecznym borem o zmiernych stygnącym, tonią zmartwiałą, myślą ociekającą krwią a w marmur wcieloną. Zrozumiałem, że szczęście nasze jest tak czemś dziwnem jak dziwną byłaby mowa dwóch kształtów — marmurów, dwóch krwawych mórz, dwóch błyskawic, dwóch piorunowych chmur. Starożytność stworzyła Prometeusza... A ja bym teraz stworzył dwie dusze wielkie jak oceany przelewające w sobie pierścienne fale tragizmu, postawiłbym te dwie dusze na wysokości ponad ziemią... Kazałbym im zapomnieć wszelkiej mowy rodzinnej... te dwie dusze spojrzwałyby w siebie, przeniknęły nawzajem — i zrodziłyby się wtedy mowa — mowa prawdziwa, poczęta w objawieniu, w boskiej wizji, mowa—tworzenie! I pokazałbym, że dwa tragizmy, dwa wielkie przekleństwa rodzą szczęście, o jakim nie śniła ziemia ani niebo... To nasze szczęście! Odnaleźć się, tragizm swój podnieść i podnieść jak krwawą chmurę, spot-

kać się tam wysoko ponad ziemią i wystrzelić mową—piorunem, któryby odjął na wieki mowę wszelkiemu stworzeniu! *To nasze szczęście, bo spotkaliśmy się w tragizmie najwyższym, czujemy się bólem i tą beznadzieją „ziemską” wyniesieni ponad wszelkie niedole, a w niedoli tak wielcy, że aż szczęśliwi. Dlatego to nasze szczęście takie smutne, takie rzewne i tak mężnie łzawe. Zachowaj to w sercu i przypomnij to, gdy się spotkamy. Tu się nasz świat narodzi...*



Wiosna spowinęła się i biegnie, biegnie, aby naraz stanąć i rozpiąć szaty... i całą piękność swą objawić... Za tydzień może będzie znacznie cieplej, może już krzewy rozchyłą pąki, strzeli tu i tam zieleń młoda, nadziejna, obiecana...

Kocham wiosnę, pomimo że wszystko, co młode, pełne życia i rwące się do życia — nie porywa mię i nie rodzi we mnie najistotniejszych poruszeń... Kocham wiosnę tylko dlatego, że dojrzałość mojego szczęścia daje jakieś zaranne, wczesne promienie, które mają coś z nieskończoności przez to, że jako wschodzące dopiero nie dopuszczają myśli o zachodzie... I wszelkie poczynające się życie ma dla mnie teraz jakiś dziwny urok przez to, że niesie w sobie możliwość osiągnięcia cudu, a przynajmniej przychodzi z prawem do ziszczania cudu... Dawniej wiosna miała dla mnie czar estetyczny jak w następstwie jesień, ale teraz jest coś po nad rozkosz zmysłów... jest coś, co rozkoszą ducha wypełnia...

A ja sam nigdybym nie wrócił do młodości, nic nie poprawiłbym w swem życiu, bo jeśli w następstwie swoim dało mi to, co posiadam i czem jestem — musiało iść bardzo opatrnościowo i nie zboczyć z drogi swych przeznaczeń ani na chwilę... I do jakiego momentu przeszłości wracać?... Nawet w terażniejszości nie chciałbym, aby stanęło to święte moje koło. Niech się toczy niech biegnie, niech mię niesie ku tej upragnionej chwili, w której mógłbym powiedzieć: doko-

nała się... Z jakąż to pieśnią nad pieśniami odejdzie duch,  
jeśli przed śmiercią będziemy mogli sobie powiedzieć: wszystko  
nam dałeś, co dać mogłeś, Panie... Boże, mnie się zdaje że cała  
uroczystość naszych tęsknot i upragnień, w chwili gdy się  
spotkamy zatai się na dnie duszy, zapłoni się, dziewiczością  
się przysłoni... I będziemy jak dwie lilie na jednym rabacie,  
jak dwa brzegi świętego strumienia, jak dwoje ramion omdla-  
łych w upojnym bezładzie... Czekam Ciebie z wschodzącem  
słońcem w piersi... Skończyłem swą pracę—idę w swój świat,  
gdzie Twoja myśl, gdzie Twoje spojrzenie i wieczyste gody  
nasze... Boże — jakie to moje życie piękne... jak nic mię nie  
zdoła zmarszczyć, nic zasępić, nic przygnębić... Nigdy nie my-  
ślałem, że mógłbym teraz pracować jak obecnie pracuję...  
Dawniej niecierpliwilem się, denerwowałem, spalałem... Teraz —  
ciągnę pług całym wysiłkiem ramion, a oczy mam utkwione  
w gwiazdę moją zaranną, w jej lśnieniu darzące... W sobo-  
tę — „świata całego mi zamało na Twoje przyjęcie”... Moje  
serce Ci oddam...





eraz dopiero czuję, że kochać Cię muszę...  
Wszystko, co nie jest Tobą, staje mi się  
męką i dławiącym cierpieniem... Z Ciebie  
wypromienia mi się świat, który od wieków  
z mgławicy idąc w mgławicę, jak gwia-  
zda różycza rozpiął się w nieuchwytnych

tęsknotach mej duszy... Stałaś mi się szczęściem, co płynie  
mi po stężalej rozkoszą piersi jak wzrok mój po Twojej boskiej  
twarzy... Nie wiem, czy żyjesz tu na ziemi, zjawo moja... nie  
wiem czy kiedykolwiek spojrzę w oczy szczęściu, które kiedyś,  
gdzieś wyśniłem... nie wiem, gdzie Cię spotkałem i czy wogóle  
prawdą jest, że Cię spotkałem... Ciągłe mi się zdaje, że się  
ocknął, jako rozbitek na nieznanym lądzie i napróżno dokoła  
się rozglądam i zapytuję nieba i ziemi, gdzie sen mój?... Czy  
może podczas omdlenia tonącemu śpiewało tak morze, lub  
fale go tak kołysały, albo wichry w wiszącej chmurze upojenia  
tak grały... Życie wydaje mi się ciężką i męczarną godziną  
samotnego konania na przebudzenie bez jutra... Ty jedna,  
Ty jedna tylko dajesz mi światła słoneczne, z Ciebie tylko  
idzie na mnie wiew życia, z Twych ust tylko pochyła się  
ku mnie mowa tak zrozumiała jak uścisk matczyny... I Ty  
naprawdę jesteś, żyjesz... Dałaś mi życie — zabierz życie, bom  
Ci Twój...

Ciągle zmieniam mieszkanie... dziwią się... a ja  
szukam, gdzie mógłbym objąć Cię myślą, wczuć się choć-  
by w jedno drzenie Twych powiek. A widzę Cię ciągle

inną, a wiecznie jednaką. Promieniem jesteś, a więc kwiaty Ci tylko pieścić i tulić, wświecać się szczęściem i jasnością w gasnące źrenice, łać się strugą promienną i świetlistą na szarą i brudną ziemię... Widziałem Cię we śnie — Ty byłaś, nikt inny... A może Bóg, gdy spałaś, wziął w swe oczy jasność Twych źrenic i spojrzał na mnie... Widzę jakieś dwa słońca, co straciły bezpowrotnie źródło światła i płomiennie ognisko, bo stały się nieustającą złocistą mgłą... Czy Twoje oczy tak gonią moją duszę, czy to Ty tak biegniesz ze mną ciągle, aż dopiero we śnie dosięgasz mojego wezgłowia?... Opasz mię promienistą tęczą myśli, nie daj mi wybiegać poza siebie, poza cud nieziemskich zaślubin. Przykuj mię do szczęścia, jak wspólnem marzeniem o Chrystusowej pielgrzymce przykułaś mię do ziemi...

Mieszkam w willi „Zaciszę“. Codziennie będę zęgnął zachodzące słońce i myślał o Tobie, że się wtapiasz wszystka w rozpył słoneczny i stamtąd patrzysz na mnie rozemgloną tęsknotą ukochanych oczu... O, jakżeś piękna w chust czerwieni, w szmaragdzie łąk, w koralach leśnych gwiazdzic, w złocie i w żarnym oplocie rozkochanego słońca... O, jakżeś cicha, gdy tuląc się do ziemi spowiadasz najskrytsze swe tęsknoty i sny ziszczone... O, jakżeś niezemska, kiedy jak cień wstępujesz na prom przewoźny, ażeby zanieść i na drugą stronę błogosławieństwo rozmodłonej duszy...

W Twojej duszy tonę ócz tęsknicą,  
A w pierś przelęklą wgniatam krzyż...  
Ma pierś spowita błyskawicą  
Twych łnień — rozzwania się we śpiż...  
Widzę skroś mgły mych snów Twe dłonie,  
Jak upragnione trwoźnych ros —  
Płyną w słonecznym nieb robronie  
Wsluchane w swych utęsknicń głos...  
Niebo nad tobą pierś swą chyli...  
Pierś kwietną, śnioźną jak Twa skroń...  
Twych dum królewskich lot motyli  
Wzłaca się... wpieszca w modłą toń...

Nasze życie popłynie niepochwytnym dla ludzkich oczu podniebnym strumieniem, rozśpiewa się we wszystkie barwy

nieba i ziemi, każdą chwilę w wieczność zakłnie i poprowadzi nas niby cień niewidomego szczęścia poprzez szarą, mętną otchłań ku naszemu królestwu...

Tam zamilknę zupełnie, aby się stać tem, co najgoręcej ukochasz swoją anielską duszą... A może Ci się stanę bezkresem mrocznym i słoneczną roztoczą, by Cię mieć na wieki w sobie, dla siebie...







akżeż mi śpieszno z powrotem... A kiedy nastąpi ta chwila, zerwę się z Twojem Imieniem w duszy i polecę... A Ty wyjdiesz na moje spotkanie — prawda. Pod tę topolę, pod którą pierwszy raz mię spotkałaś, cię czarno-złoty w purpurowej chuście na głowie... Gdybym mógł być Twojem szczęściem, gdybym mógł stać się wcieleniem Twych marzeń dziewiczych, Twych rojeń wiosnianych i tych smutków, które Ci przedła nieśmiertelność niby dostojną szatę na gody weselne na ziemi!... Często całą Twą przeszłość odtwarzam sobie w duszy od poczęcia aż do chwili poznania...

Jeśli prawdą jest, że jesteś szczęśliwa, jeśli naprawdę zdobyłaś ściganą marę — to dozwól mi już żyć Twojem szczęściem i wołać, że dobry jest Pan... Wracaj zawsze do tych mistycznych chwil naszych, kiedy wykradliśmy wszechświatu wszystek czar, wszystko piękno... kiedy zcicha, bez oddechu już niemal stawaliśmy na progu zaświatów... Do tych źródeł Cię wołam, gołębico czarna...

Poznałem tu jedną panią — siwa staruszka, pełna życia w oczach głębokich... Wiesz Bożenno moja, że kiedy Cię osrebrzą lata, będziesz tak cudna jak szczyty skalne w śnieżnym dyademie... Orłem mi wtedy być... szumieć jak burza nad białością Twoją... poprzez skrzydła przepuszczać złote promienie słońca na głowę uwieńczoną białością lilji... Kocham to misterjum duszy Twojej, w której rodzą się boskie drżenia



i otchłanne omdlenia, gdy duch mój zrywa się ku Tobie w odwiecznym locie... Masz włosy wonniejsze od zapachu czarnej róży... ciągną ku sobie jak zaślepiłe otchłanie... a takie niecą błaski jak bazaltowe, nocne niebo, gdy się roziskrzy srebrną kurzawą gwiazd...

Siedziałem pod dzikiem winogronem... Zapatrzyłem się... Stałem na Twoim progu... zataiłem oddech... wtuliłem głowę w gęstą, bujną zieleń... Okwiat winogradowy niby zadumne wspomnienie począł się sypać na moje włosy, na czoło, na powieki... Podniosłem twarz ku górze.. wiatr zakolebał winogradem... w mgnieniu oka twarz moja zatoneła pod zwiędłym kwieciem... A w winogradzie jakąś srebrną kaskadą zabrzczały pszczoły... Wiesz co, Bożenno?... Musisz doznać kiedy tej rozkoszy... Wtulisz w dzikie wino włosy swoje... Zawonieją, zapachną... Czoło Twoje, jak jaśminowa okiść zabieli się, zaśnieży... Zwabisz swojemi włosami, czołem i brwiami spragnione upojnych woni—pszczoły... Zbieżą się... rozbrzeczczą się jak srebrne struny... okolą Twą głowę i tak trwać będą rozkoszą rozśpiewane jak pszczelny dyadem! Ktoby Cię tak stroił, gdyby nie Miłość moja?... Ktoby te dary przyjąć umiał, gdyby nie Miłość Twoja? Żyj, cudzie, jaśniej... prowadź mię, a ja przymrużę oczy i zasłuchany w tajemnicze szepty Twych powiek — pójdę, dokąd Ty pójdziesz... Wczoraj doświadczyłem, czem byłoby życie moje bez Ciebie... Czasem, gdy nas noc otoczy, gdy świat upragniony z siłą żywiołu na nas napłylnie — czujemy, że za życia dusza odbiega ciało. Otóż coś podobnego stało się ze mną w stosunku do Ciebie... Była chwila, kiedy na jeden moment zniżyłem lot i poczułem natychmiast, że Cię niema w duszy, że się odwróciłaś... Błyskawicą oplotłem Twe nogi i ległem jak cisza u nóg Twoich... Wiem, że mi trzeba żyć na ziemi przez miesiąc, ażeby wdrzeć się w moje władztwo... Kocham to moje oddalenie od Ciebie, bo wtedy dopiero widzę wyraźnie, czem się stałaś dla mnie przez miłość swą świętą... Czczę Cię, uwielbiam, czysty płomieniu, płomienna czystości, ukołysanie burzy, rozwichrzenie ciszy — wszystko moje! Mam nadzieję, że wrócę zdrów, a wtedy wszystkie Twoje szepty — wchłonę uchem, którem już tak dawno mowy Twej nie słyszałem...



Jeżeli jesteś duchem, to mi się ukazał... jeżeli-  
li — żyjącą istotą, to nie daj mi tak długo  
tęsknić do Ciebie... Nie ukrywaj swoich  
lic promiennych w cieniu gwiazd i w pyłe  
srebrnym księżycu, wypłyn na roztocze  
wód, szumiących pieśń Miłości i tam się

ukazał wszystka piękna... czysta... Kocham Cię nie za Twą  
piękność, lecz za ogrom szczęścia, co spływa na mnie z Twojej  
piękności... Czarna lilio moja... Zwolna rzeczywistość Two-  
jego istnienia zapada się, rozwiewa, zanika... Pozostaje mi w du-  
szy jakieś widziadło, jakiś miraż uludny... Widziałem go wśród  
powodzi kwiatów polnych, wśród opływających mię fal słonecz-  
nych — widziałem tęsknotę mej duszy obleczoną w kształt  
niewieści... Odtąd już sam nie jestem... odtąd żyć pragnę,  
by się cud powtórzył... O, gdyby w takiej chwili odejść z tego  
świata jak cień, jak pieśń natchnienia, jak woń więdnących  
kwiatów, gdybyż to gdyby!... Jak opary ziemskie — idą  
te nasze błogosławione chwile — ku górze, w wysokość... Tam  
się spotkają ze słońcem... ozłoci je ta Miłość, wisząca w pod-  
niebnej przestrzeni... rozsypie po nich wszystką obfitość barw  
świetnych... i zagra pieśń tęczową... Twe ręce wyciągają się  
ku mnie z taką siostrzaną tkliwością, w takiej anielskiej czy-  
stości, że padam przed Tobą na kolana i błagam, abyś nie  
była tak piękna i święta, bo męczarnią staje mi się ta rozkosz  
Twojej dziewiczej Miłości.

Ty jedna wiesz, jak konam, patrząc w Twoje oczy... Ty jedna w tem spojrzeniu znalazłaś najgodniejszy hymn dla siebie... Bożenno... ja oszaleję chyba, gdy już w powrotną puszcę się drogę... Ty wiesz, Ty znasz tęsknicę...

Moja królewna rozkochana w ciszy...  
Zawisała tęczą swych ramion, w przestworzu...  
Jej dusza, jak promienie, roztopia się w morzu...  
A ciało jej — prześwieca poprzez habit mniszy...  
Girlandą myśli tęsknych barwi chmury zwiewne...  
Jasnością boskiej piersi gasi jasność słońca...  
Aż chmury kwiatem śnieżnym spadły na królewnę...  
A słońce pierś zalało jak fala mdlejąca...  
Królewna marzy tron swój i swoją koronę...  
Marzy łożę z traw polnych i kwiatów usłane  
Śni wonną i słoneczną Miłości polanę...  
I ciało swe dziewicze świętością omlone...  
Cicho... cicho, Królewno..! widzisz idę k'Tobie  
Idę z wieczną tęsknotą mojej smutnej duszy  
Cicho... cicho, Królewno... daj mi dłoń obie...  
Słońce zgasło na piersi... mój kwiat skroń  
Twą prószył...

Wyczekuję Twej mowy, Bożenno moja. Wiedz, że kiedy odbiorę spisana mowę Twej duszy — nie będę się czuł samotny i opuszczony. Dotąd mam wrażenie, że jestem gdzieś, kędy nie dobiega słowo Twoje... I dlatego dziwnie mi tu smutno... Przedrzej się do mnie choćby szepetem tylko...





Przyjdiesz w upalny skwarny dzień —  
pod złoty, żytny bróg...  
I legniesz jak liljowy cień  
u moich nóg...

W stęsknioną pierś — tchniesz wonny dech,  
na skroń spaloną złożysz dłoń...  
Mym ustom podasz leśny mech...  
rozzłócisz wzrokiem mroczną toń...

Twój głos by srebrny sierp zadzwoni,  
gdy o dojrzały bije łan...

Pochylisz ku mnie miodny dzban...  
pić będę z Twoich dłoni...

Przyjdiesz w upalny skwarny dzień —  
w dolinę kwiatów, traw i słońca...  
Tam czekać będę z pieniem pień...  
tam staniesz wszystka piękna, drżąca...

Dam Ci z przewonnych kwiatów łożo  
Miłością — lica twe ocienię  
Każę, a słońce w żar rozgorze...  
i w złote wkuje Cię pierścienie...

Na całym świecie tylko — Ty!  
Nad Tobą — niebo, szata Twa...  
rozpięta jak błękitne mgły...  
Jak pieśń, co Bogu wiecznie trwa...

Na całym świecie tylko — ja!  
wpatrzony w jakiś dziwny kwiat:  
w pieszczocie słońca zcicha łka...  
I śle spojrzenie w pozaświat...



Wiesz Bożenno, czasem mi się zdaje, że Cię tak posiadałem niepodzielnie, całkowicie, iż Ty jako byt duchowy przestałaś istnieć, że stałem się już — Tobą!...

A jednak są chwile, kiedy czuję Twoją odrębność, Twą duszę wypromieniającą ze swego własnego ogniska jakiejś czary, co stały się żywiołem moim, bez którego nawet pomyśleć o życiu nie mogę...

Czasem myśl moja wplączę w błyskawicę,  
By oczom Twoim jaśniała — płomienna...  
Czasem się zagnęła w białą brzozę wówiecę,  
By ci płakała o mnie — smukłopienna...  
A czasem w szczawiów weklnę się rdzawicę,  
Aby Ci do stóp składać pol mych lenna...  
Czasem się w ciszę wieczorną rozkleczę,  
Byś ją w swych ramion wcałowała tęczę...

Ciągle jestem z Tobą — jak cień włóczę się we wspomnieniach to tu, to tam... Powrócę zdrow, pełen wiary jeszcze głębszej w nasze szczęście... Cała przyszłość moja staje przedemną żywa, piękna — jak Ty... Zobacysz, że poniesie nas fala ukojna i błogosławiona. W duszy rozśpiewają nam się cudne sny, a my chodzić będziemy po tej ziemi jak dwa cienie po elizejskich polach... Stęskniony, pragnąłbym wiedzieć o najdrobniejszym szczególe z Twego życia... Nie skąp mi tego, bo to życie Twoje codzienne w moją duszę zapada jak najcudniejsza poezja... pod tą szarą powłoką sam doszukam się najtajniejszych Twych drzeń, najwznioślejszych wzruszeń... Pisz wszystko, bo już teraz ztraciłem granicę między życiem a snem o życiu. Zresztą — w najmniejszym szczególe życia bierze udział Twa dusza... Codziennie biegnę do chłopca, który pocztę przynosi, serdecznością go darzę i przyjacielem nazywam... Kiedy nareszcie wyciągnę rękę po Twoje słowo. Tylko nie smuć się, nie troskaj, do naszej boskiej przeszłości myślą się cofnij. Każdy krok nasz wydaje mi się czemś niepodobnym, czemś, co w gorączce wyobraźni mogło powstać tylko... A jednak — to nasze życie!!... A teraz nic już nie zniszczy tego posągu, co stanął niebosiężny, urągający nizinom — na świątyni Miłości...



złóż mię, złóż na sennym łąnie —  
Na łąnie sennym...  
Niech ukołyszę serca łkanie —  
W dźdżu promiennym...  
Zwiśnij nademną mroczną chmurą —  
Chmurą mroczną...  
Duszę swą rozpleć białością  
W dumę roztoczną...

Pochyl się ku mnie z świętą krużą —  
Z krużą świętą...

Niech mi jej czary Wieczność wróżą  
Wniebowziętą.

Otocz mię tęsknią swoich pieśni —  
Pieśni tęsknicą...

Niech się ma dusza w cud roześni  
W cud spłynie — gołębicą...

Wieści od Ciebie pragnę jak zdrowia... Śniłaś mi się noc po nocy... Ilekroć zdala patrzę na Cię, jawisz mi się blada smutna, wędnąca... Kocham Cię, gdy wędnie Twoje ciało, bo wtedy cienie zaświatowe stają się dla mnie Twojem odbiciem, a przez to samo czemś dziwnie czarującym i obiecane. I patrzyłbym z zachwytem, gdybyś tak wędła powoli, powoli... Schodziłbym wraz z Tobą niepostrzeżenie, zcicha w krainę snów na tej ziemi poczętych... Ale gdy sobie pomyślę, że to, co stanowi dla mnie niepochwytną Twoją piękność, co jest brzaskiem różannym słonecznego dnia Miłości — łączy się u Ciebie z cierpieniem a może i bólem, wtedy doznaję wrażenia jakbym się pastwił nad Tobą, jakbym w Twoim jęku

dosłuchiwał się dźwięków najśłodszych... Wzdrygam się wtedy i cierpię...

Byłem w Wiślicy... Boże, gdybyśmy to razem stanęli pod Kazimierzowymi murami!...

Ciosana z kamienia świątynia, jak Miłość nasza w majestacie i powadze wiekowej, wsparła się na ziemi milcząca i wsłuchana w swoją przeszłość... Deszcze i wichry zsiekły i zbrzdziły płyty kamienne... Każdy uścisk wichury, każda łza upojenia rozdreszczonej chmury—pisały tu księgę tajemniczą... Przywrzeć do tych murów, wtopić się w świat legend, stać się samemu legendą!... Boże, jak żywy jest i pulsujący każdy wiek, ale niech jedno dokona się jego bieg, zstępuje w głąb, przesłania się kirem, a w miarę jak się zasuwa w przeszłość, rozkłada się jego organizm, a ponad nim już się ukazują fosforyczne blaski... I Miłość nasza z dniem każdym ubiegłym przestaje być żywym, życiowym organizmem... Promieniuje z siebie coś tak lotnego, fascynującego i pozaziemskiego, że się wciela najzupelniej w ducha, ukrytego w głębi bieżącej godziny... Wszystko, cośmy przeżyli, własnością Ducha jest, a Duch — życiem jest wszechświata...





Kocham Tve oczy — jeziora bezdenne,  
Gdy bazaltowe ich głębie rozbłysną...  
Kocham Tve oczy -- błyskawice sienne,  
Gdy w mrocznej chmurze omdleniem  
zawisną...

Kocham Tve oczy — świątynne ołtarze,  
Z których się bóstwo zcicha wypromienia...  
Kocham Tve oczy — czarne wirydaże,  
Gdzie srebrne ptaki tulą lśniące drzenia...

Kocham Tve oczy — leśne uroczyska,  
Gdzie odprawują duchy swe zaklęcia...  
Kocham Tve oczy podziemno ogniśka,  
Co zapalają się w cud — Wniebowzięcia!...

Dusza mi śpiewa... Wstają jakieś mary, ogniste cienie  
wloką za sobą... patrzą na mnie oczyma mych dumań o Tobie,  
o naszym szczęściu:

Zdaje mi się, że wszystko, co mię otacza, że całe światy  
zazdrośnie czają się i czyhają... czyhają... Wtedy wołam Ciebie,  
staję przy Tobie i już się nie lękam niczego i nikogo...

Wraz z Twojem słowem — zstąpił do mej duszy czar...  
myśli mi zmaćił... szarpnął za serce, że aż zabolalo... Biega-  
łem jak szalony, niosłem szczęście w piersi... Jest, jest...  
Jawa to — nie złudzenie... A już, już chyliłem się w dziwny  
stan... Oderwałaś się od mej duszy jak pierścień ognisty  
i zaczęłaś wirować dookoła mnie niby tęsknota moja wyrosła  
w jednej świętej chwili w potworny kształt, a tak ukochany,



że cały się w niej zanurzyłem, ażeby mię zżarła, spopieliała, a szczątki świecące aureolą Miłości aby wichry zniosły do Ciebie i zasypały Cię... i aby powstał kurhan, urągający wszelkiej znikomości na ziemi, do którego pociągną w pielgrzymce pokornej i milczącej całe zastępy duchów nieukojnych... Nagle słowo Twe wskrzesiło we mnie władzę nad Tobą, dało poczucie Miłości istotnej, gorącej, broczącej krwią piekącą, tryskającą w niebo jak nieustające: „hosanna“! Bierz, bierz to moje serce... zamilkło, zobojętniało dla ziemskich spraw... Obce mi wszystko co nie jest nami, co nie jest wielką świętą Miłością... Biegnę oszalały Twojem tchnieniem, tracę drogę, nowe drogi przebiegam, każdym pragnieniem rozpieram się o niebo i ziemię!... Chcę tylko Ciebie, kocham tylko Ciebie, w Tobie tylko odzyskuję wzrok, odczuwam duszę, przeczuwam życie moje pozagrobowe... Wszystkie płomienie duszy rzucam na Ciebie, tulę Cię w nieskończoność, co się ściela przed nami, niby dobrotliwy uśmiech ojca dla dzieci... Nie smuć się, nie lękaj o mnie, wołaj całą głębią swych otchłannych źródeł, leć w wiry obłądne co powstały z dwóch przepotężnych i odwiecznie tęskniących fal dusz naszych. Wszystko, co niedostępne, co jest szaleństwem dla logicznej myśli — stało się nam przecież życiem tak jasnym i rzeczywistym jak jadło i napój dla przyziemnych ciał. Chciałaś Miłości, tęskniłaś do niej od lat tylu... lata... lata... bierz ją, syć się nią... toń... bez woli... bez pamięci... Niech nas niesie... niech huczy, warczy, grzmi — nie uderzy o ląd, bo do lądu nie płynięm—w wir, w wir... W ścisku śmiertelnym, czystym, grzmiącym jak pioruny, rozlewnym jak morze, niepochwytym jak myśl, niedościgłym jak bieg gwiazd — trwajmy!! Życia Twojego chcę, Piękna Twojego chcę, zdrowia chcę, oddałam i tulę, wołam i milczę, lękam i błogosławię... Życie Ty moje — wielkie, porwane niebu w czas snu, gwiazdom i ziemi niepojęte!!



ie wiem, czy drogi, którą Cię prowadzę — nie potępia, nie przeklną... Ja sam nie wiem, jaka ona... To tylko wiem, że jest moją i Twoją prawdą. Może wszystko przegramy, to tylko pewne, że nie przegramy szczęścia, że tryumf szczęścia może się stać przegraną życia... Jedno mię przeraża: to Twoje zdrowie. Mówiłaś, że dla mnie na największe nieprawdopodobieństwo gotowaś się odważyć. Dowiedz prawdy słów swoich — bądź zdrową. Marzę spokojnie, nadziejnie o naszej przyszłości. Wschody i zachody będziemy witali... południe skwarne da nam swoje żary... jesienne poszumy kołysać nas będą w dumy naszej przeszłości... śnieżne zawieje osrebrzą nam twarze... długie zimowe wieczory snuć będą do późna w nocy jednolitą przędę naszych marzeń...

Spokojni, pewni i dostojni idźmy w przyszłość...

Z taką ciszą i z taką powagą przejdziemy przez życie, że kiedy się ockniemy u brzegu, u skraju życia — będziemy jak wtedy nad promem!... Dwa duchy, które prześniły najcudniejszą pieśń marzenia, piersią dotykając ziemi, a duszą pławiąc się w nadświecie! Zdobyły największą prawdę, bo cud marzenia, a teraz idą jakby zasłuchane w echo, co się za nimi rozniosło od drżenia ich dusz — po łąkach... łąkach... roztozczach... Idą zasłuchane w siebie duchy, urzeknięte najszczytniejszem pięknem, święte jakąś czarodziejską zadumą na czole... Czas przejść na drugą stronę... Kto pierwszy zawoła...

i to jest obojętne... Jeszcze patrzę w łzawą, zasłuchaną melancholię... w szarą, matową, brudno-błękitną przezroc, w którą się wtulają szeleszczące rosą drzewa — wielkie, wyolbrzymiałe, rozstrzępione... Twoje rzęsy w taki się układają cień u powiek, jak tamte szmery drzew o zalegającym mroku... I siądziemy, jak wtedy, milczący oboje... spleceni myślą... stopieni w jedno uczucie... Prom uderzył o brzeg... Więc to już.. już?... A tam po drugiej stronie — kołata się echo o cudzie marzenia!...

Jak cicho płyną fale...  
    jak dziwnie cicho płyną!...  
Jak trwożnie niosą żale  
    w błękitną dal... w dal siną!...  
Jak fale płyną śpiewnie...  
    o jakże drżą srebrzyście!...  
Jak na nich modlitewnie  
    pożółkłe szemrzą liście!  
Jak fale płyną łzawo...  
    jak szepczą coś w Twą stronę!

\* \* \*

Jak patrzą w nie — złotawą...  
    żenice Twe stęsknionel...

Czy tak było. gdy samotna siedziałas na kamieniu i patrzyłaś na niepochwytne prawie fale?... Byłem tam z Tobą... aż do chwili kiedy zamknęłaś oczy... i — spojrzałaś na mnie!... Czytaj to głośno, a doznasz wrażenia fali. Pokochasz, bo to Twoje — prawda?... Klęczałbym u Twych nóg i mówił:

Jak cicho płyną fale...

A teraz siądź tu przy mnie... dłoń ku mnie wyciągnij i daj mi patrzeć na to czoło, na którym jak na słonecznej roztoczy, zwija dusza rozpięte skrzydła i w hymn wystrzela ku niebu... daj patrzeć na oczy, co mię goręcej w sobie zamykają, niż objęcia ramion świata całego... daj patrzeć na twarz Twoją, w której się odbiło oblicze Psyche wędrującej... Bożeno moja... dusza mi się zrywa do lotu... bieg nasz nieskończony... prędki jak piorun, niedościgły, rwący jak huragan...





odziennie o dziewiątej chodzę do kościoła...  
Chwile najuroczystsze tam przeżywam. Czuję się wtedy najbliżej Boga i Ciebie. A On błogosławi nam obojgu, zlewa tyle ukojenia i tyle wiary do serca, że odchodzę pokrzepiony i podniesiony na cały dzień... Po drodze kupuję kwiaty i zawieszam je nad Tobą. To jedyna rozkosz moja. Więdną nad Twojem czołem i tulą się do Twoich oczu... Jak pięknie zamierają kwiaty, jak cicho odchodzą!... Gdybyż się od nich nauczyć przedzgonnej chwili, gdybyż jak one umieć odejść w cichym omdleniu, w uroczystym szepcie i zapatrzeniu się w wiekiustą światłość ducha... Stań nademną z tą głębią ciemną rozkołysanych wód, z tą kamienną twarzą, po której uczucia Twoje tak się rozbiegły, jak kwiaty po wiosnianej łące. Stań nademną i oczy mi nakryj senną swoją dłońią, pieśczołą śnieżnego obłoku dotknij moich oczu...

Nic dać Ci nie mogę, prócz mojej modlitwy, prócz kona-  
jącego wyczekiwaniem serca... Nic dać Ci nie mogę prócz  
cierpienia. co Cię krwawia, prócz sytości w tęsknocie, prócz  
nocy Twych bezsennych... A Ty to wszystko przyjmujesz...  
i do piersi tulisz i błogosławisz jeszcze! Błogosław, bo to nasze  
życie, bo to cel ostateczny naszych dusz, bo to wjazd tryum-  
falny naszego zwycięskiego wozu! Błogosław, bo to drżenie,  
co wstrząsa mojem sercem, duszą moją — wiąże się w ognistą  
kolumnę z Twojem drżeniem i zastyga w wieczność, łącząc  
ziemię z niebem...



Po tej kolumnie, jak po drabinie abrahamowej wstępować i zstępować będą roztęsknione czyste duchy, bo po niej spłynie wiekuista łaska... Patrz wzniosłaś swojemi słabemi dłońmi w mojej duszy świątynię, do której wiedzy zawrotna, nadpowietrzna droga. Ptaki niebieskie ją tylko znają... zwierzę leśny ją węszy w powietrzu... duchy spragnione w gorącce wyczekiwać ją czują...

O, przynajświętszy... kryształny kielichu,  
W świątyni mojej — w tęczę lénień włożony...  
W Tobie myśl boża płynie w cud przepychu...  
A żar Miłości stygnie w cierń skrwawiony...

Wisisz — jak słońce — śród opylów srebrnych...  
Ze stygmatami rozkoszy i bólu...  
Ani Cię lęka jęk dzwonów pogrzebnych...  
Ni szczęście wabi na niebnem okoku...

Spływają na Cię z nieb, drżących zachwytem  
Szumy półsennie duchów urzekniętych...  
Jakieś modlitwy wraz z pokłonnyim świtem  
I pieśni ślubne z za Świętego Świętych!

A Ty — jak słońce — wisisz obojętny  
Na wszystkie czary — wpatrzony w blask wnętrza...  
Skąd wyzwolenia bije głos namiętny...  
Gdzie płynie fala Miłości — najświętszal...

Wiesz, Bożenno moja, — ja nigdy nie byłbym szczęśliwy... Bo to wszystko, co stanowiło najgłębszą treść mojego ducha, zostałyby bez Ciebie ukryte, pogrzebane... Aż oto przez Miłość Twoją zrozumiałem nagle, że się odrodziłem w Tobie, że stałaś się mojem odbiciem, mną całym... Jakież to szczęście, jakie niewymowne szczęście poczuć się w dwoistej jedności! Tylko wtedy można pokochać siebie, kiedy się kocha duszę, co jest moją własną duszą... Teraz rozumiem, że Bóg kocha samego siebie, że musi być jeden we trzech osobach, ażeby osiągnąć całą pełnię szczęścia... I ta Trójca teologiczna jest dla mnie nie niedocieczoną tajemnicą, lecz ostatecznym celem Miłości. Prawda niedostępna dla rozumu, jest jedno-

czeńnie prawdą wyraźną, a nawet konieczną dla uczucia. Czy nie tak, Bożenno? W tym pościgu za własnym szczęściem staliśmy się jako bogowie... A przecież było to kiedyś przekleństwem człowieka! Bo tam był zamach, była pycha — a tu... drogą konieczności ocknęliśmy się w bóstwie...



iem, że Miłość nasza będzie coraz świętsza, coraz uroczystsza, coraz dostojniejsza... I wtedy przestanie być uczuciem dwojga a stanie się symbolem. Wierzę w to tak silnie i gorąco, jak wierzę, że jesteś mojem przeznaczeniem... że jesteśmy dla siebie skrzyżowaniem rąk... zmruczeniem gasnących powiek... rozkołysaniem rozmarzonych piersi. Mam w swej chacie pełno paproci... Rozwiesiłem je po ścianach, by mi leśne czary szeptały... I Ciebie ustroiłem w paproć i różę... Są chwile, kiedy mi tu jest tak dobrze—jak tylko dobrze może być przy Tobie... Ale dość najłżejszego szmeru, ażeby spłoszyć szczęście. Takie chwile są najistotniejszym wcieleniem się w Ciebie i dlatego zapominam, że mię otacza obcość. Każdą chwilę oddalenia chciałbym zabić choćby w najbrutalniejszy sposób, aby prędzej, aby prędzej... W miarę jak zbliża się dzień wyjazdu — czuję się bardziej i bardziej bezwolny, bezwładny... Myśl mi zwisa jak ręce — wszystko zanika, unicestwia się... Cały drzę na myśl, że rozdział nasz się kończy, że oddalenie się zmniejsza... Prędzej, prędzej... Chciałbym zastygnąć, zamrzeć na ten przeciąg czasu, jaki nam jeszcze zostaje, pod jakąkolwiek formą, choćby najbardziej poziomą, czekać godzinę cudu... I gdybym potrafił w najbardziej poziomy sposób przebrnąć czas wyczekiwania —

nie uwłaczyłbym ani Tobie, ani sobie... To święty czas metampsychozy. Wcielać się bez końca w coraz inną formę życia i śpieszyć i śpieszyć na gody! Tylko w ten sposób można zrozumieć nietykalność dostojności duszy przy najbrutalniejszych odruchach materialnych ciała... Z chwilą, gdyby dusza tylko w jednej formie ciała objawioną została światu, wówczas stosunek jej do świata byłby miarą jej wartości... Ale że dusza bieży i bieży bez końca ku źródłu, z którego wypłynęła i zawsze z ową boską tęsknotą szczęścia, przeto formy przejściowe nic nie wpływają na jej godność i czystość... Zrozumiałem to teraz, kiedy tęsknota moja za Tobą do takiego doszła obłąkania, że brnąłbym po błocie, staczał się w najwstrętniejsze spelunki... nurzałbym się w ohydzie — byleby prędzej, byleby prędzej...

Piszesz o L... Porozmawiamy o tem obszernie... Bardzo mię szarpnęła wiadomość o niej... Tyle nieszczęścia w każdej piersi! Czy sądzisz, że jej pomódz zdołasz? Dałby Bóg... Na to trzeba ciągłego obcowania... stopniowego rozbudzania duszy..! Bożenno — czy nieszczęście o nas zapomniało... czy może już dosyć nas ukochało?! Kochana, droga L...

Nie potrafię już pisać... nie mogę Wyciągałbym tylko ręce... wołałbym tylko... Weź mię ztąd... tu tak dziwnie obco... to nie nasz świat... tu tak dziwnie rozmawiają... śmieją się... muzyka gra... Boże! męczy to wszystko, szarpie w strzępy... weź mię Bożenno...

Byłem wczoraj w lesie dębowym. Cudny! parowy gęsto zadrzewione... mchy jak malachity lśnią po zboczach... Paprocie do mchów się tulą i śpiewają mi Ciebie. Bujny porost traw i kwiatów bujnych nęci, wabi, ciągnie... Kładę się... tonę w dziwnie miękkim mchu... Zapach niezwykle bije mi w nozdrza, pieści oddechem znanym... Boże! Wpadłem w jakiś zachłanny wir woni! Dębowe, zeschnięte liście... kwitnący jałowiec... surowizna wilgotnej ziemi... próchniawa leśna... kwiaty niosące zapachy miodne... a nadewszystko mech... mech!... Zwarł się, zczepił, zrósł z ziemią w jakimś świętem przymierzu... Każde tchnienie ziemi bierze w siebie... upojony szczęś-



ciem to rozwiera zielone źrenice... to znów zwierza je w fioletowe cienie... a tam zamarł w jakimś brunatnym zacięciu! Cudna ta mowa mchu w objęciu rozżęsknionej ziemi! Miętę przyniosłem z lasu... Pamiętasz?

Daj dłoń... świątynną pachnie miętą...





duszy coraz większe szczęście... a w sercu  
większa i większa tęsknota. Wciąż czuję  
zapach zwiędłych róż... Wisiały i łkały  
po Twojem odejściu... a zapach błdził  
i szukał Ciebie... Dostałaś te strofy?

Błdzą zapachy zwiędłych róż  
Po ustach mych... po skroni...

Byłem pijany tą dziwną wonią zwiędłych róż...

Błdziły w pościgu za Tobą... wlokły mię ze sobą... bez  
sił sunałem jak cień... bez woli... zapach mię dławiał jak łkanie  
tęsknoty... Powoli sam się przeistoczyłem w zapach zwiędłych  
róż i szukałem Cię... szukałem... biegłem:

Do czarnych szat... gdzie czarny kwiat  
Szkarłatną głąb odsłoni...

Wpleć się w tę woń, co dążyła za Tobą śladem fal  
powietrznych...

W ostatnim liście czułem Twą Miłość niedościgłą, zawrotną,  
słoneczną, płomienną, skrzydlatą... Jak burza przebiegłaś ponad  
moją głową... aż się pochylałem... aż zmrużyłem oczy... Patrzą—  
a burza pędzi i pędzi. Wszystkie blaski nieba i ziemi porwała

na skrzydła... wświeciła we włosy... Wszystką mocą wypełniła  
słoneczne swe piersi... w cały czar snów czarodziejskich wtuliła  
swe czoło niby śnieżne pola — i mknie... mknie...

Coraz bliżej, bliżej... już spojrzę w Ciebie — zwinę się  
w obłokanie szczęścia... i padnę... moja, moja...



jakże mię niepokój trapił, obawa nękała. Uspokoiłś mię. Gdybyś mogła wpaść do M. Tam jedynie możesz czuć się u siebie. Wszędzie idą za nami oczy ludzkie i brudzą, brudzą... Dasz mi wytchnąć, uspokoić się, napawać szczęściem. Dasz, bo Ty wiesz co to znaczy tak długo żyć wśród grobów, żyć na rumowiskach snem o kwiatach...

Prowadź mię, bo już nie widzę nic dokoła.

Antygono moja... gwiazdo zaranna... zorzo moich przebudzeń... Nie mogę pisać, bo już nie wiem, czy to być może prawdą, że Ty istniejesz... że nadzieje moje mają swoje lądy... że ta moja tęsknota do piękna, do cudu, do prawdy — tam w Tobie żyje, że z Ciebie chyli się ku mnie... że mię wyczekuje... Ta wieczność, którą kocham, ta nieśmiertelność, w której żyją nasze dusze — musi być czemś, co ma swój kształt, co ma swój uśmiech, spojrzenie — żyć musi! I nie tylko żyć — musi nas kochać!... Tylko zobopólne promieniowanie dwóch Miłości stwarza taką niewzruszoną pewność istnienia niepochwytanego bóstwa, nieobjętego bezmiaru. Kiedy mię Miłość ku Tobie wlecze — ciągnę jak smutny cień — drzę, konam... Ale kiedy ujrzę tam — zdala wyłaniającą się Miłość Twoją — wówczas zastygam, padam i tarzam się u nóg Twoich... Ileż Piękna, ile czaru skradliśmy niebu... Niebo się mści... Prometeusza przybito do skały za ogień skradziony z wysoka... *I Miłość*



*nasza przejdzie próby straszne, bośmy ją wykradli gdzieś,  
gdyśmy śnili o złotem runie.*

A jeżeliśmy nie wykradli... Jeżeli naszych dusz zasadniczym pierwiastkiem była Miłość, było ono mistyczne unoszenie się Ducha nad nizinnemi wodami... Jeżeli Miłość która nas stopiła — jest naturalnem tylko następstwem, jest emanacją nieodzowną naszych uderzeń serca, naszego krążenia krwi, naszej przemiany materji i szeptów duszy?

Głos Boga łączy nas na wieki owem świętem, nierozzerwalnem: staniecie się jako bogowie!...



ożenno—pilno mi do Ciebie—jak cierpieniu  
pilno do ukojenia, jak snom do rozwiania...  
jak konaniu do śmierci... Cała nasza prze-  
szłość w duszy mi się rozpryskuje na atomy...  
a każdy atom urasta w niebotyczność szczę-  
ścia... jaśniej siewiętością cudu... Twoją mową  
się staje... w Twoje spojrzenie zamienia... I w takiej chwili —  
nie wiem, czy nie lepiej byłoby oddalić się zupełnie od Ciebie,  
stracić wszelką łączność z rzeczywistością, którą jesteś — Ty...  
i w pogoni wiecznej za widziadłem szczęścia — wędnać...  
schnąć... niknąć... Ilekroć to szczęście moje stanie się czemś  
będącym poza Tobą, choć z Ciebie powstałem—jak żar upalny  
z słońca—zawsze doznaję wrażenia, jakgdyby otworzyła mi się  
tajemnica Wszechświata. Naówczas całą duszą wchłaniam  
piękno, które w takiej chwili jak słońce toczy się, przelewa,  
przepływa po mej duszy, wszystek unicestwiam się, zanikam  
we wszechduchu, co się objawia w jakimś drzeniu, w rozbiciu  
myśli, w zaparciu oddechu. I prawdą jest, że nim się ukazesz  
jako kształt mym oczom, pierwszej wysyłasz promienne ku mnie  
gońce, pierwszej szumem anielskim zwisasz nademną, pierwszej  
powalasz mię na ziemię... A gdy już leżę nieświadom siły,  
co zapanowała nademną — przychodzisz i dłonią jak białem  
skrzydłem, kołyszysz moje spojrzenie... kołyszysz... a ja patrzę...  
i staczam się nagle w rozkołysane ramiona — w Miłość Two-  
ją... Kochasz białe, zwiewne, śnieżne, pierzchliwe obłoki  
na błękitnej fali nieba? Zdaje mi się, że jedynie w nich mogły

się począc nasze dusze na życie ziemskie... że od nich nauczyły się mowy, lotu górnego i owej wrażliwości na każde spojrzenie słońca, na najłżejsze tchnienie wiatru... Nie mogę się patrzeć na srebrne obłoki, kiedy na błękicie igrają w dziewiczym płasie... Tuliłbym się do nich... tak gorąco tulił... z krzykiem i z przerażeniem wobec szczęścia!

Bożenno... gdybyż jaknajprędzej jesień — ołowiana, smętna, zapłakana, mętna jesień! Niech znikną widziadła — niech mię wampiry poczną gryźć, ssać... To wszystko dla Ciebie! Największe, najsroższe udręczenia w bezmiar szczęścia mię grążą, jeżeli na ich końcu, choćby najodleglejszym — dojrzę Ciebie!... Stałaś się przyczyną jakiegoś nowego zmysłu duszy... zrodziłaś go i kazałaś mu kochać siebie... Rozumiesz — że to dopiero jest Twój tron!...





paraliżowana... Łagodna, dobra, cicha... Oczy mówią o duszy cierpiącej, czującej... wielkiej... Widywałem ją od czasu do czasu. Witła mię zawsze z blaskiem rozradowania w oczach, czule podawała konwulsyjnie powyłamywane ręce. Wiedziałem, że pragnie mojej rozmowy, że jej jest dobrze ze mną... Umysł głęboki, obejmujący, lotny, rewolucyjny... Kilka rozmów zbliżyły nas do siebie. Mówią jej dawni znajomi, że była niezwykle piękna. Dumna była, wpatrzona w świat swych myśli i pragnień... Dziś — sparaliżowana... Wczoraj zapragnąłem choć jednej duszy kobiecej duszę Twoją i moją pokazać... Dałem jej „Parakleta”... Wracam od niej. Łzy wdzięczności i rozrzewnienia miała w oczach. „Paraklet” ją oczarował. Odnalazła w nim całą siebie. Wszystek ból, wszystką Miłość i wszystek bunt; dałem jej możność postawienia sobie przed oczy jak rzeźbę, jak posąg wykopany z zamarłego miasta. Bożenno, gdybyś ją widziała — odczułabyś siłę jaka płynie na ludzi z naszej Miłości.

Był moment, kiedy się chyliłem, aby jej ucałować biedne, sparaliżowane, blade ręce. Dać takiej duszy taką chwilę podniesienia, wskrziesić z całą siłą głos i wołanie ducha, wlać tyle ukojenia — to takie szczęście!...

Piszę Ci o tem zaraz, bo to wszystko, czego doznaję — Twoją wyłącznie jest zasługą...



*I wierzę, że każdy kto cierpi, kto szuka i trawi się tęsknotą — w naszej pieśni odrodzi się jak u cudownego źródlika.*

To powinno być naszym błogosławieństwem, naszym poczuciem nieśmiertelności... Pójdzie ta nasza pieśń w świat i obudzi umarłe... i porwie wzwyż żyjące... i cichem ukojeniem wsączy się w cierpiące... Bożenno — leżę u stóp Twych i cisnę do piersi swej Twe nogi jak wieczną zapłatę za upał i uznojenie dnia...

Powiedz, jak mam stanąć przed Tobą? Jakiem słowem Cię powitać? Czy będę miał siłę spojrzeć w Twoje oczy? Są wielkie, przepastne oczy za górami... za lasami... Świecą łzawą tęsknotą i patrzą w głąb duszy, co się poza ziemią omotała szczęściem jak słonecznym przedziwem.

Przez Ciebie zdobyłem nie treść życia, lecz jego kaprys, który jak kwiat paproci kwitnie w tajemnicy i tylko w noc świętojańską... Wszystko, co jest szarzyzną, przyziemnością życia—górnice, dumnie i chmurnie zostawiliśmy w dole, a sami szybowaliśmy tam, gdzie pomruk piorunów z szeptem śnieżnych obłoków wiążą się w mistyczną kaskadę...

Czekaj na mnie z pogodą słoneczną i z błękitem zasłuchanego nieba... Czekaj na mnie z powagą i z ciszą — jakbyś już była na drugim brzegu życia... Wyplataj z włosów kwiaty polne — rzucaj je na wodę — i płyn tak cicho ku mnie myślą i czuciem — jak te kwiaty białe, żółte, czerwone... A kiedy stanę przed Tobą — ostatni kwiat mi oddaj... weź mię za rękę i poprowadź tam, gdzie duch Twój się szamotoł, krwawił, kamieniał, zanikał i wskrzeszał... Pokaż mi to miejsce na ścianie, na którym wsparłaś rozpalone czoło... te drogi, które mi posyłałaś tłumione westchnienie... pokaż mi to wszystko, co kochałaś i nienawidziłaś, co Cię wabiło i odpychało, co chłonełaś w siebie i od czego uciekałaś... Pokaż mi to, choćbym to ja sam był!

Kocham w Tobie to coś, co mi się objawiło jako wiekuista droga do przybytków świętych...



rzyjechałem do domu — bez Was. Za nic nie mógłbym się zdecydować, abyście odjechały bez widzenia się ze mną. Na ludzi nie liczyć nie można. Ludzie są obrzydliwi, zapatrzeni w dobre drugie śniadanie.

Żeby raz już zapomnieć imienia, ulicy i faktu nawet samego znajomości z kimkolwiek.

Życ tylko dla siebie, dla piękna, dla boskich głosów w duszy i w każdej cząsteczce naszej jaźni. Przestać nawet mówić, lecz zawsze i ciągle śpiewać. Boże i pomyśleć, że Wy jesteście tak blisko, że zaledwie kilkanaście godzin mnie od Was dzieli, gdy tymczasem, w odczuciu fizycznego niepodobieństwa wyciągnięcia do was ręki — wszystko wali się.

Nie mogę jeszcze się pogodzić z myślą, że to już, że wszystko skończone, że odtąd do mnie należycie jak powietrze, którym oddycham, jak woda mojej studni. A wy się tam kołaczecie, może niejedno was krępuje, niejedno może męczy, nęka... Życie, życie — wolność jak słońce weszło nad Tobą... niebo namioty rozpięło nad naszemi głowami... przyszłość szemrze jak strumień tęskniący do ujścia... Mózg mam jeszcze wyciśnięty, zmięty, ale już go krew falą gorącą zasila, już go budzi do życia, wskrzesza życiodajną siłą. Ty tam z dzieciątkiem siedzisz i czekasz... Gdybyż przy zdrowiu Cię zobaczyć, gdybyż w Twych oczach wyczytać raz jeszcze, jak wtedy na pożegnaniu, świat Twój wysniony, ukochany! Ilekroć widzę Cię taką, czuję, żem Cię nie zawiódł, że daję Ci to, czego Ty

pragniesz. To mój cel najświętszy: być Ci tem, czem pragniesz abym był.

Męka skończyła się, teraz tylko cierpienie przyjść może. Bożenno, pamiętasz, patrzyłaś we mnie długo, długo... Zda- wało mi się, że wieki trwa to Twoje spojrzenie, że nic nie istnieje poza Twoim wzrokiem, że w tem spojrzeniu już zamknęło się moje życie—i wtedy zrozumiałem, że wieczność będzie dla mnie takim wszechogarniającem spojrzeniem!...

Coś się zmieniło między nami, coś zakwitło niewidzial- nie, jakaś woń rozeszła się cicho jak kręgi po wodzie, jakieś słowo przysięgi wszechmocnej wyszeptał nad naszymi głowami sam Bóg: „gdzie Ty, tam on“... Skończyła się poezja słowa, zaczęła się mowa żyjących bogów.

Każdym krokiem budować będziemy nasze święto!

Bożenno... wschód słońca będziemy zawsze witali jako wieczną pamiątkę bytu naszego na ziemi.



ożenno... Nadzieja i pewność słoneczna drogę mi złąca. Boże—czy to może się w jednej piersi ludzkiej pomieścić tyle szczęścia i tyle światów?!

Bożenno—wierzę w Twoją boskość, wierzę w cud żyjący na ziemi i w mej duszy.

Przyjadę... poczekaj... O niczem nie myśl jedno o Bogu i szczęściu naszym, w nic nie patrz, tylko w nasze własne spojrzenie, niczem nie żyj prócz wielkiego cudu, który nam kazało spełnić na ziemi.

Patrzę na fotografię i nie wiem, nie umiem odpowiedzieć sobie, czym godzien patrzeć w Ciebie? To prawda najświętsza, jak Ty sama — prawda.





ójdziemy razem związani miłością na wieki. Ani jednego słowa wydobyć nie mogę z piersi. Wszystko stało się bryłą we mnie. Myślą tylko biegnę za Tobą jak za lotem ptaka, jak za wonią cudownego kwiatu. Nie wiedziałem, że doznam aż takiego bólu po Twojem odjeździe.

Poddałbym się z rozkoszą temu, ażeby mi pękło serce. Boże, jak mi Cię porwano! a po chwili została z Ciebie chmura dymu, — i nic więcej... Boże jak mi śpieszno teraz do Ciebie... Pamiętasz... dzwonek trzeci, pamiętasz to nieśmiertelne zwarcie się naszych rąk, ten uścisk jakby przed śmiercią! Po co o tem pisać, po co dawać jakisłkolwiek dźwięk temu, co powinno pozostać słowem niewcielonym.

Zaraz po Twoim odjeździe — i ja odjechałem.

Szedłem pieszo po Warszawie i myślałem, co też tam robi moje przeznaczenie?

Niech Ci jak jeden dzień przejdzie cały ten czas, niech Ci wszystko moje spojrzenie niesie, moje pocałowanie Twych stóp Ci składa.

Nogi Twoje całuję. Ty wiesz, ile w tem szczęścia, upojenia i dumnego lotu! Nogi Twoje całuję jak wtedy gdyśmy się żegnali. Patrzą Ci w oczy i zamieram. Zabrałem Ci wszystko, co wieki zgromadziły w dziwnym skarbcu Twojej duszy. — Zabrałem—idę z pieśnią, z tryumfem, z mocą władczą! W mej piersi zastęły wszystkie Twoje spojrzenia, jak krew obiegają

mi Twoje ciche szepty, jak w objawienie prorocze, jak w oblicze Niewidzialnego — tak patrzę w Ciebie z onego wieczoru pożegnania... Kwiecie, promieniu, źrenico przezczysta, przenajświętszy oddechu, nieśmiertelna myśli Boga i duszy człowieczej... Skończyła się Twoja niedola, zaczęła się dola, dola wspólna, podzielony dzień odkupienia przyszedł, dzień zmartwychwstania zawitał, dzień ślubu zajaśniał. Bożenno, Bożenno — to tylko w sercu mi się trzepie, to tylko chwyta mię za gardło, to łyzy wyciska i płomieniem na twarz rzuca. Bożenna — czeka, Bożenna — zakwita, Bożenna — płomieni się w dojrzałość miłości swej dziewiczej...

Nie troszczmy się o nic. Polne lilie kwitną, czemuż mybyśmy nie mieli rosnać, kwitnąć i śpiewać! Raj legendowy wskrześnie przez nas, stanie się formą stałą, nie tęsknotą całej ludzkości... Nadziei, zdrowia i siły! U nóg Twoich w prochu się tarzam...

Za chmurami — słońce!



a tu już piąty list do Ciebie piszę, a od Ciebie nie prędko może jeszcze dostanę wiadomość. Wiem, że pierwsze słowa Twoje uzdrowią mnie całkowicie. Czy to wszystko snem było? Czy wszystko się rozwiało? Twój list umocni mnie, da mi znak, że prawdą jest wszystko, że czeka mnie wieczna, wieczna radość duszy. Bożenno—szukam Twoich rąk, zdaje mi się, że tęsknotę całego świata noszę w duszy. Coś zamiera w piersi, coś woła na pochód wielki za znakiem śmierci na zwyciężkiej chorągwi. Boże, ja nie chcę żyć, jeno zamierać u nóg Twoich... Wpatrzeć się w nieskończoność Twoich oczu, ogarnąć spojrzeniem nieogarnioność Twojego uczucia i zwiędnąć jak kwiat podcięty, jak serce przeszyte, jak światło przesłonięte... Nie wiem, gdzie jesteś—domyślam się tylko. Gonię jakąś marę, lecę za mgłą—zataczam się w tym pościgu; chwytam za czoło, czy żyję, czym nie postradał zmysłów. Bożenna kocha mię i dlatego dzieją się takie straszne rzeczy. Boże—jak Ty tam patrzysz na świat ten cudowny? Jeżeli widzisz piękno — szczęśliwy z tego jestem. Jeżeli zaś mroczy Ci się wszystko, pustką staje, zawodem, tedy posłuchaj, co Ci powiem: odzyskasz wzrok, niech jeno Chrystus dotknie Twoich oczu, niech tylko Miłość stanie przed Tobą i powie Ci: oto jestem. Pamiętaj, że ostatni nasz wieczór na ziemi polskiej, wśród śniegów, wichury i zamieci — stał się nieśmiertelną krużką, z której wiecznie bić będzie źródło Miłości. Boże — jak Tyś nademną czarne rozpostarła skrzydła,

a sama dumna, chwalebna i dostojna najszczytniejsze sny o pięknie jawiłaś mej duszy. Bądź pochwalona, bądź na wieki uwielbiona przeczysta dziewo, wybranko mego serca! Zobaczysz, przyjdzie czas, że skonam w boskiej ekstazie u stóp Twoich, że spojrzę na Ciebie i od jednego wejrzenia skonam! Dziś to czuję, dziś konam, dziś modłę się do Ciebie, kocham na wieki...

Bóg tylko mnie dał taką potęgę i bezgraniczność Miłości! Tylko fale mogą tak jak ja konać, jak ja omdlewać, jak ja w nieskończonym, węzowym splocie zamknąć Cię na wieki. Falo, z Tobą jedną podzielę moje szczęście, moją melodję odwieczną, moją tęsknotę węzową. Pamiętasz gdyś mnie zegnała?

Milczałaś Ty i ja. Nagle dzwonek...

Jęknąłem i Tyś jęknęła. Jęk jeden z dwojga piersi splótł nas na wieki. Kto tak padł sobie w objęcia — jak my wtedy? Chyba Matka Synowi Bożemu przed śmiercią?

O, jęku! wieczna pamiątka naszej Miłości!

O, jęku! ślubie dwóch serc z jednej piersi bożej powstałych! O jęku! chwała i radość snu bożego o człowieku, synu Bożym!!

O, jęku, budź Bożennę! O jęku, kochaj ją, nie odstępуй od niej! Spraw, aby się w ciebie zasłuchała i nie zbudziła, aż ja ją obudzę!

Bożenno — pisz do mnie, każdy szczegół donoś.

Nie o nastrój Twej duszy mi idzie, ale o Twoje zewnętrzne życie!

Twój świat wewnętrzny mam w mej własnej piersi, w jęku, w smutku i w radości na myśl, żeś wolna już zawsze!

Każdy dzień żegnam na klęczkach. Teraz dopiero rozumiem, co to z Tobą było!

Wiem, że bez Ciebie byłbym tem, czem teraz gardzę...

Całe życie będziesz mi tylko opowiadała Twoją podróż i Twoje przeżywanie tych chwil. Czytaj po włosku. Wiedz, że ja od Ciebie tylko będę się uczył.



Bożenno — daj ręce ukochane, te sieroce dłonie Twoje...  
Rodziców mam już zabezpieczonych. Roboty będziemy mieli  
dosyć. Zapracujemy i wyżyjemy. Przyjdź, Chryste, Królestwo  
Twoje... Królestwo lilji polnych, ptaków niebieskich... To nasze  
Królestwo — Bożenno?...

---



dzie jesteś mój ptaku? Kiedy odbierzesz moje słowa, kiedy poczujesz, że mówię do Ciebie?

Idziesz, idziesz, wysyłasz od siebie wiadomości, ja ślę od siebie i na tem koniec. Biedna, ukochana moja! Ileż Ty cierpisz!

Kiedy to piszę Ty może już jesteś w Neapolu, może już zaczęłaś wypoczywać po nadmiernem utrudzeniu i wzruszeniach silnych. Piszę rano i wieczór. Wczoraj pierwszy list od Ciebie odebrałem. POCO mówić? poco spowiadać? Mam jedno łkanie w odpowiedzi — nic więcej. Głowę wtulam w pracę, straszną, zmuǳną, pociągową pracę, i w ten sposób choć na chwilę głuszę krzyk.

Wiedz, że po Twoim wyjeździe myślałem, że oszaleję z bólu głowy. Coś mi pękło, trzasło, rozłupało się na dwoje, w pięcioro, na kawałki! A Ty o ileż więcej musiałaś w sobie pomieścić: i mnie, i dziecinę, i samotność Twoją i drogę nieznaną!

A ja nie mogłem być z Tobą, nie mogłem ukołysać, sny sprowadzić czarodziejskie? Ale to dobrze. Musimy być mężni, musimy wypić aż do ostatniej kropli wszystko, cokolwiek się sączyć może z serca ludzkiego. Staniemy przed sobą piękni, niezwyciężeni — zwycięscy! Lwią część drogi zdołaliśmy przebrnąć. Pierwszy krok zawsze trzeba opłacić trwoǳą, smutkiem ale gdy się już przejdzie Rubikon, wtedy trzeba umrzeć pięknie, jeśliby się żyć nie mogło. Jak umiem, tak będę mówił do Ciebie: *Tuo cuore e come un ameno giardino ammantalo dei olezzanti fiori, degui di attirare gli sguardi di Colui, che si pasce fra i gigli (Gesu).*

Il to povero ragazzo vuole a gettarsi ai tuoi piedi santissimi supplicandoti di permetterle di picanugere della gioia e del amore. Avanza, o anima mia, ogni giorno piu a gran passi nelle vie della santita, bellezza e sanita! Tosto chè ti vedro, crescerò alla scuola d'una maestra si illuminata come Lei; e seguendo contutta pedelta le tue ispirazioni del amore, io sarò fino da primi miei giorni italiani felicissimo con Lei e beatissimo fra tutti i uomini. Io sono ora come bambino di latte, come uccello smaritto, senza la mia carissima e santissima madre. Baccio tue mani e tue piedi e aspetto mio benedetto giorno. Non t'inquieta su quello, che devi fare con tua tristezza, abandonatezza e solitudine. Amo tuo servo, e prega nella chiesa ogni giorno un meglio levante per te e per. Parlatemi voi di vostrame vita, sanita e gioia, ed io vi ascoltero assai cupidamente. Io ti voglio bene, colomba mia nera, fiore splendido, luce candido, notte odorata, serena e tranquilla.

Fra tempo io sono troppo occupato. Bisogna finire mio lavoro per godersi con voi senza fine nel nostro regno del amore.

Mangia con bambino il Pane del'amore celeste!!



yzwoliłeś się duchu jasny, wyzwoliłeś się ze wstrętu, w którym konałeś powoli. Wolny jesteś, radosny, dumny i promienny! Myślę o Tobie jakgdybyś już umarła i była szczęśliwą na wieki. Mnie tylko pilno za Tobą w drogę, mnie tylko ciężko tu na ziemi, która mi przypomina Twoją niedolę i cierpienie. Ani przez chwilę nie potrafię sobie uprzytomnić, że jesteś w jakimś wymiarze, że stąpasz po ziemi, że się uśmiechasz lub smutnie patrzysz w dal. Widzę Cię wśród kwiatów, zieleni, zapachu i błękitu. Płyniesz jak obłok, a wszystko dokoła Ciebie śpiewa, złoci się i w hymn wieczysty dzwoni. Bożenna, z dzieciątkiem jak lilja czysta i świetlana, jak lilja wonna, jak lilja w niebo wpatrzona. Czasem, gdy odłożę pracę na bok, myślę, dlaczego w takim trudzie pędzę całe godziny? Po co, na co? A, prawda mam wyruszyć daleko. Po co? Przecież już nic niema, coby mię mogło choć na chwilę zatrzymać przy sobie. Prawda, prawda, coś, jak sen, jak mgła snuje mi się po głowie, nie mogę tego wszystkiego ująć, odczytać, zrozumieć... Powoli dochodzę, że to za Tobą pójdę! Boże, wszystek lodowacieję, robi mi się tak dziwnie, a nogi chwieją się jak jeszcze niedawno biedna myśl moja. Bożenno, gdzie jesteś, czy z wysoka na mnie spoglądasz, czy może jako duch stoisz za mną i patrzysz, patrz... patrz... Otocz mię wzrokiem, tchnij na mnie bym ożył, bym powstał, bym znów z siłą poszedł naprzód. Bożenna — utul mnie, utul...



Spisuj wszystkie wrażenia swoje, wszystkie myśli i uczucia. Gdy przyjadę, odczytam wszystko, przeżyję wraz z Tobą wszystko po raz wtóry. Gdybyś wiedziała, jak cierpiałem dopóki pierwszej wiadomości o Tobie nie dostałem — wyrzekłabyś się z pewnością wyjazdu na zawsze. Powoli zaczynam kamienieć i uporczywie jak warjat, jak lunatyk patrzeć w jeden punkt.

W tem spojrzeniu w dzień określony, ześrodkowały się wszystkie moje uczucia, myśli, wszystka władza i moc mojej duszy. O, Boże, więc to taka ta Miłość nasza! Przecież to siła, która wiecznie nam da nosić królewski płaszcz i koronę. Wiesz, teraz już na myśl, że zaczną przychodzić od Ciebie wiadomości czuję, że mi gorze w piersi, że skrzydła rosna, że powstają zamarłe królestwa.

Zawsze o *dwunastej* w południe pomyśl o mnie.

Wtedy bądźmy sobie u nóg, wtedy jak w świątyni złożymy znak krzyża na czole i módlmy się, gorąco się módlmy do dobrego Boga. I dziecinę weź wtedy za rękę, każ jej mówić o mnie i tul ją do serca, w którym życie moje bije.

Boże, jakie myśli huczą Ci w głowie, jakie uczucia rozpierają piersi!

Korzystaj z włoskiego, abyś mnie mogła nauczyć.

Nie troszcz się o nic, nasza droga prosta i jasna. Miłość Twoja to wszystko uczyniła. Niech nic nas ani na chwilę od słonecznego widziadła nie odrywa. W lutym pojedziemy do Palermo. Rozkochasz się w tym kraju. Ptaku mój, gdzie Cię teraz pochwycić, jak za Tobą biedz? Wiem, za Tobą ciągnie się szlak złoty miłości, po którym wszędzie Cię odnajdę.



o tygodniu całym — pierwszy list. I Ty też przez 10 dni nie miałaś wiadomości. To okropne! Czy kto nie przejmuje? A niech przejmują, niech wszystko zabiorą, bo i cóż więcej zabrać mogą? Postarzałem się, posiłkiem, zapomniałem, że słońce świeci, że szczęście mi losy przędą. Gdzie? jak? Czy to możliwe? z Tobą? Wszystko we mnie wybucha rykiem, i wyciem, gdy sobie zdołam wskrzesić choć na chwilę Ciebie. Całą siłą woli dotąd dążyłem do tego, ażeby precz usunąć Cię z oczu, z myśli... tylko w sercu na dnie gdzieś ukryć, niewidzialną, myślą niedosięzną...

Nasze życie musi być wiecznie trwającym i nigdy nieobniżającym się uniesieniem. Musi być górną linią równo zakreśloną. Idziemy po zdobycz pewną i niezawodną. Jedno dla drugiego będzie wielką siłą, a razem wzięci mamy być Snem na ziemi! Wybiegliśmy na błonie kwietne, ażeby powrócić z naręczami różnobarwnego kwiecica dla świątyni naszej duszy. W tem wszystko. Nie wiem, czy płuca moje pragną Ciebie więcej, czy oczy, czy uszy... Wszystek zmarłychwstanę!



idzisz, Bożenno... O mnie się tak troszczyłaś, a to Twoje serce mówiło Ci o Twojej tęsknocie. Uspokój się, duszo moja, światłości moja, uspokój się. Twój spokój i pogoda dodadzą mi siły, zapału. Wiedziałem, że będziesz bardzo, bardzo

biedna, że będziesz się sama siebie nieraz pytała: czy to to szczęście, o którym sniłam? Czy to być może ten świat, o którym wspólnie marzyliśmy? Tak, to ten świat, to nasz wspólny na wieki świat. Wiem, że wszystko przejmuję Cię teraz wstrętem i zgrozą. Zobaczysz, że wszystko jasnością i światłością Ci się stanie, że będziesz całowała każdy kamień przydrożny, że wszystką duszę będziesz posyłała Niebu. Pomyśl że za trzy tygodnie będę u Twoich nóg i zrozumiesz, że to nie szyderstwo, ale że to wielka, wielka prawda. Bożenna kocha ten czyściec ponury i okropny, kochaj to wszystko, co na Cię teraz spada, bo ten mrok jest zarodzią bożego dnia.

Bożenno—wszędzie Ci pieśni śpiewać będę, wszędzie cieniem milczącym i rosnącym w bezmiar się stanę!—Przed nami wielkie niezmierzone obszary myśli, uczuć, przenikań twórczenia!... Pomyśl, jaki świat nas pochłonie gdy zapatrzeni w rodzącą się gwiazdę, zapadniemy się w głąb utęsknioną.

Bożenno — myśl o tem, a skrócisz sobie drogę oczekiwania. Usłysz mnie, abyś mniej cierpiała, abyś łatwiej zносиła to wszystko...

Ja jestem silny, nie ugnę się, zmęźniałem przez ten czas w dąb wyniosły, hardy, dumny.

Znajdziesz przy mnie szczęście, bo niosę taką duszę do Ciebie, że czasem aż się trwożę, czy nie pęknie mi serce ze szczęścia, żem Cię wyrwał podziemiom, martwocie i śmierci. Teraz, teraz zrozumiesz, co to znaczy marzyć, gdy już tylko Bóg nad nami czuwać będzie.

Zarobiłaś 40 rb. za tłumaczenie zrobione w Dębach. Pierwszy to Twój zarobek, duma moja, nadzieja i pewność. Podobało się wszystkim.

Tę książkę, którą Ci dałem, możesz tłumaczyć, jeżeli Ci przyjdzie ochota. Wyobraź sobie, że do „Świata“ mam tego rodzaju robotę zamówioną, że wszystko Ty zrobisz. A więc: zwiedzanie pracowni artystów, zdawanie z tego relacji, opis uroczystości bieżących, wypadków ze sztuki, muzyki, teatru. Redaktor zamówił mnie na stałego, bo niema korespondenta z Włoch. Czy to nie szczęście dla Ciebie, że będziesz mogła rozpocząć szkołę pracy wspólnej i zarobku? A już do „Wiary“ to puszczę Cię całkowicie. Zobaczysz, jak będziesz szczęśliwa! Życie nas woła i czeka!

We Florencji Savonarolą żyć będziemy!

Jak tylko przyjadę natychmiast pojedziemy na Sycylię. Tam będziesz żyła! Posłałem Ci opłatek, „Wzeszłaś jak Hostja mego Pana...“

Do was wszystko to mówiłem, nie odłączam, obie jesteście mojem westchnieniem!...





a — tu, Ty — tam. Od pewnego czasu zdaje mi się, że do śmierci błogosławionej się przygotowuję. Stałaś się już czemś z za świata, co mnie bezpowrotnie woła na gody. Bożenno... Już nie długo naszej rozłąki, już wkrótce stanę przed Tobą jak pielgrzym spragniony rozgrzeszenia i cudu. Wtulam głowę w pracę, myśli zabijam, byleby tylko przetrzymać.

Dziś wigilja. Smutno nam wszystkim bardzo. Ja mam cel najświętszy, najwznioślejszy. Niech tylko Bóg dozwoli stanąć mi obok Ciebie, a wówczas pójdziemy jak dwoje ludzi stworzonych do błogosławieństwa żywota. Odebrałaś list z opłatkiem?

Od chwili, gdy i materialnie i moralnie stanąłem tak, że jestem już jakoby niezależny, siła, pogoda i pewność wstąpiły mi do duszy. Rozłączenie nasze jest teraz już bardziej *dobrowolne* a nie *konieczne*.

Jedyna, z Ciebie będę brał siłę przez całe, całe życie. Tulę Cię do serca i baśń złotą śpiewam Tobie i Twej dziecinie...



iszę z Warszawy. Zima, straszna zima. Od-  
dychać trudno. Dostałem w Warszawie aż  
5 Twoich listów. Radość niesłychana. Ale  
ja już wolę dostawać listy w Stanisławo-  
wie, bo przynajmniej jak dobrowróźbne  
ptaki przylecą. A tu wszystko leży i czeka.  
Oj źle Ci tam, źle. Ale i mnie nie lepiej.

Być w takich tarapatach, zabiegach obrzydłych, kombinacjach  
wstrętnych — to plugawe życie...

Gdybym to dzielił z Tobą, byłoby inaczej... Już nie  
długo—wołam jak więzień, który czuje, że mu wkrótce może  
nie starczy oddechu, że gniją mu płuca... Bożenno, gdybyś nie  
Ty, nie żyłbym już dotąd. O, piękno moje, objaw się, powtórz  
się, prowadź, prowadź...



rzy Nowym Roku biegnę do Ciebie, na wspólną chwilę naszych snów i marzeń. Ten rok jest naszą własnością, ukochanym w bezmiarze chwil, jakie przeszły ponad światem. W tym roku oglądać będziemy dusze własne, spojrzymy na jawie snom zrodzonym w najgórnijszym pędzie ducha. Mróz wgrzyza się w szpik kości. Zdaje mi się że kłamstwem jest wszelkie słońce, ciepło, woń, kwiaty. Że chyba świat cały na wieki zlodowaciał. Dobrze, że Cię tu niema. O ile czuję, że na tym świecie jestem ja, a Ty już daleko, już poza tym światem — o tyle tylko mam jeszcze odwagę zatkać sobie uszy i nurkować... Przestałem żyć, myśleć, być, przez te tygodnie. Utkwiłem oczy gdzieś, w jakiś punkt, gdzie słyszałem o jakiejś bajce, że królowna uśpiona czeka na mnie,— i idę, idę jak lunatyk, byleby prędzej, byleby nareszcie... Nie chcę się budzić za nic. Z początku piekło miałem w duszy, gdym listów od Ciebie nie odbierał, dziś wydaje mi się to czemś bardzo małym. Ja Cię mam całą w duszy, w piersi, w każdym oddechu. Ty moja, moja... Mówić, ani pisać o Tobie nie mogę, bo wtedy mi źle, tak źle, że gotów jestem szaleństwo popełnić. A przecież mi tego nie wolno, bo już nie należę do siebie, bo jestem już waszą własnością, Stokroć lepiej wcisnąć łeb w jakąś twardą pracę i czekać, czekać... To jedyne wyjście, to jedyne sposoby na bezgraniczną tęsknotę. Dziś już 1-go stycznia!

Już powoli styka się moja dola z Twoją, już zwolna staniemy się jednym promieniem.

Bożenno?... może Bóg będzie łaskaw na naszą dolę! Teraz chyba czujesz, że wkrótce się zaczniesz nasze królestwo!

Wstąpiliśmy w styczeń! Teraz dni będą płynęły pędem wartkim i niewstrzymanym. Oj, że nie wstrzymanym, to niewstrzymanym!

Najcięższy był grudzień. Szedł naprawdę po grudzie. Teraz, z okazji katastrofy w Messynie, dużo możesz nazbierać wiadomości z pism o Sycylii. Wszystko *notuj szczegółowo*, bo odbędziemy wyprawę do zwałisk i gruzów wkrótce po moim przybyciu do Neapolu. Jak tam być musi nadzwyczajnie! Tragedja i uśmiech słońca i morza!

Wiesz, ani razu nie spojrzałem na Twoją fotografię. Idę w jakieś wielkie, radosne i odwieczne moje przeznaczenie. Postać Twoja przybrała teraz w mojej duszy kontury Sfinksa, którego zrodziłem, by wiecznie patrzył we mnie a ja w niego. Większą jest wielka zagadka, niż jej rozwiązanie. Jacy szczęśliwi jesteśmy, że wspólnie będziemy patrzyli na dziw, na zjawę, na wielkie zapytanie jak wielkiem jest życie, wszechświat, byt! W zdrowiu aby czekaj na mnie. Splataj i rozplataj sny swoje, wij marzenia nad moimi skroniami, wznos dłoń z zapytaniem i z odpowiedzią składaj ją na mojem czole...





ożenno, już niedługo Twojej kary, nie długo gorzkiego wygnania. Wrócimy do ojczyzny naszej, do swych ołtarzy wrócimy, gdy jedno przed drugim uklęknie, gdy w najgłębszej radości milczeniem będzie wołało serce do serca. Boże, jak dziwnie się dzieje w duszy,

jakie światy powstają i walą się w jednej chwili, a ja jak wieczność obejmuję to w sobie, niosę w sobie, ponad tem wszystkim trwam i biegnę w coś, co się stanie dla mnie początkiem i końcem. Chciałbym ogłupieć na ten czas, stać się jak wół jarzemny, jak koń w zaprzęgu, pies na łańcuchu.

Ty już jesteś po drugiej stronie życia, a chociaż tego życia jeszcze nie zaczęłaś, to jednak już przeszłaś kładkę, już już... A ja fizycznie jestem tu jeszcze, choć moralnie wraz z Tobą. To rozpołowienie, to zawisnięcie między niebem a ziemią jest czemś nad wszelki ból bolesnem. Już umarłem dla tego świata, a jednak muszę z nim mówić, targować się, odwiedzać kramy, o jarmarcznych dniach pamiętać!... Pamiętasz, jak mówiłaś w największym bólu, że już prawie nienawidzisz tych, dla których żyć musisz...

Wszystko to już przeszedłem. Jestem zmęczony, tak bardzo zmęczony. I ja byłbym długo patrzył obojętnym wzrokiem na wszystko, ale gdy Ty staniesz przy mnie, wszystko ożyje, wskrześnie, zawoła głosem przyszłości, jutra, wschodu słonecznego, jasnego...

Nigdy nie błogosławiłem tak przemiany wszelkiej, biegu, wiecznego zamierania i powstawania na nowe życie—jak teraz!

Boże mój, jakie to szczęście będzie u nóg Twoich się ułożyć i ze łzami, całą przeszłość samotnie przeżyta, na wieki do zapomnienia wyplakać. Zapomniałem już jak szczęście wygląda, serce mi już dawno, dawno nie biło, coś odeszło odemnie nazawsze... W pościgu machinalnym, nieświadomym, czasem ujrzę Ciebie i wtedy widzę, że to wszystko odeszło tylko na chwilę, że przecież coraz bardziej zbliżam się do Ciebie!

Nikt na świecie nie czcił tak nikogo, jak my siebie, wszystko nas może zawieść, ale nigdy ukochane spojrzenie, dłoń najświętsza...

Kwiaty moje, rozwijajcie się, kwitnijcie aż ja przyjdę, aż będę mógł powiedzieć: „Mogę już umrzeć, mogę, bom was już oglądał”...



oże! tak mi już potrzeba ukryć twarz w Twe dłonie i zapomnieć wszystko! Ty nie wiesz ile przecierpiałem i co musiałem zwalczyć, żeby móżdż już powiedzieć: jestem. Ani przewidywałem że tysiące najwstrętniejszych, najbrutalniejszych trudności stanie mi na drodze. Ale to nic, wszystko odeszło, spłynęło. Zostały tylko ślady na mojej twarzy zimnej, zaciętej i niezwalzonej. Mam wrażenie że byłem w boju, gdzie zapamiętałem się do tego stopnia, że walczyłem nie jak człowiek, ale jak zwierzę, jak potwór, jak żywiol ślepy i rozszalały.

Chyba z listów wyczytałaś czasem, że jestem jakimś człowiekiem skamieniałym, że głos mój do Ciebie wydobywa się siłą z pod gruzów i popieliszcz. Jak niewymownie upojnie zwyciężyć przez Ciebie i dla Ciebie. Stanę przed Tobą dawny pieśniarz Twój, Twój płód i Twoje ukochanie. Poczekaj chwilę, chwilę jeszcze Bożenno... Widzę Cię już, już patrzę w Ciebie, już głos Twój wlewa mi w piersi dobroczynną siłę. Bożenno— bądź przy mnie jak zawsze. O jakże jestem szczęśliwy, bo czuję że nigdy Ci nie zbraknie tego, o co i nie umiesz i niepowinnaś walczyć, lilio polna, ptaku niebieski.

Wiesz, Bożenno — będziesz miała dużo do roboty. Tyle nabrałem zobowiązań, że Ci nie zbraknie pracy. Widzę, jak się rozpromieniasz, jak Ci jaśnieje twarz.

Bożenno—żyję tylko Tobą, czasem jak waryat, czasem jak dziecko patrzę bezmyślnie na świat i szukam Ciebie. Oj, kiedyż już, kiedy! Jeszcze kilka dni. W Imię Ojca i Syna...



apracowany jestem. Zaraz jadę do chorego. Cały jestem u nóg Twoich, duszę moją Tobie spowiadam, serce otwieram tęsknione i słucham, słucham co mi powie dłoń Twoja, stopy Twoje... Śnij o blizkiem szczęściu, troski nas nie miną, ale wielką falą szczęścia wszystko zakryjemy, wszystko zniknie pod słoneczną rozlewą.

Już niedługo, już... Bożenno—czy Ty rozumiesz, że ja stanę przed Tobą, że ja uklęknę do najświętszej uczyty. Czy ty to rozumiesz? Ja nie mogę tego pojąć, jestem od kilku dni w jakimś szale, nieprzytomny, wpatrzony w coś, czego objąć wzrokiem niepodobna.

Budź się codziennie o wschodzie, kłaniaj się jak poganin pierwszemu promieniowi i żyj, żyj... Boże, więc to Ty mnie prowadzisz, więc to ty przez całe piekło wiodłaś mnie za rękę?

Bożenno, nie miałbym już sił powtórnie choćby części przeżyć z tego, co przeżyłem. Bóg był nademną, we mnie Ty najukochańszy duchu, a przedemną świat, świat zrodzony z różanych promieni, z uśmiechów tęsknych Twoich i ze spojrzeń dalekich, wyczekujących, spragnionych. Żyj, żyj... wkrótce już padnę do nóg Twoich.

Przebyłem piekło, czyściec już się kończy — Twój duch chyba wymodlił mi u Boga, że wszystko przebrnąłem szczęśliwie i pomyślnie. Będziemy pracowali, myśleli, czuli i patrzyli w swe dusze... O, jacyśmy piękni, jacy dostojni, jacy wy-



brani! Czuję, że wołasz czasem strasznym bólem i słabością. Wolno Ci to uczynić, gdyż w głębi siły masz niepożyte... Cała siła Twoja występuje dopiero w stosunku do mnie, a sama w sobie jest słabością, nikłą i wątłą rośliną.

Siło moja, pokłon Ci niosę, pokłon miłości i czci... Tyle pracy, pięknej, wzniosłej nas czeka. Zobacysz, że wszystek wstręt codziennego życia, jaki teraz dźwigasz — jak mgła się rozwieje. Bożenno drży ci serce — jak skamieniała bryła czekam tej chwili. Wiem że od dzisiaj będziesz już spokojną o naszą dolę, będziesz jej wołała duszą, wszystką siłą ukrytą na dnie. Pisz o drobnostkach, bom zmęczony bardzo, chciałbym słuchać Twych kłopotów... Już wkrótce wyjedziecie na moje spotkanie — ptaki moje...



ożenna czeka, a ja już tchu nie mam z pościgu ciągłego. Mówisz, że dawno już mojego prawdziwego głosu nie słyszałaś. Gdybyś wiedziała, jak i w czym żyję, to zdziwiłabyś się, że jeszcze mówię cośkolwiek. Bóg czuwa nad nami i dał nam więcej, niż pragnąć można było.

*Dostałem urlop legalny!* z nadzieją, że będę pożyteczny. Nie zawiodę ich, bo będę z Tobą. Zajrzyj mi w serce, a przekonasz się, że jestem piękniejszy i bardziej godny Ciebie... Już nie tęsknijcie ptaki moje...



aki Bóg dobry dla nas! Zachował Cię, zachował prawdę swoją, zachował duszę, którą umiłował. Nigdy o tem nie pisałem i chyba nigdy mówić nie będę. Będę Go tylko wiecznie, wiecznie błogosławił. Życie nasze staje już u proga z niebieskim znakiem na czole, z blaskiem wszystkich tęsknot na czole z piersią koralową szczęściem nad miarę. Duchy my jesteśmy, jasne, boże, na stworzenie wielkiej światłości wywołane tęsknotą bożą... Pójdziemy jak dwa łabędzie śpiewać głębiom naszej duszy. Chcę w letargu doczekać chwili świętej, bo nie mam sił patrzeć, słuchać, czuć... Darować mi winna dusza moja własna, że o niej nie chcę nawet myśleć wtedy, kiedy kuję, pazurami wydrapuję lepsze jutro. Bóg czuwa dotykalnie nad swoim dziełem. Bogu służyć będę wiernie i wszystko piękno oddam Mu w ofierze. Wielka, piękna przyszłość — nie tylko 2 lata czekają na wybrane dusze... Ptaki moje czarne niech na gałęzi czekają świtu... Już godziny liczyć można...



oże tam, Bożenna, znów listów nie odbierasz może znów smutno Ci na duszy? Ch... pisał do Ciebie. Zląkł się, że już się wycofuję, że go chcę zostawić. Błaga żebym go zabrał, że mu bardzo źle... Boże, ja przyjadę do mojego wschodu, do moich dłoni, do spojrzenia miłości Bożej! Coraz bardziej Cię czuję teraz, coraz wyraźniej stajesz przed moimi oczami, coraz dokładniej rozumiem, że mam się narodzić, narodzić!

Dotąd byłem w chaosie przedstworzeniowym, w jakiejś piekielnej czeluści, w nieświadomości uczuć i kroków. Jedno tylko wiedziałem, jedno tylko odczuwałem w przeogromny sposób: Muszę iść naprzód, muszę iść do mego przeznaczenia! Było to moją męką ale i siłą tak wielką zarazem, że już nic by mnie nie wstrzymało. Gdybym był wiedział, że same trupy zostawię za sobą, szedłbym jak lunatyk, jak manjak, naprzód, naprzód! Siła to była ślepa, ale nie ubлагana, niepowrotna jak huragan, jak trąba powietrzna, jak wybuch wulkaniczny. Teraz powoli zaczyna mi się wychylać z tego mroku twarz Twoja, jak kwiat kaktusowy, jak zmartwychwstałe spojrzenie, jak uśmiech boski jutrzeńki złotostrzałej... Idę na gody, na wielką chwilę zaślubin! Bożenno... Ty słabniesz, rozgoryczasz się... ja czuję. Ale powiedz, kto na Twojem miejscu umiałby to wszystko tak znieść, tak ubóstwić swoją miłością? Słabniesz, ale jedno słowo zdoła Cię uczynić bohaterską, jedno



wołanie potrafi odnowić krew w Twoich żyłach. Tyś słaby i wątły kwiat, ale zawsze i wszędzie jesteś piękną i wielką miłością! Dlatego też choćbyś już umierała, wiem, że miłością Cię wskrzeszę. Dlatego też dla nas niema nic nieprawdopodobnego. Jak to będzie pięknie, gdy będziemy pracowali, a dla siebie będziemy mieli twarze słoneczne, jaśniejące szczęściem, Bożenno — to jest życie Twoje, to sen Twój, to Twoje królestwo niepodzielne i wiekuiste! Boże, z Tobą ponieść ciężar życia, toć to przecież łaska największa nieba, rozkosz duszy niezgłębiona!

Miłość naszą dojrzymy wszędzie i w sztuce, i w tworzeniu, i w pracy, i w życiowym pościgu, i w śnie młodzieńczym i w marzeniu bożych wybrańców! Wszystko ogarnąć musimy sobą, zobaczysz wtedy jak bardzo świątynia nasza się rozszerzy!

Mój Boże, gdybyśmy zdołali zarobić sobie na skromny rok, moglibyśmy rok dłużej pobyc w Włoszech. Z jaką to korzyścią byłoby dla nas obojga, trojga!... Radość całego mnie pochłania bo widzę Cię, jak stajesz pełna siły i blasku. Niedługo już wyjdiesz z dzieciną na moje spotkanie i pokłonimy się sobie jak dwa dojrzałe, złote kłosy...



zwarta godzina, a już ciemno zupełnie. Po długich i ciężkich mrozach przyszła odwilż przebrzydła. Cały świat jest jak grób wilgotny, cuchnący. Po całodzienniej pracy niosę czary wypełnione nadzieją i jutrem. Pachną kwiaty, wiją się girlandą myśli, uczucia szkarłatne płomieniem wiążą dwa światy w jeden, wschód z zachodem, wyzwolenie z siłą rwącą dopiero więzy. Dziś patrzę już w kształt, co boską myśl w sobie zawarł, patrzę na koronę, która wkrótce spocznie na mojej głowie, wsłuchuję się w głosy, co lada dzień wypełnią mnie jak powietrze, zbolełe płuca. Śnić, nieść się, wybiedz poza świat, poza rzeczywistość, stanąć na obłoku i stamtąd tęczę rzucić na niziny, na gorycz i piołun. Złoty kłos wyczarować z życia, jeden złoty promień wyświecić, jedną myśl jak tron boży, postawić w jednym uczuciu, jak we wszechpotężnej i wszechwólczej woli, zamknąć byt cały. Idę w ten świat i wołam równego sobie ducha; zdobywam niebo i wołam kto pragnie podzielić ze mną tron niepodzielny; czuję królewski znak na czole i wołam, kto zrodzon w gnieździe orlem i ponad chmurnem? Tylko ptak mój jeden...



ożenno moja... O niczem teraz odemie nie słyszysz tylko o rzeczach praktycznych, życiowych. Tak, tak... Ale Ty mnie znasz, Ty wiesz, że wyczaruję Ci najcudniejszy świat, życie moje oddam Tobie! Pamiętaj o tem, że nas czeka życie cudu i życie pracy...

Podejmuję to wszystko z taką rozkoszą jak spojrzenie Twoje, jak uścisk Twej dłoni. Życiem mojem — Twoja wyzwolona dola! Niczego więcej nie pragnę. Bożenno — ja się tu stałem wołem roboczym, Pompeją przywaloną, dźwiękiem rzuconym w otchłań...

Nie chcę nawet myśleć o Tobie całą myślą moją, nie chcę rozwartemi oczami patrzeć w Ciebie, nie chcę... Zrozum że wtedy nie dotrwałbym, że padłbym... A przecież wytrwać muszę, dobiedz, bo tam, gdzieś... czeka na mnie Bożenna moja... i życie boże... Więc wołem zakuć się jak niewolnik w pracę, wołem zagłuchnąć, zaślepnąć na chwilę, ażeby móżdżek później być sobą! Czujesz to, Bożenno, że jeżeli o tem piszę, to już patrzę, już słyszę i czuję... Dopóki nie pisałem o tem, byłem bryłą z własnej woli, z konieczności, z miłości dla życia mojego i śmierci. Bożenno — od pewnego czasu dopiero odtwarzam sobie Twoje rysy, głos przypominam, przypominam moją dolę splecioną z Tobą i te nasze węzły, to święte motowidło, co nas oprzędło na wieki.

Zacząłem kolendę. O godzinie 9-ej wyjeżdżam, wracam o 7-ej wieczór. Usta poruszać się niechcą, język w kołek znie-ruchomiał, nie czuję ani nóg, ani głowy, ani myśli...

W takim życiu pisać tylko nie mogę o cudzie, ale cud czuję, tembardziej czuję, stokroć bardziej czuję... Z Tobą wszystko zniosę, ale bez Ciebie nie mogę nic znieść... Wiedz Bożenno—że studenckie czeka Cię życie, że musisz być moim kolegą, przyjacielem, który wyjechał ze mną, aby mię wspierać, zachęcać, prowadzić, kochać... Bożenna — szczęśliwa?

Ale to szczęście jednocześnie zasmuci Cię, duszo moja. Muszę sobie wyrobić paszport, a to przeciągnie się jeszcze 10 dni. Tyś tyle przecierpiała, tyleś poświęciła dla naszego dobra — przetrzymasz tę zwłokę? Teraz cały jestem w jednym pościgu za groszem, aby później być zupełnie wolnym, prawdziwym Hellenem, duchem radosnym i rozmarzonym. Wszystkie te troski przetopią się z Tobą w jeden boski promień, w jeden uśmiech olimpijski, w jedno drżenie słońca w toni morskiej.





Miesiąć temu stanęłaś w Neapolu. Ja żyję z dnia na dzień, z minuty na minutę. Za trzy dni skończę już uciążliwą i przebrzydłą pracę objężdżania. Od Ch... wołanie, entuzjazm, a ja jestem jak przywalony rumowiskiem.

Z trwogą poprostu myślę, że już tak blisko dzień wyzwolenia, dzień uroczystego podniesienia. Lękam się, bo to przerasta myśli, marzenie moje. Czuję, żem chyba obłąkany, iż śmiem o tem myśleć: Panie, nie jestem godzien!...

A tymczasem to prawda, to jawa, rzeczywistość. Czy Bóg nawet może być tak hojny dla swego stworzenia? Pójdę z ptakami czarnymi przez pracę, przez wzniesienie, przez wielki hymn... Tylko zdrowia i wiary. Bóg resztę doda, czego sami nie jesteśmy w stanie stworzyć. Przyjdź królestwo Twoje.



ówisz, że mam tyle siły? Mam Ciebie, w Tobie jestem wszystek. Nic poza Tobą nie istnieje dla mnie. Ty jedna możesz sobie wyobrazić, czem są już teraz dla mnie te dni. Tem, czem dla Ciebie były dni pierwsze. Teraz jesteś już trochę spokojniejsza, a i słońce masz... Bożenno—gdybyś wiedziała, co to nie mieć słońca! Zdaje mi się, że siedzę w więzieniu lata całe.

Biedne moje płuca. Nie znoszą już zimy, zupełnie nie znoszą. Już po północy, gadam tak z Tobą, gadam i zapominam o wszystkim. Nie wiem już czy jest jaka doła, dobra lub zła, wiem tylko, że jesteś Ty i ja. Co się dzieje, że listów nie odbierasz? Wszystko jedno. Nic mnie nie obchodzi prócz duszy Twojej. Boże mój, jak to będzie gdy wyruszę w drogę? Czy to podobna? Czy ja tak siądę i będę jechał — dokąd? Będę z każdą godziną bliżej Ciebie? Bożenno?! Wiesz co?

W każdym mieście na poste-restante muszę mieć list! Boże, ile Tyś musiała przecierpieć, nie znalazłszy listu. Teraz czuję to w okropny sposób. Odtąd zaczniemy życie dwóch młodych studentów ze wszystkimi kłopotami życiowymi.

Wyschłem jak szczapa na duszy, a właściwie zapomniałem jak wyglądam. Nie mogę już teraz sam tam zstąpić... Mój Boże, jaka Ty będziesz szczęśliwa, jaki ja będę Twem szczęściem szczęśliwy!

Będę stawał we wszystkich hotelach, gdzie Ty stałaś... Bożenna czeka i czeka, a ja dążę i dążę. Ile najrozmaitszych

spraw trzeba tu załatwić zanim się wyjedzie. Ale co to wszystko znaczy wobec tego, że to się odwała jak skiba, że każdy krok już tonie bezpowrotnie w przeszłości, że już nigdy nie wstanie, i nie wstanie na drodze mojej. Boże, jakie to szczęście. A więc już godzina więcej, więc już dzień więcej przemiął. Kto się ścigał, ten wie, jakie to uczucie ogarnia, gdy dobiedziesz trzeba, a tu jeszcze daleko. Wtedy każdy krok zbliża, jak zbliża, jak pobudza energję, jak doprowadza do zapamiętania. Umrzeć, a dotrzeć, za wszystko na świecie! Miałem to, gdy 11 lat temu wspinał się na szczyt Wezuwiusza.

Będziesz się radowała jak małe dziecko, gdy przed niem odsoni się jakiś czarowny pałac z bajki. Zapomnisz w jednej chwili, że sama kiedy mieszkałaś w Neapolu, będziesz po raz pierwszy ze mną chodziła, ze mną! Powiedz mi co mam zrobić przed wyjazdem. Który kamień ucałować, na którym rogu uklęknąć? Nie myśl, że moja radość jest radością z życia, słońca, kwiatów. Nie, raduję się jak dziecko, jak człowiek, co zmysły postradał... Raduję się bez myśli... To moje szczęście. Bo gdybym zdołał sobie uprzytomnić to wszystko wyraźnie, dokładnie — coby było? Doszedłem do przesady. Boję się o zdrowie swoje strasznie. Nie wychodzę, siedzę i czekam, czekam. Pisałaś, że miałaś straszny sen 11. Przeczulaś. Ale Bóg czuwa, czuwa nad nami. Kochać Go trzeba i mieć wielką w Nim nadzieję. Chciałbym ponad wszystko moje poza Tobą, złożyć Mu największy hołd w pieśni. *Uczcić Boga tak, jak tylko pierś, wypełniona wielką Miłością uczcić potrafi...*



dybyś wiedziała, co się ze mną dzieje!  
Wstałem z grobu, czuję życie w sobie, widzę, słyszę, czuję. Powoli życie się wsącza kroplami, powoli, a ja już biegnę, biegnę tam, gdzie moje sny, marzenia, gdzie dusza moja, gdzie wszelkie pytanie, gdzie wszelka

zagadka bytu mojego zamknięta.

Powijaki śmiertelne zrywam z siebie, przecieram oczy i idę naprzód, bo już słyszę głos, co mnie do życia zbudził, co mi zmartwychwstać dał! Pisałem Ci że łaską i darem nieba, żem był bryłą, głazem, skamieliną, na której przeznaczenie wyryło: dotrzeć i zwyciężyć! Szedłem więc ślepy, głuchy na własny głos i własny jęk, szedłem ponury i zapamiętały, szedłem wpatrzony jak maniak w jeden punkt, i nic więcej. Niech wszystko dookoła się zapadnie, niech runie, niech mnie skopią, zdepczą — ja mam jeden wielki, dla mnie tylko widzialny cel — mam wyzwolenie mojej duszy przez drugą, co wyzwolenia pragnie. Wyzwolenie to nie wolność od wszelkiej zależności. Wyzwolenie to największa uroczystość, gdy dusza odnajdzie w sobie najświętszy swój ton, gdy go zapagnie z siebie dobyć, gdy wszystko poświęci, byleby to, co ją stanowi, żyło, rosło, potężniało — stało się!

My się wyzwolimy. Dlatego też dusza moja jako jeleń pragnący do źródeł bieży, jak kwiat spragniony więdnie i pochyla się ku ziemi, z której ma rosa ożywcza dlań trysnąć... jak słońce, co w królewską purpurę się zawija i królewsko zamiera...



Każdy dzień, każda godzina stają się moimi przyjaciółmi, braćmi, dobroczyńcami, gdy już odchodzą odemnie, gdy już mnie żegnają bezpowrotnie... Przeszłość najgoręcej się błogosławi, gdy już skonała, ażeby nas posunąć choćby na krok bliżej do nowego życia. Do nowego życia, do nowego, do tego, o którym dwie dusze śniły, dla którego tylko przyszły tu na ziemię, w imię którego jedynie spotkały się tu na ziemi i ręce sobie pomocne podały. Gdy odbierzesz ten list, królewsko wznies głowę i podziękuj Bogu. Niech Cię nie trwoży, że jeszcze trochę poczekaś duszo moja wybrana. Nas nic już nie powinno trwożyć, bo dowiedliśmy przecież, że potrafimy służyć, sobie, siebie prowadzić. Jestem słaby o ile jestem sam, ale nasza siła w tem, że wspólnie potrafimy wszystko. Gdy sobie pomyślę, że ja, ja rzuciłem się w świat i wygrałem grę—zdumiewam się. Ale już zupełnie nie rozumiem Ciebie, Ciebie. Najpotężniejsi geniusze woli mieli chwile pokuszenia straszego: Ojczy, czemuś mnie opuścił? A Ty, gołębico, ptaku bezdomny, samotny, splątany krwawymi strugami cierpień przeżytych — Ty chcesz być bez grzechu? Twoja siła leży właśnie w tej Twojej słabości, która odrazu zakwitnie w moc, gdy głos usłyszysz.

Boże, ja pragnę Cię zrodzić do wielkiego życia, jak Ty mnie zrodziłaś.

Byłaś zawsze wydziedziczoną, poniechaną w tem, do czego się wrywała Twoja dusza. Ze wspólnej misy jeść będziemy pokarm niebieski, chlebem świętym łamać się będziemy co wieczór, pozdrowieniem anielskiem witać się będziemy co świtanie!

Ty z dzieciną będziesz mnie strzegła i broniła i prowadziła i uświęcała.

Skończyłem wszystką pracę, wszystkie zabiegi.

Pozostaje tylko doczekać się paszportu.

Nie, Ty chyba nie wyobrażasz sobie, ile Bóg da szczęścia czystym naszym duszom!

Nic nie mogę robić...



dy ten list otrzymasz, pewnie będę już w drodze. Rozumiem, że mogłem przecierpieć i przetrzymać wszystko, co miałem do rozwalenia głową i sercem, ale jak ja siądę do wagonu, jak ja będę jechał, jak dojadę? Tego sobie wyobrazić nie mogę, nie chcę, lepiej abym sobie nie wyobrażał! To takie wrażenie, jakie musiałby mieć człowiek ledwie stojący na nogach z osłabienia gdyby go nagle postawili nad bezdenną przepaścią. Zamroczy w oczach, pociemnieje i stoczy się... Całe moje szczęście, że przez te kilka dni będę srodze zajęty. We wszystkim widzę rękę Opatrzności. Wszystko dziwnie się planowo układa, nie chybia ani na dzień jeden. Bogu oddajmy wszystko, a bezpieczni będziemy. Nam, dzieciom, tak potrzeba ojcowskiej opieki, nam kwiatom polnym, trawom nadwodnym... Proś zawsze Boga o nasze szczęście, o zdrowie, o długie życie...

I dziecinę naucz takiego pacierza.

Modlitwa dziecięca dosięgnie tronu.

Jaki ja już jestem skołatany; wiesz, że już nawet pośpieszyć się nie mogę. Piszesz, żebym już się tak nie spieszył, nie zabijał. Dobrze, bo już nie mogę. Wiesz, czasem nogi się tak podwijają jak z bawełny.

Chcę poczekać na Ch... Ale nieprawda, ja tego dla niego nie robię; nie mogę prędzej pośpieszyć i dlatego... Jaby nie czekał godziny dla całego świata... Dobrze wyczułaś, że już ostatek sił dobyteń z siebie. Prawda.

„Rozmowy niedzielne“ już wychodzą. Zachwyty z tego powodu większy, niżbym Parakleta napisał... B... ze łzami pisze do mnie o Twoich do niej listach.

Jak przyjadę, to z Niusią będę chodził po wszystkich cukierniach — to przedewszystkiem, a później dopiero po muzeach. Pójdziemy po cukierki i nad morze, i do kościołka i po kwiatki, tak Niutuś. Tylko daj Mamusi czasem popatrzyć, posiedzieć spokojnie i cicho.

Dziecino, zmów za mnie paciorek i proś Bozi, żeby już prędzej przyjechał. Całuję Niusię w każdy paluszek i w uszko i w bródkę i w oczki.

Muszę mieć wszędzie dwa słowa — muszę, żeby wiedzieć i czuć straszne rzeczy...

Nogi Twoje pielgrzymie całuję i z rąk miłość Twoją biorę.



estem w ciągłej gorączce. Czy to piekło szczęścia, czy bezdenny dreszcz wobec wielkiej godziny? Boże, gdzie złożyć głowę, z kim mówić, o czym mówić? Zdaje mi się, że padnę, że nie dożyję. Chryste—jak świta! Już wyciągam ku Tobie ręce obie, już zaciśnięte usta szukają Twojej dłoni, już mi ciasno, duszę się. Nie wiedziałem, że oczekiwanie żre na popiół, na żuzle że jak rdza trawi. Gorączkę mam w oczach, w ustach, w piersi, w tchnieniu. Niech wyruszę, niech wszystko zostawię za sobą, niech zapomnę żem żył kiedykolwiek na ziemi, żem zrodzon z męczyzny i niewiasty...

Czekaj, czekaj i módl się dla mnie o wytrwanie. Teraz dopiero czuję, że się cały rozlatam, rozsypuję jak piasek. Boże, żeby już stąd odejść. W grobie strasznym, samotnym, opuszczony leżałem w grobie i czekałem Zmartwychwstania! Patrz, jak wstają zorze, jak się płomienia, jak się tęczą pieśnią, hymnem pochwalnym, uśmiechem radości i wesela! Patrz, to moja pierś tak wstaje z grobu. Za tydzień będę już w drodze. Będę łkał, albo skamienieję i jak bryła potoczę Ci się do nóg. A może zakwitnę, może jak kwiat radosny pod stopy Ci upadnę. Czekaj na mnie, błogosławiona moja, księgo żywota na wieczność, arko najświętszych naczyń, skarbnico łez, westchnień, upragnień i wołań.



Już zrywam się, już próbuję lotu, już siły swoje  
mierzę, już rozpoczynam niewstrzymany bieg ku Tobie, ku  
Bogu!...

Ptaki czarne z dobrą wróżbą czekają na mnie, siądą na  
ramieniu i z ust mych pić będą, z mych dłoni ziarna zbierać...

Ptaki moje...





adę, jadę, a jeszcze tkwię w miejscu. Gonię ostatkiem sił, każda minuta wiekiem się wydaje, a jednak wszystko muszę zostawić jak należy. Nie umiem do Ciebie już pisać, stopy Twoje całuję i błagam — daruj bo ani słów, ani myśli nie mam, jeno ruch niewstrzymany, którym Bóg kieruje jak na Sykstyńie!

Ty wiesz, że dużo ciężkich ofiar ponieść muszę przez to, że trzeba rodzinny obowiązek spełnić...

Wczoraj odebrałem w Warszawie od Ciebie list. Skąd takie głosy w Tobie? Skąd takie promienie radosne i słoneczne?

Bożenno—świeć, grzej, błogosław, prowadź... Z granicy zatelegrafuję. Nie, nie z granicy, skoro tylko wyruszę, z Warszawy — natychmiast zatelegrafuję, abyś wiedziała, że już biegnę, żem już odrodzony, że jak fala płynę, jak promień rozlewam się słonecznie.

Ty w tejże chwili pisz do Wenecji, za 2 dni do Florencyi, Rzymu. Niech Twój list powitam zaraz w Wenecyi. Boże, Ty wiesz jak mi tego będzie potrzeba. Bez troski trzy lata mamy pewne. Śnić będziesz, królowno, opowiadać mi baśń tęczową.

Chcę żyć, czuję że się wszystko we mnie jak w wulkanie nagromadziło, że wstrząsnę wszystko dokoła, że wielkie życie wyrzucę z siebie.

A Ty mi służyć będziesz! a ja Tobie nogi umywać będę i będziemy dla siebie sługami, apostołami Miłości. Wieścicielami Zorzy, zwiastunami Królestwa Parakleta.

Przyjaciółko moja, piastunko, rodzicielko moja. Piękno mi daj, pięknem syć zgłodniałą duszę, piękna znak wyryj na duszy, sercu. Piękna jesteś taka...

Już do widzenia ptaki moje.





dy odbierzesz tę kartę, zacznę już drogę. Ostatkiem gonię, wysiłek ostateczny i nadludzki ale już, już. Tylko od Ciebie niech szczęście mnie doleci. Tyleśmy już przeżyli, przeżyjemy wszystko. U stóp Twych sił szukam i nadzieję wielką biorę. Jestem teraz zupełnie zdrow, ale ponieważ i ze mną to było, co z Tobą t. j. że przeszedłem z pokoju do pokoju i influenza gotowa, więc też teraz ważę każdy krok. Jak więzień uciekający w największem skupieniu wymykam się, jestem coraz dalej, oddałem się bezpowrotnie. Nie miałem pojęcia, że tyle trudności trzeba zwalczyć, z tyłu sieci się wywikłać, tyloma obwarować się pieczęciami. O jakżem szczęśliwy za słoneczne Twoje słowa.

Ptaku, tu mróz i śnieg skrzy...

Wszystkiem kierował Bóg, bo nadspodziewanie pomysłnie...



*W dwa tygodnie później.*



a kolanach Bogu dziękować, na kolanach wdzięczność Mu wyjęczyć. Już mogłem nie zobaczyć Ciebie a Ty mnie! Bóg zachował, Bóg utrzymał swoje dzieło. Nie dziw się, że mało piszę, ale jestem tak szczęśliwy tak radosny, taką mam wiarę w nasze przeznaczenie że wiesz, iż gdyby nie Twój ból i niepokój, to za wszystko pokornie dziękowałbym Bogu. To, o co się tak ciągle i bezustannie obawiałaś — płuca — padły ofiarą. Od połowy grudnia aż do czasu choroby z grypy wpadłem w influencję. Rozpacz mię porywała. Doszedłem do okropnego wycieńczenia. Pojechałem po paszport; przywoziłem go, ale i zapalenie. Dzięki Bogu, udało się je przerwać, niemniej jednak przez 8 dni gorączka wahała się ciągle 39,9 — 40,4.

Doktor zapewnia słowem że za tydzień wstanę. Wiem, że lepiej Ci prawdę powiedzieć, aniżeli zwodzić i zwodzić. Z mieszkania do karety, a z karety do wagonu. Boże mój, tylko Ty aby wytrwaj, bo drzę na samą myśl, że Ty mogłabyś chorować. Wszystko sobie opowiemy wiernie, każdą tęsknotę, każde cierpienie.

Bożenno—błagam we łzach, w zakłęciu wielkiem błagam Cię, abyś była już spokojna, bo przysięgam że już zupełnie bezpieczny...

Bożenno--wiem już wszystko teraz, bo wszystko przeszedłem w okropnych, z krwi i męki splecionych obrazach. Teraz mi tak szczęśliwie — bo mogę spojrzeć w moje ukochanie.

U B... leżałem. Cudów dokazywała.

Codziennie będę pisał. Nikogo nie przyjmuję — tak mi dobrze samemu. Tylko źle mi bardzo gdy sobie pomyślę, że Ty tam cierpisz.

Nie cierp, ptaku, bo Twój spokój — to najlepsze lekarstwo dla mnie.

Zostańcie spokojne, pewne, głęboko przekonane, że Bóg czuwa.

Już Was nie odstąpię, nie.





uż czwartek ubiega. Poniedziałek tuż, tuż. Jestem wszystek wyczekiwaniem, błogosławieństwem i modlitwą. Dobry Boże, dozwolisz mi otrzeć Jej łzy, ukoić cierpienie, umniejszyć ból... Boże... dobry, ukochany Boże! Wróciłem do Ciebie, z tamtego brzegu... Sam płynąłem... i dlatego wołałem do Boga o pomoc... Ulitował się Pan... Bożenno... B... ciągle ze mną o Tobie mówiła... Tem gorączkę chłodziła...

Daruj nam wszystkim, boć jednakowo nas Bóg doświadczył, choć nie jednakowo cierpieniem udarował.

W tym samym czasie gdyś Ty z bólu wołała, ja ważyłem się między Tobą a śmiercią... Czułaś, wszystko czułaś... Nie cierp już, nie wspominaj. Mnie wszystko opowiesz, wszystko wypłaczesz.

Piszesz, żeście zdrowe, a przecie leżysz i milczysz zawsze o sobie. To mnie tak boli, że już skarżyć się na to nie potrafię.

Pierwszy słoneczny, ukochany, ubóstwiany list dziś od Ciebie dostałem...



uż mi jaśniej w sercu, w duszy, już jestem pewien najzupełniej naszego życia. Ciężkie doświadczenie, bolesne i niespodziewane przeszliśmy wspólnie, ale to nic. Wytrywamy Bożenno — prawda? Bóg doda sił i wszystko na nasze szczęście obróci. Doktor dziwi się, że trzeba mieć jakiś dziwny organizm, żeby 4 zapalenia płuc przenieść tak zacnie.

Już chodzić zaczynam! Boże, jakie to szczęście, jaka nadzieja i pewność wspólnych godów. Wiesz, Bożenno, czuję wielkie siły wewnętrzne; zdaje mi się, że najzawrotniejsze sny zrodzą mi się w duszy, gdy stanę przy Tobie, gdy sobie w milczeniu powiemy: Boże! Czemu się stało to życie? Grzebało wszystko, napływały jakieś nawałnice morskie, topiły, chłonięły w sobie pieśń duszy. Ileż to razy każde z nas stawało nad bezbrzeżną falą, jak marny rozbitek; nieraz z duszy wyrwał się straszny, beznadziejny okrzyk, pragnienie śmierci, zapomnienia...

Boże, co przeszliśmy wspólnie. Ale teraz nie mówmy o tem, nie myślmy. Patrz, Bożenno — jak słońce gorąco przyświeca, jak moje płuca wzdychają do Twego tchnienia i Twoich promieni słonecznych. Poczekaj jeszcze cierpliwie, wdzięcznie na dzień wyjazdu. Gorączka — była przyczyną nieszczęścia czy też szczęścia. Bóg wie na co się to wszystko obróci.

Pomyśl, gdybyś tak Ty położyła się na obczyźnie. Mieć bezpieczeństwo i zyczliwość otoczenia to wielka rzecz. Na litość,



pamiętaj o sobie! To dziwna, że najcudniejsze i najgórniejsze marzenia nie opuszczają mnie od kilku dni, ciągle jestem w jakimś duchowym napięciu, w poczuciu samodzierstwa królewskich rejonów ducha. Wiem że odtąd staniemy obok siebie, najbardziej boże życie na ziemi wcieli się w nas. Bożenno, nie myśl już posępnie i chmurnie. Piękną bądź jak zawsze, ufność miej w Panu i miłość wielką, miłość aniołów.

Cóż że później się zobaczymy? Czyż to jest nasz cel? Czy nie w tem cierpieniu najpiękniejszymi jesteśmy? Ptaki... lilie...



hyba Cię uspokoił mój list? Chcę doktorowi uciec z łóżka, bo przecież tam takie słońce, a tu mróz, zawieja, śnieg. Czuję że dwa razy tam przy Tobie odetchnę i będę zupełnie zdrow. Pozwolono mi już chodzić po pokoju! Raduj się szczęście moje, raduj. Wciąż telegrafujesz, doskonale wiem, o co ci idzie. Bądź pewna, że gdyby było jakieś niebezpieczeństwo, za nic nie chciałbym być bez Ciebie! Ciągle nad tem czuwałem. Boże, mógłżebyś inaczej. A Ciebie pewnie to trapiło.

Na miłość Boga nie rujnuj sobie zdrowia, bo będziemy dwie polskie ruiny na włoskim brzegu. Piszę na kolanie w łóżku i dlatego tak poszarpanie. Nikogo nie dopuszczałem do siebie, bo przecież niepodobna wysłuchiwać świata. Ty mój ptaku serdeczny, ileż ja Ci bólu i cierpienie przynoszę. O, nie licz mi tego, bo gdybyś do mojego serca zajrzała...

Czuję w głowie płomień, gdy pomyślę, że Bóg nas połączy, taki czas rozlewa mi się w piersi i tak ją wypełnia, że łąkałbym jak małe dziecko ze szczęścia, z niezmiernego szczęścia. Bożenno, nie cierp, Bogu tylko dziękować trzeba we dwoje, we troje razem.

Niech Cię Bóg zachowa dla mnie, jak mnie zachował dla Was. Pisać będę codziennie dotąd, dopóki nie wyruszę. Ptaki...



Telegram Twój dostałem. Co za szczęście widzieć w Tobie siłę, poddanie i wiarę. Uzdrowiłaś mnie tem do reszty. Tak mię bolało, że cierpisz, mając wieczne niepokoje i udręczenia przezemnie. Zdrowie znajdę przez Ciebie teraz, a później przy Tobie. Czeka nas wielka praca. W głowie mi huczy od wichru i tententu grzmiących napowietrznych rumaków. Niech Cię szczęście nie opuszcza za to, żeś mi uchyliła w tak ważnej chwili pięknej duszy swojej. Prawda, że to nie idzie o to, że jestem chory. Idzie o to, żebym wyszedł z niej i abym z niej wyniósł wiele dla nas obojga. Był G..., gdy przyszedł telegram. Ryknąłem. Wizyt bez liku, wszystkie męczące i nużące śmiertelnie. On jeden przywiózł mi trochę słońca, aż nagle i słowo kochane Twoje! Żeby już jaknajprędzej wydobyć się ztąd! Ptaki moje, pod opieką Bożą zostańcie, jako i ja pod nią zostaję. Wiesz, ta choroba wydaje mi się czemś zupełnie koniecznym do wyjazdu, a nie żadną katastrofą. Co to wszystko znaczy wobec życia naszego, które Bóg nam przeznaczył. Jeżeli wyszedłem z matni, to już dobrze. Teraz będą długie dni wyczekiwania, ale cóż to znaczy? Jestem wszystek przyszłością. Terazniejszość wydaje mi się zmorą, snem ciężkim... Ptaki, czekajcie na jutro... Wszyscy Was całują z serca...



horują dookoła jak w czasie epidemii. Nie uszłabyś złego, gdybyś tu pozostała. Opóźniliśmy się tylko w czasie, ale w istocie niejedno dojrzało i lepiej i prędej. Po głowie snują mi się korowody w kwiecie i w słoneczną zwycięskość wieńczone. Żyję gdzieś jak Tánhäuser na Venusbergu. Mojemu bohaterowi dam krwi mojej serdecznej, wszystkie cierpienia nań złożę i majestatem nieśmiertelnej miłości otoczę. Pójdzie potężny w złotym pancerzu, w słonecznej zbroicy; powróci w łachmanie, odarty, wsparty na koszturze, a jednak zwycięzca! Co to za szczęście że w głębi duszy można wyczarować świat boskich potęg, uśmiechów i ruchu... jakie to szczęście wrócić do zdrowia, do życia dla jedyne go gdzieś tam bijącego serca...

Zobaczysz jak będę dobrze wyglądał! Już teraz G... śmieje się ze mnie i powiada, że wyglądam po chorobie jak on po kuracyi.

Uradziliśmy wspólnie jechać jak dziady na odpust, do Neapolu, a stamtąd na Capri. Nic nie piszesz o swoim zdrowiu. Teraz ja się zacznę niepokoić, domyslać i trwożyć. Są chwile kiedy jestem wyniesiony poza czas, przestrzeń, żyję jakąś zjawą nieśmiertelną, a są chwile, w których mam w mózgu tylko liczby, daty i cyfry. Wszystko jedno czem żyję, boć przecież wszystko niesie mnie ku tej samej przyszłości. Boże, jak Ty się tam czujesz? Czy aby żyłaś się z wyczekiwaniem



i z pustką? Czy aby wiarę masz jednaką, czyś zawsze pełna nadziei, czy uczucie głaszy to, co się brutalnie na wierzch wydobywa? Już niedługo, już wkrótce tęsknota splecie się z tęsknotą, wiara z wiarą się połączy. Miłość trwać będzie w Miłości...

Oj, pędzi do Was, ptaki moje, pędzi...



j, masz Ty biedaku, masz za swoje. Przecierp wszystko a i mnie daruj. Każdy krok zbliża mnie do Ciebie—Bożenno? Wstąpiliśmy do Częstochowy—pamiętasz? Poleciliśmy się wtedy opiece M. B. Pamiętasz? To nas ocaliło. Wierzę w to święcie. Doktor dowodzi, że z zarodkami zapalenia chodziłem z 1<sup>1</sup>/<sub>2</sub> miesiąca...

Rzeczywiście, po Twoim wyjeździe czułem się bardzo, bardzo źle przez cały czas. Ale, Ty, Ty? Aż boję się pytać o Twoje zdrowie. Zdrowia wołam dla Ciebie. Wiedz więc, że płuca są już zupełnie zagojone, że jak wilk pożeram wszystko, a Ty telegrafujesz, drżysz, gdy ja kolorów dostaję. Jadę w Poniedziałek do Ciebie, nie po zdrowie, do Ciebie — słyszysz — duszo moja udręczona.

Marzyłem dać Ci szczęście, rozkosz wyzwolenia, a dałem Ci cierpienie i rozpacz.

Boże, czyś Ty czasem nie chora? Twój list ostatni w łóżku musiał być pisany. Boże—zachowaj, nie daj... Bądź ostrożną, bo już jadę do Ciebie. Moja, moja — jadę, płacę, kaszlę, gorączkę mam w oczach i jadę, jadę do Ciebie... Ja już żyłem na tym świecie spokojnie, jak starzec, jak ślepiec, goniący cudną melodyę gdzieś we śnie zasłyszaną. Zupełnie przestałem wierzyć, że jest istota, co przecież bez mojej nawet świadomości porusza mną, rządzi każdą myślą, czyn każdy stwarza we mnie. Nauka katolicka taką utajoną siłę, która wszystko wykonywa w człowieku, nazywa łaską Bożą. Tyś się stała łaską Bożą. Darze Ducha świętego — trwaj we mnie!

Cierpiałas i cierpisz jeszcze Bożenno moja. Ale pomyśl o tem, że w równej mierze idę obok Ciebie: że i ja strasznie cierpiałem. Pamiętasz przed wyjazdem, jak bardzo obawiałaś się mojego cierpienia. Biedna, ukochana Bożenno moja, nie przeczuwałaś może nawet, jak dalece miałem cierpieć. Ani na chwilę nie wyobrażam sobie, aby można przez mniejszy krzyż do Zmartwychwstania w Twem sercu dojść. A ponad wszystkim, jak to piszesz w ostatnim liście, Miłość, bezbrzeżna, bezlitosna, wszechpochłaniająca Miłość! Boże, każde z nas w przeszłości przecież musiało przechodzić rozmaite uczucia, ale czyż wtedy na chwilę choćby wypłynęła świadomość i jedno jedyne: zobaczyć i umrzeć! Trzy miesiące!! A przecież jak strzaskane kolumny staliśmy zapatrzeni w niebo i ściągający na siebie wszystkie podniebne pioruny za ciągle jeden krzyk, za zawsze jeden dreszcz!...

Bożenno, wyciągam do Ciebie dłonie i wołam, byś mi hetmaniła w walce za wolność, dla której przecież poszliśmy z bohaterskim czołem naprzód! Wszystko to u nóg Twoich opowiadam, u źródła odrodzenia i siły!

Przez cały czas choroby — ta fotografia Twoja od W... tuż koło głowy leżała i modliła się za moje zdrowie.

Gdy wrócimy kiedy, to przywieziemy do Częstochowy jakie piękne votum. Boże, jak mi się myśli rozrzucają! Nie mogę ich w garści utrzymać! Będę w drodze ogromnie ostrożny. W każdym mieście odpoczynek dwudniowy bez wychodzenia z numeru hotelowego. Boże bylebyś była zdrowa. Nie śmiem nawet zapytać o Twoją nieszczęsną głowę...

Może Bóg odmieni, gdy już cierpienie odejdzie... Kiedyś kochałaś cierpienie. Ale też tamto cierpienie to piękna korona cierniowa. Ale cierpieć całą swą istotą przez to, co życiem jest i światłem — to cierpienie jest nad wszelkie wyobrażenie. Piekielna obręcz zamyka serce, myśl, duszę i w tan śmiertelny prowadzi!

Dobrze, żeś trafiła na dobrych ludzi. Już Ci nie wyrzucam nawet, żeś tała przedemną choroby. Boże, poco o tem wszystkim mówić. Toż jabym zabił w sobie, gdyby to było możliwe, wszystką miłość dla Ciebie, bylebyś nie cierpiała przezemnie. Przyjadę na słońce!

Zabiorę Ci trochę przyodziewku. Ja jestem pielgrzym,  
do św. Graala wędruję, więc nic nie mam prócz pieśni na  
ustach i w stęsknionem sercu...

Wczoraj był Sz... Rozmawialiśmy dużo i serdecznie.  
Czytałem mu trochę pieśni do Ciebie. Gdybyś go widziała:

Czekam... a pustka me źrenice rani...

Idziesz... jak pustka z cierniową obręczą...

Czekam.., łzy szklane płyną w głąb otchłani...

Idziesz... łzy w otchłań Twą zapadły — klęczą!...





nów jeden dzień zeszedł do przeszłości. Znow  
o jeden dzień bliżej. Boże — byle bliżej,  
byle się już ocknąć nazawsze przy szczęściu.  
Postarzałem się, zmarniałem—nie poznacie  
mnie. Serce tylko jednakie Wam zaniosę.  
Kwiaty mi przysyłają.

Twoja fotografia obstawiona kwiatami. Siły olbrzymia  
czuję. Za 5 dni wyjeżdżam. Czyż to nie złudzenie, czy nie  
sen tylko? Już wszystko, co ponad myśl i siły — snem nazy-  
wam. Trwaj we śnie. Życie będziemy mieli piękne, ale twarde.  
Rozpocznie się nasz czyn. Dobrze żem nie dostał w ręce tej  
fatalnej depezy! Pomyśl, coby się stać mogło! Oj, biedo  
Ty moja, biedo... Kwiaty moje, słoneczne spojrzenia i myśli  
moje zmartwychwstałe — czekajcie... Nie wiem, czy to prawda,  
czy sen, czy może jedno więcej złudzenie. Dokąd jadę i czy  
to prawda?



o widzisz, czy to warto o mnie się tak troszczyć. Tyś tam cierpiała, a ja sobie przychodziłem do zdrowia i marzyłem o Tobie i słońcu. Odwiedziciele zamęczają mnie. Ubiorę się ciepło według Twojej recepty. Chodzę już dzielnie po pokoju. Wkrótce będę Milonem z Krotony. Po drodze będę zbierał listy od Ciebie. Nie obawiaj się, na wieś już nie wrócę — za nic! Wiedziałem, że mnie tam coś spotka. Bogu dzięki! Jakie to szczęście móż dziękować Bogu. Pomyśl tylko, że za tydzień będziesz mnie goniła po Wiedniu, Wenecyi i t. d. Módlcie się za mnie i dziękujcie Bogu. Tylko z poddaniem spędź ten czas. Będziesz prowadziła Edypa, Antygono moja... Wyzdrowieć, nabrać sił, a potem wspólnie do pracy. La maestra zdrowa i szczebiocze? Bożenno — nie trap się już, nie dręcz. Dość mieliśmy męki. Skowronki moje, gdy Was ujrzę, zawsze już wiosnę będę miał w piersi... Częstochowa mnie ocaliła!



.Przenajświętsza boska czaro moja! Z tęsknotą drżącą biegnę do Ciebie, pochylam się nad Tobą i biorę z Ciebie wszystką moją wytrwałość, nadzieję i pewność. Jestem cały spowinięty w mowę niezmierną i słucham, słucham... Przeznaczono nam było ciężki przejść czyściec, zanim zaznamy wybranego szczęścia. Może nam to było potrzebne, ażeby nasze dusze i serca bardziej oczyścić, większą wypełnić niebiańskością, do świętszych przygotować czynów. Bożenno—wiem, że skoro już pewną jesteś o moje zdrowie rozżłocisz się, rozśłonecznisz promieniem, który już dla nas wschodzi i spływa ku nam.

Nie przychodzi do zdrowia, ale biegnę...

A przytem ta pogoda i jasność ducha, której przez cały styczeń nie zaznałem.

Gdyby nie Twoje cierpienia, nazwałbym moją chorobę, w stosunku do naszej miłości, kwiatem czarodziejskim, który wiele, wiele odkrył drzemiących w głębi duszy tajemnic. W chorobie poznałem wiele uczuć, które teraz wciąż wołają na mnie, ciągle mnie zwracają do stóp Twoich.

Mój Boże—żeby tak na Twoje Imieniny zjechać! Bożenno jaki nasz świat inny, jaki odrębny i wiecznie ten sam. A między ludźmi, dookoła, wszystko tak prędko się przeistacza, osłabia, zanika... A między nami coraz trwalszy pościg, coraz zacietrze wysiłki, coraz bliższe i uroczystsze cele! Niepotrzebna była ta choroba, ale, Bóg wie, czy nie okaże się ona czemś

bardzo drogiem i ukochanem dla Ciebie. Ta moja choroba to Twój wierny i oddany sprzymierzeniec, który z każdej chwili mojego cierpienia kuł dla Ciebie i dla mnie świat bardzo głęboki. Wiedz, że wszystko co we mnie drży teraz radością i nadzieją, jest Tobą, Tobą.

Będziemy teraz wspólnie się leczyli, wspólnie tworzyli, żyli, trwali dla siebie.

Czaro moja — jedyna myśli moja!

Małeństwo mówi już po włosku... Cieszę się, cieszę... Śnijcie, ptaki czarnopióre, bo wkrótce przybędę, to Was ze snu do życia pięknego obudzę, z wami wschód witać a zachód żegnać będę. Dlatego piszę tak niesforne, że robię to w leżącej pozycji, a powtóre nie wydaje mi się już, że piszę, tylko, że z Tobą gawędzę, że jesteś tuż obok, że rękę wyciągnę i uczuję dotknięcie Twojej dłoni.

Wszyscy czekają z utęsknieniem dnia, w którym wyjadę. Tylko mówią o moim wyjeździe. Inaczej by było, gdybym był zdrow...

Kwiaty moje, ptaki moje, czarne moje...





uchu mój. Tęsknię do Ciebie teraz wszystką nadzieją i radością życia. Przeszedłem straszne chwile: zdawało mi się, że pracuję w kopalniach, że jestem skazany na galery, że już nigdy, nigdy nie ujrzę światła. Teraz tylko wołam jasny, czysty, spragniony, Twój na wieki. Kocham każdą chwilę, w której Cię smutek nawiedzał, w której wzrok swój posyłałaś daleko, ku swoim marzeniom, pytając czy aby się ziszczą — Dobry Boże! Idę już do mojej tęsknoty, do życia mojego i śmierci, do Pana i Boga mojego. Wszystko już skończyłem, wszystko rozstrzygnąłem. Teraz już jesteśmy razem, nikt i nic nas nie rozłączy. Bożenno... dniu mój, słońce dla zaślepiłej źrenicy... morze moje kołyszące w sobie wszystkie skarby myśli i uczucia mojego... Witam Cię, moja na wieki. Witam, a choć tu jeszcze jestem, to weź mię za rękę, jakgdybym już był u nóg Twoich.

Zawsze czekałem tej chwili, tej tylko, bo odtąd już wiem wszystko, czuję wszystko, przeżyłem wszystko. Zdobyłem, jestem. Już jesteśmy u celu — reszta to tylko przypadek, bo w tej chwili najwyższy tryumf naszej woli, naszej miłości, która złamała wszystko, przemogła, stanęła wielka i dumna. Reszta—to dodatek. Boże, teraz, choćbym ja lub Ty umarła, nie powiemy, że wszystko było złudą, omamem. Stało się w woli, w duchu, w czynie wszystko. Nic co było w naszej mocy, nie zachwiało nas, nie powstrzymało, nie osłabiło. Bożenna — życie — śmierć — moja — cud — umrzeć u nóg,

witać, błogosławić, Bogu jak kielich ofiarować, niebu jak smutek całej ziemi zanieść. Bożenno—żyj—żyj—czekaj—siło moja. Boże — wszystkie duchy dziś nawiedziły moją duszę, ażeby przezemnie żywym głosem wołać, że Prawdą jest miłość Twoja, że Prawdą jest cud Miłości, że księga boża przez Ciebie rozwarła się dla ludzi — niech czytają, niech oczy mrużą — niech oślepną. Bożenno — żyj i czekaj spokojnie, boś już moja. — Dotąd Tyś była w duchu wielka, bo wszystko spełniłaś, a teraz już oboje szczęśliwi, bo wierni sobie, bo w prawdzie tej chwili doczekali.

Dziecinę ucałuj i wszystko to jej opowiedz....

Kocham, kocham czarne kwiaty!...



roga i kochana Pani.

Dostałem przed chwilą list od Bożenny. Jeden to jęk i rozpacz z powodu wiadomości o zdrowiu Pani. Dlaczegoż było zwlekać, odkładać, lekceważyć zdrowie, życie... Przez zdrowie życie w piękniejszym, wyraźniejszym, w przebogatem objawia się kształcie. Sam to czuję na sobie. Tylko, na litość, do Pani to tylko mówię... To mnie zupełnie nie zatrważa... Szczęśliwy jestem, bom cel życia osiągnął, bom przeznaczeniu dał się nademną dopełnić. Już teraz śmierć przyjdzie w porę: piękna, władcza i opiekuńcza. Najgłębsze marzenia moje Bożenna urzeczywistni i dlatego też jest mi przyjacielem, jest tęsknotą moją ku najwyższej świadomości Piękna. Nim jednak doszedłem do tego, nikt nie odgadnie — jedna Bożenna to przeczuwa — ilem podjął strasznej, krwawej walki. Ciemność i światło walczyły całą przepotężną swą mocą, spadałem w otchłań, osiągałem szczytów, byłem zaślepią nocą, to znów stawałem się wszechwidzącą zrenicą... Dziś już wolnym się czuję zupełnie, wyzwolonym — i dlatego trwam w niezmqaconej harmonii szczęścia.

Pragnąłbym wprowadzić Cię, droga Pani, tam gdzie biją moje święte źródliska, gdzie spokój w tajemnej zadumie je przesłania, gdzie trwa hymn wyzwolenia i uśmiech zaświata.

Chciałbym pokazać Ci teraz moje serce, że bije uderzeniem wieczności, że mu w piersi mojej tułaczko i pielgrzymio...

Pragnąłbym Cię wziąć za rękę kochane i najczystszy złożyć na nich pocałunek za Twoją jedynie wielką i bezwzględną miłość dla Tej, która mi się stała Chrystusem — wybawcą!...

Ona bardzo cierpi, że nie czuwa nad Tobą. Jej serce czuje, że przecież Ty tylko Ją kochasz dla Niej.

Co do Niej ja nie mam złudzeń: Ona usycha, więdnie... Ostatnie dwa miesiące niszcząco potoczyły się po Niej... Co robić? Ona zgaśnie cicho, bez skargi — i to niedługo... Pani Ją kocha... Pani, stojąc poza tem okropnem powikłaniem, lepiej potrafi ogarnąć wszystko.

Błagam o słowo choćby jedno w tej mierze.—Czy droga Pani wierzy teraz, że Kocham duszę duszy mojej, że sławy nie szukam, że Kocham swoją sztukę o tyle, o ile mi ona objawia tajemnicę mojej Miłości, ale nie Kocham Miłość, że przez nią rodzi się moja sztuka.

Nigdy się przed Panią nie tłumaczyłem z mojej wielkiej prawdy, czekałem, ażeby Prawda weszła jak zorze poranne, a później, żeby się zapaliły całe niebiosa od niej, aby wypłynęło wreszcie na zenit słońce, któremu już nikt nie zaprzeczy... Ja tak bardzo wierzyłem, że Pani jedna naprawdę kocha Bożenną poza wszelką rachubą, iż, chociaż Jej zwątpienie co do mojej duszy, godziło we mnie najboleśniej,—to jednak ani na chwilę nie czułem do Pani urazy lub żalu — przeciwnie: kochałem Ją jeszcze szczerzej, bo tylko prawdziwie głęboka Miłość może tak bronić swoje ukochanie. Miałem w Pani na krótko „wielkiego nieprzyjaciela”! którego chciałoby się nie pokonać ale zniewolić sobie. Cóż wobec tego przyjaźń miała płytka, gnuśna i uśmiechnięta?!

A teraz, kochana Pani zrozumie, że Jej choroba i oddalenie — to wielki ból dla nas obojga... Życie jest piękne, jeśli się w nie pójdzie z czystą duszą.

Nas jest dwoje tylko na świecie—Ty byłaś naszym źródłem, w którym z rozkoszą i szczęściem oglądaliśmy nasze pochylone twarze, wierząc święcie, że w Twej głębi nic nas zeszpecić nie zdoła. *To, co jest niedopuszczalnem dla całego*



*świata*, Twemu sercu było jasne i widoczne. I dlatego kochamy Cię całą wdzięcznością i oddaniem serca.

Dla jednej duszy żyć warto, a wszak nas jest dwoje... i bardzo Cię potrzebujemy. „Parakleta“ prześlę Pani w tych dniach, aby był żywym świadectwem naszej Miłości.

Zamiast białego kwiatu — pocałunek przyjaciela składam na Jej chorej dłoni...



ochany mój...

Dramat skończyłem... Nie wiem, czy dziękować, czy się smucić... Zdaje się, że dopłyną zwycięsko.

Kiedy będę mógł zobaczyć portret Bożenny?...

Kocham Twój „Samotny grób“ jak własną niedolę... jak bezjutro smutku mojego... Dziwnie się ten mój smutek objawia! W zaciśniętej pięści, wyprężonej piersi i w obluzgu krwawym... Ale to nie moja wina... To wogóle nie jest winą — prawda?



ochany mój...

Przesyłam Ci smutne szczątki absydy  
Messyńskiej katedry. Zmów wieczny odpoczynek,  
bo to nasz kochany przyjaciel. Co sły-  
chać u Ciebie? Czy aby Twój los da Ci  
ster i żagiel? Całą duszą proszę o to Boga.

Napisz mi o sobie, bo wierz mi, że Ty jeden mnie tylko tam  
obchodzisz.

Chryzantemy kłonią się przed Twoim ołtarzem...

Kiedyż przyjdą na Ciebie gody ducha w całej pełni. Twej  
pięknej duszy i Miłości Twojej należy się szata wybrańcza.

Ze szczęściem dowiaduję się, że piszesz, że Duch czuwa  
nad Tobą i jest z Tobą. Szczęścia mam nad miarę, ale i wiel-  
kiej świętej trwogi mam pełną duszę.

Aby sprostać, aby oddać się całkowicie.

Sztuka! W jej toni jak w zwierciadlanej wodzie odbijają  
się nasze twarze i przyjacielskie ramiona połączają...



ochany Mistrzu...

Z grodu Twojego ślę Ci Chrystusa Donatella. Dużo przed Nim przeżyłem i myślałem o Tobie. Donatello stał się dla mnie czemś, co pójdzie za mną. Jestem tak zdenerwowany hałastrą włoską, że oddycham do ludzi, choć wiem, że tylko bez ludzi można oddychać prawdziwie.





ochany...

Wiedz, że Polskę w Tobie wspominam. Jesteś mi bratem. Pamiętaj o tem zawsze. Studjuję Bizancyum zapamiętałe. Zdaje się, że się przysłużę krajowi.

Kocham Cię dlatego, że tak pięknie kochasz... Kiedy Ty nareszcie zaznasz szczęścia? Znalazłem tu dla Ciebie kopalnię Piękna, po które już wkrótce pewnie pobeigniesz: Neapol, Ravello, Amalfi. Są tu mozaiki, o jakich się całemu chyba Bizancyum nie śniło...

A szczęście Twoje? Niech Ci się ziści, a rychlej...

Posyłam Ci absydę główną kaplicy Palatyńskiej w pałacu królewskim wielkiego Roggera! Ten Normand ogromnie czuł sztukę, chociaż dźwigał miecz giganta. Co to za sztuka bizantyjska! Łączy się z ornamentem arabskim, ażeby już wprost powalić na ziemię. Za tydzień rzucam Bizancyum, ażeby się skąpać w tchnieniu Hellady! Są tu amfiteatry, teatry, termy i świątynie, jakich nigdzie niema.

Bizantyjskim pokłonem Miłość Twą pozdrawiam.

Twój...

Daj Ci, Boże, a raczej — Wam... mojego szczęścia...



ochany Mistrzu.

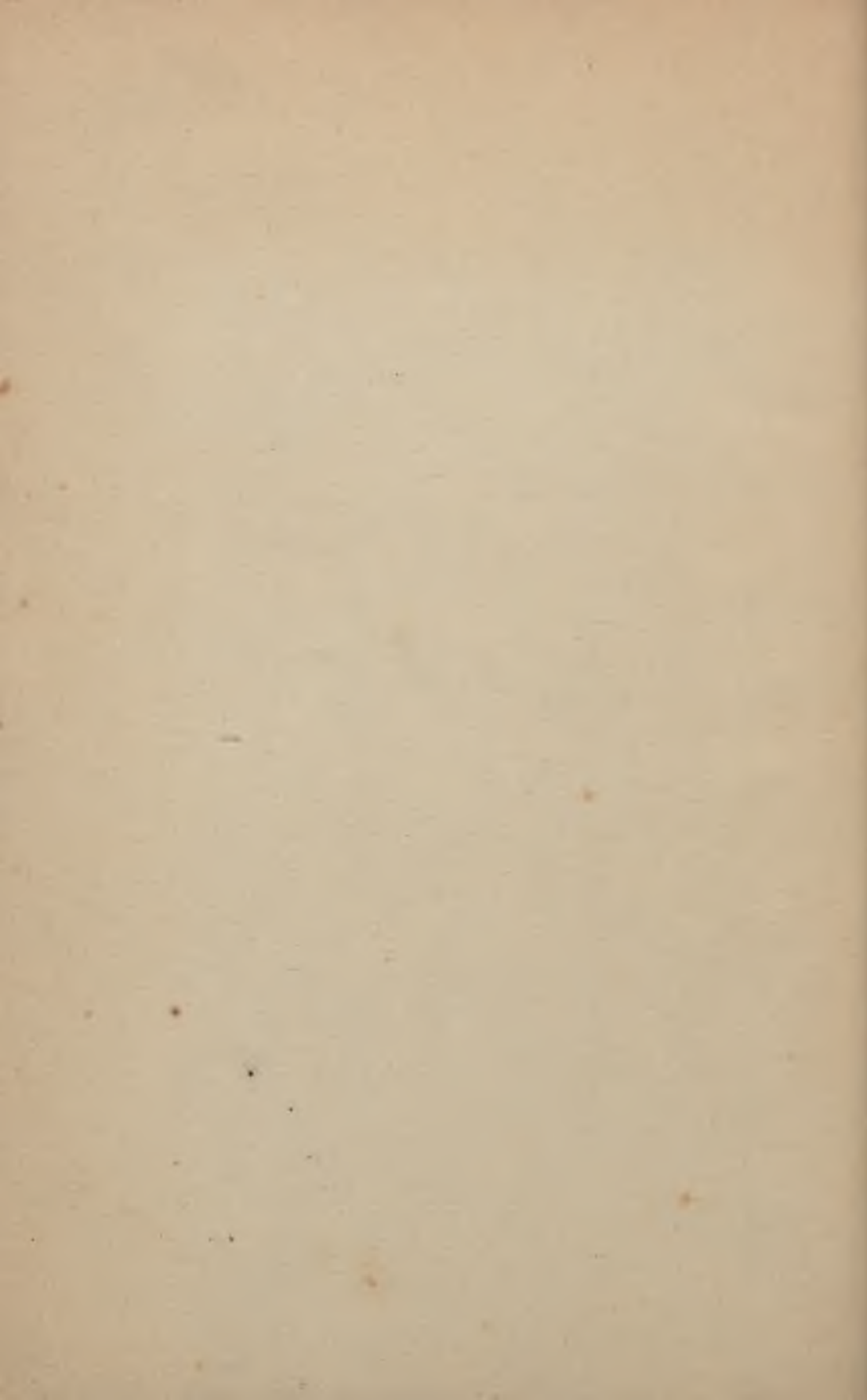
Przyjechałem. Z całą furią wpadam,  
aby Cię uścisnąć, a tu niema...

Jedynys Ty człowiek, do którego się  
szczerze stęskniłem.—Ściskam Cię—do wi-  
dzenia.

*Ant.*















NIE POŻYCZA SIĘ  
DO DOMU

PEDAGOGICZNA  
BIBLIOTEKA  
WOJEWÓDZKA

Gdańsk-Wrzeszcz  
Al.Gen.J.Hallera 14



106497